

**Agatha Christie**

# **Czarna kawa**

**Adaptacja Chailesa Osborne'a sztuki Agathy Christie „Black Coffee”**

**Przełożyła Beata Chączyńska**

## I

Herkules Poirot miał małe, ale przytulne mieszkanie w eleganckim bloku mieszkalnym Whitehall Mansions, w Mayfair, najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Londynu. Jadł właśnie śniadanie, na które składały się słodki rogalik i filiżanka gorącej czekolady. Choć był człowiekiem o określonych przyzwyczajeniach, które rzadko zmieniał, tego dnia wyjątkowo poprosił swojego służącego George'a o jeszcze jedną porcję czekolady. Dla zabicia czasu zaczął przyglądać się swojemu odbiciu w dużym lustrze wiszącym naprzeciw. Był niskim, sześćdziesięciokilkuletnim mężczyzną o jajowatej głowie, dosyć szczupłym, choć z przyjemnie zaokrąglonym brzuszkiem, a zadbane wąsy miał fantazyjnie zakręcone w górę. Skinął głową, najwidoczniej zadowolony ze swego wyglądu, i powrócił do przeglądania leżącej na stole porannej korespondencji.

Z właściwą sobie pedanterią ułożył rozrzucone koperty w jeden stos. Otworzył je bardzo starannie nożem do papieru w kształcie miniaturowego miecza, który dostał wiele lat temu w prezencie urodzinowym od swego starego przyjaciela kapitana Hastingsa. W drugiej kupce znalazły się przesyłki, które Poirot uznał za nieważne - przeważnie były to druki, zawiadomienia, zaproszenia itd.; zaraz poprosi George'a, by je wyrzucił. Trzeci stos zawierał listy, na które wypadałoby odpowiedzieć, a przynajmniej potwierdzić ich otrzymanie. Postanowił zająć się tym po śniadaniu, ale nie wcześniej niż o dziesiątej. Poirot uważał, że rozpoczynanie dnia pracy przed godziną dziesiątą byłoby rzeczą niegodną prawdziwego profesjonalisty. Kiedy zajmował się jakąś sprawą... cóż, wówczas oczywiście co innego. Pamiętał, że pewnego razu wyruszyli razem z Hastingsem jeszcze przed świtem, aby... Nie, Poirot nie chciał rozpamiętywać przeszłości. Szczęśliwej przeszłości. Po rozwiązaniu zagadki śmierci lorda Edgwa-re'a i tym samym zamknięciu ostatniej sprawy, nad którą razem pracowali, Hastings wrócił do swojego rancza i żony w Argentynie; chociaż teraz ponownie zjawił się w Londynie na kilka tygodni w interesach, jego współpraca z Herkulesem Poirot przy rozwiązywaniu intrygujących zagadek należała już do przeszłości. Niegdyś życie było takie ekscytujące - myślał Poirot. - Ale teraz, co my właściwie robimy? Kilkakrotnie byliśmy na kolacji w Ritzu, wytwornym, luksusowym hotelu, gdzie Hastings się zatrzymał. Było bardzo miło, podobnie jak w teatrze, dokąd wybraliśmy się razem parę razy. To jednak były czasy, kiedy... Nie, naprawdę nie powinien myśleć o przeszłości, ale przychodziło mu to z trudnością teraz, kiedy Hastings znowu pojawił się na krótko w Londynie.

Czy to dlatego Herkules Poirot był niespokojny tego wspaniałego majowego poranka w 1934 roku, kiedy nadeszła właśnie spóźniona wiosna? Pozornie na emeryturze, Poirot powracał do zawodu za każdym razem, kiedy zwracano się do niego z wyjątkowo interesującą sprawą. Lubił pracować z Hastingsem, który spełniał rolę rezonatora dla jego teorii i pomysłów. Teraz jednak Hastings spędzał większość czasu na drugim końcu świata, a Poirot w ciągu ostatnich kilku miesięcy nie natrafił na nic, co mogłoby go zainteresować z zawodowego punktu widzenia. Czy przestępcy z wyobraźnią już wyginęli? Została tylko prostacka przemoc i brutalność, ten typ podłych morderców i rabusiów, którymi zajmowanie się byłoby poniżej jego godności? Rozmyślenia te przerwało pojawienie się milczącego George'a, który przyniósł drugą, z utęsknieniem wyczekiwaną, filiżankę czekolady. Wyczekiwaną nie tylko ze względu na przyjemność picia tego napoju, ale również dlatego, że dzięki temu choć na kilka chwil będzie mógł zapomnieć o tym, że tego wspaniałego, słonecznego poranka nie czeka go nic więcej poza spacerem w parku i przechadzką z Mayfair do Soho, gdzie w samotności zje lunch w swojej ulubionej restauracji - co zamówi tym razem? - na początek może kawałek pasztetu, potem solą bonne femme i...

Uświadomił sobie, że George, stawiając na stole filiżankę czekolady, coś do niego mówi. Zawsze spokojny, zachowujący się bez zarzutu George, na wskroś angielski, z twarzą o nieprzeniknionym wyrazie, był lokajem Poirota już od pewnego czasu i doskonale dostosował się do wymagań detektywa. Nigdy nie wtrącał się w cudze sprawy i niechętnie wypowiadał swoje poglądy, ale był kopalnią informacji na temat angielskiej arystokracji i człowiekiem równie pedantycznym, jak sam wielki detektyw. Poirot często mu powtarza}: „Masz doskonale wyprasowane spodnie, George, aie jesteś pozbawiony wyobraźni”. Wyobraźnia była jednak tym, czego Herkules Poirot miał w nadmiarze. Umiejętne wyprasowanie spodni było w jego mniemaniu o wiele większym wyczynem. Tak, ma prawdziwe szczęście, że George dla niego pracuje.

- ...więc pozwoliłem sobie złożyć obietnicę, sir, że dziś rano pan do niego oddzwoni - mówił służący.

- Przepraszam cię, George - wykrzyknął Poirot. - Nie uważałem, myślałem o czymś innym. Mówiłeś, że ktoś dzwonił?

- Tak, proszę pana. Wczoraj wieczorem, kiedy był pan w teatrze z panią Oliver. Poszedłem spać jeszcze przed pańskim powrotem do domu, nie zostawiając żadnej wiadomości, gdyż było bardzo późno i uznałem, że to nie jest konieczne.

- Kto to był?

- Przedstawił się jako Claud Amory, sir. Zostawił swój numer, z którego można wnosić, że

telefonował z Surrey. Powiedział, że chodzi o bardzo delikatną sprawę, i poprosił, żeby dzwoniąc nie przedstawiał się pan nikomu i rozmawiał tylko z nim.

- Dziękuję ci, George. Zostaw ten numer na moim biurku. Zadzwoń do niego, jak tylko przeczytam dzisiejszego „Timesa”. Jest jeszcze zbyt wcześnie na rozmowę, zwłaszcza w delikatnej sprawie.

George uklonił się i wyszedł, a tymczasem Poirot pił powoli swoją czekoladę. Powrócił myślami do przedstawienia, na którym był poprzedniego wieczoru w teatrze razem z Ariadną Oliver, swoją starą przyjaciółką, uważającą się za detektywa-amatora. W sztuce tej, pod tytułem „Alibi”, chodziło o wyjaśnienie tajemnicy morderstwa; Charles Laughton, sławny aktor brytyjski, grał rolę detektywa rozwiązującego tę zagadkę. Pani Oliver nie była bynajmniej zadowolona, kiedy Poirot pierwszy wykrył mordercę.

- Nie wiem, jakim sposobem tak szybko pan zgadł, Poirot - zaliła się, ale detektyw przerwał jej, wykrzykując z urazą:

- Ja nigdy nie zgaduję, droga pani Oliver. Wykorzystuję moją inteligencję. Małe szare komórki... - Nie zdążył dokończyć, gdyż pani Oliver, która wiele razy słyszała jego wykład na temat szarych komórek, przerwała mu gwałtownie:

- Nie! Tylko nie te przeklęte szare komórki. Chodźmy lepiej do kawiarni Café Royal, tu na rogu. Może mi pan postawić drinka przed kolacją.

Poirot uśmiechnął się i potrząsnął głową. Kochana Ariadna Oliver, naprawdę bardzo ją lubił. Wypił czekoladę i, chichocząc na wspomnienie wieczoru w teatrze, który tak przyjemnie spędził w jej towarzystwie, wyszedł na balkon z poranną gazetą w ręku.

Kilka minut później odłożył „Timesa” na bok. Wiadomości ze świata były jak zwykle przygnębiające. Ten okropny Hitler zamienił sądy w organy partii nazistowskiej, w Bułgarii doszli do władzy faszyci, a co najgorsze, w Belgii, ojczyźnie Pirota, czterdziestu dwóch górników z kopalni w pobliżu Mons prawdopodobnie zginęło w eksplozji. Wiadomości z kraju były nieco bardziej optymistyczne. Pomimo zastrzeżeń oficjeli, tenisistkom biorącym udział w turnieju wimbleskiego pozwolono w tym roku nosić krótkie spódniczki. Nekrologi również nie były pocieszające, gdyż zdawało się, że osobom w wieku Pirota, a nawet młodszym, wyjątkowo śpieszy się na tamten świat.

Odłożywszy gazetę, Poirot wyciągnął się wygodnie na swoim wiklinowym krześle, ze stopami opartymi o podnózek. „Claud Amory” - pomyślał. To nazwisko wydawało mu się znajome. Musiał już przedtem gdzieś je usłyszeć. Tak, sir Claud był znaną postacią w pewnych kręgach. Ale w jakich? Polityk? Adwokat? A może emerytowany urzędnik służby cywilnej? Claud Amory. Amory.

Balkon znajdował się od wschodniej strony, co umożliwiło Poirotowi wygrzewanie się przez kilka minut na słońcu. Wkrótce miało się zrobić bardzo ciepło, a on nie był amatorem opalania się. Kiedy upał zapędził go do środka - pomyślał - zadam sobie trud i zajrzę do „Who is Who”. Jeżeli ten sir Claud jest kimś znaczącym, z pewnością będzie tam figurował. A jeżeli nie?... Mały detektyw wzruszył ramionami. Jako zdeklarowany snob od razu poczuł sympatię do Clauda Amory z racji posiadania przez niego szlacheckiego tytułu. Jeżeli w „Who is Who”, gdzie można przeczytać również o dokonaniach Herkulesa Poirota, znajduje się wzmianka o nim, to może ten sir Claud jest kimś godnym uwagi.

Poirot, pod wpływem nagłego, zimnego podmuchu wiatru i rosnącej ciekawości, wrócił do biblioteki. Podszedł do półki z księgozbiorem podręcznym i zdjął stamtąd opasłe, czerwone tomisko; na jego grzbiecie złotymi literami wytłoczony był tytuł: „Who is Who”. Przewracając strony, natrafił na hasło, którego szukał.

- Amory - odczytał. - Sir Claud (Herbert); tytuł szlachecki od roku 1927; urodzony 24 października 1878, ożeniony w 1907 r. z Heleną Graham (zmarłą w 1929 roku); jeden syn. Wykształcenie: Weymouth Grammar School; King's College, Londyn. Fizyk w laboratoriach GEC<sup>1</sup>, 1905; RAE<sup>2</sup>, Farnborough (Departament Łączności), 1916; uczestnik Projektu Badawczego Ministerstwa Obrony Powietrznej, Swanage, 1921; odkrył nowy sposób przyspieszania cząsteczek: liniowy akcelerator fal, 1924. Otrzymał Medal Monroe'a Stowarzyszenia Fizyków itd. Autor licznych publikacji naukowych. Adres: Abbot's Cleve, Market Cleve, Surrey. Tél.: Market Cleve 304. Klub: Athenaeum.

Ach tak - powiedział do siebie Poirot. - Sławny naukowiec.

Przypomniał sobie rozmowę, jaką odbył kilka miesięcy temu z członkiem rządu Jej Królewskiej Mości, po tym jak udało mu się odzyskać zaginione dokumenty, których treść mogła się okazać kompromitująca dla władz. Rozmawiali o bezpieczeństwie i polityk przyznał, że działania, podejmowane w celu jego zapewnienia, na ogół są niewystarczające. „Na przykład - powiedział do Poirota

- to, nad czym pracuje teraz Claud Amory, ma szansę odegrać w przyszłości wyjątkowo istotną rolę w razie ewentualnych konfliktów zbrojnych, ale on nie chce pracować w laboratorium, gdzie miałby zapewnioną ochronę. Upiera się, żeby pracować samotnie w swoim domu na wsi. Zero bezpieczeństwa. Przerazające”.

- Ciekawe, - pomyślał Poirot odkładając na półkę „Who's Who”

- ciekawe, czy sir Claud chciałby zaangażować Herkulesa Poirot w roli starego, zmęczonego

---

<sup>1</sup> General Electric Company.

<sup>2</sup> Royal Aircraft Establishment.

psa łańcuchowego? Wynalazki wojenne, sekretna broń - to nie dla mnie. Jeżeli...

Zadzwoił telefon w sąsiednim pokoju i Poirot usłyszał, jak George podnosi słuchawkę.

Chwilę później służący pokazał się na progu.

- To znowu pan Claud Amory, sir - oznajmił. Poirot podszedł do telefonu.

- Halo. Tu Herkules Poirot.

- Monsieur Poirot? Nie znamy się osobiście, chociaż mamy wspólnych znajomych. Nazywam się Amory, Claud Amory...

- Słyszałem o panu, sir Claud - powiedział Poirot.

- Proszę posłuchać, Poirot - ciągnął rozmówca. - Mam na głowie diabelnie trudną sprawę. A raczej mogę mieć. Nie jestem pewien. Pragnę jednak podkreślić, że to, o czym zamierzam panu opowie-

dzieć, jest poufne. Jeżeli miałyby się przedostać do publicznej wiadomości...

- Drogi panie Amory - przerwał Poirot - zapewniam pana, że jestem -jak to się określa? - uosobieniem dyskrecji. Wszystko, co mi pan powie, pozostanie między nami.

- Dziękuję. Wiem, że mogę ufać panu bez zastrzeżeń. Mam następujący problem: od pewnego czasu pracuję nad wzorem bombardowania atomu - nie będę się wdawał w szczegóły, ale Ministerstwo Obrony uważa to za sprawę pierwszorzędnej wagi. Teraz praktycznie już zakończyłem pracę; wyprowadziłem wzór, na podstawie którego można wyprodukować nowy, śmiertcionośny materiał wybuchowy. Mam podstawy, aby podejrzewać, że ktoś z moich domowników próbuje wykraść ten wzór. W tej chwili nie mogę powiedzieć nic więcej, ale byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechciał pan przyjechać na weekend do Abbot's Cleve, jako mój gość. Chciałbym, aby zawiózł pan wzór do Londynu i przekazał pewnej osobie z Ministerstwa Obrony. Kurier Ministerstwa z pewnych względów nie może tego zrobić. Musi to być ktoś wyglądający na niepozornego, zwykłego człowieka, ale jednocześnie wystarczająco sprytny, aby...

Claud Amory nie przestawał mówić. Herkules Poirot, przyglądając się w lustrze swojej tysej głowie o jajowatym kształcie i starannie wypielęgnowanym wąsom, nie wspominając już o eleganckich sztuczkowych spodniach w prążki i bonżurce, pomyślał, że nigdy przedtem w całej swojej długiej karierze nie został nazwany niepozornym ani też sam za takiego się nie uważał. Perspektywa spędzenia weekendu na wsi, gdzie będzie miał okazję poznać wybitnego uczonego osobiście, wydała mu się jednak zachęcająca. Poza tym, niewątpliwie, czekają go podziękowania ze strony wdzięcznych przedstawicieli władzy - za to tylko, że przewiezie w swojej kieszeni z Surrey do Whitehall tajemniczy, może nawet śmiertcionośny wzór.

- Zrobię to z przyjemnością, drogi panie Claud - oświadczył. - Muszę się jednak przez chwilę

zastanowić. Dzisiaj jest środa, n'est-ce pas! Przyjadę w sobotę po południu, jeżeli to panu odpowiada, i wrócę do Londynu w poniedziałek rano, zabierając ze sobą, cokolwiek pan będzie chciał. Bardzo mnie cieszy perspektywa spotkania z panem.

Dziwne - pomyślał Poirot odkładając słuchawkę. - Wzorem sir Clauda mogliby interesować się agenci obcych służb specjalnych, ale czy to możliwe, żeby ktoś z rodziny naukowca?... Cóż, bez wątplenia coś więcej wyjaśni się w czasie weekendu.

- George - zawołał do służącego - zanieś, proszę, do pralni moją ciepłą tweedową marynarkę, wieczorowy garnitur i spodnie. Muszę mieć je na piątek, ponieważ wybieram się na weekend na wieś.

Zabrzmiało to tak, jakby wyjeżdżał na całe życie na stepy Azji Środkowej.

## II

Dom Clauda Amory'ego, Abbot's Cleve, znajdował się na przedmieściach Market Cleve - małego miasteczka, a raczej dużej wioski w hrabstwie Surrey, w odległości około czterdziestu kilometrów na południowy wschód od Londynu. Był to duży budynek z epoki wiktoriańskiej, o nieokreślonym stylu architektonicznym, otoczony kilkoma akrami łagodnych wzniesień, tu i ówdzie gęsto zalesionych. Wysypana żwirem droga, biegnąca ze stróżówki (która funkcjonowała teraz jako domek ogrodnika) aż do drzwi frontowych Abbot's Cleve, wiła się wśród drzew i gęstych zarośli. Na tyłach domu znajdował się taras oraz trawnik prowadzący do zadbanego, o regularnych kształtach ogrodu.

W piątek wieczorem, dwa dni po rozmowie telefonicznej z Poirotem, Claud Amory siedział w swoim gabinecie głęboko zamyślony. Do tego małego, ale wygodnie umeblowanego pokoju na parterze, we wschodnim skrzydle domu, można było wejść jedynie przez bibliotekę. Sir Claudowi bardzo to odpowiadało, gdyż pozwalało mu na pracę w spokoju i samotności, a członkowie jego rodziny wiedzieli, że za dnia muszą trzymać się z dala od biblioteki, w drugim skrzydle domu. Dopiero wieczorem, po kolacji, wszyscy łącznie z sir Claudem spotykali się w bibliotece na kawę i drinka.

Biurko uczonego było tak ustawione, że siedział naprzeciw drzwi prowadzących do biblioteki, mając za plecami okno wychodzące na ogród; podziwianiem tego widoku rzadko zwracał sobie głowę. Na zewnątrz zaczynało się ściemniać. Lokaj Tredwell właśnie zadzwonił na kolację i rodzina zaczęła się zbierać w jadalni.

Sir Claud bębnił palcami o blat biurka; robił tak zawsze, kiedy miał podjąć szybką decyzję. Był to człowiek średniego wzrostu, średniej budowy, lat około pięćdziesięciu pięciu, z wysokim czołem i zaczesanymi do tyłu siwiejącymi włosami, o przenikliwym, zimnym spojrzeniu błękitnych oczu; jego twarz przybrała teraz wyraz, w którym niepokój mieszał się ze zdziwieniem.

Ktoś zapukał dyskretnie do drzwi gabinetu i na progu ukazał się lokaj Tredwell, wysoki osobnik o ponurym wyglądzie i nienagannych manierach.

- Przepraszam, sir Claud. Myślałem, że może nie słyszał pan dzwonka...

- Wszystko w porządku, Tredwell. Powiedz wszystkim, że jestem zajęty rozmową telefoniczną i zaraz przyjdę. Rzeczywiście mam właśnie zamiar do kogoś zadzwonić. Możesz już zacząć podawać do stołu.



Tredwell oddalił się bezszelestnie, a Amory odetchnął głęboko, przysuwając do siebie telefon. Przejrzał notes, wyjęty z szuflady biurka, i podniósł słuchawkę. Słuchał przez chwilę, zanim się odezwał.

- Tu Market Cleve 304. Proszę o połączenie z Londynem. - Podał numer i usiadłszy wygodnie na krześle czekał. Znowu zabębnił nerwowo palcami o blat biurka.

Kilka minut później Claud Amory opuścił swój gabinet, wychodząc przez bibliotekę na korytarz, i dołączył do reszty towarzystwa w jadalni znajdującej się w zachodnim skrzydle domu; zajął honorowe miejsce przy jednym końcu stołu, wokół którego siedzieli już pozostali członkowie rodziny. Po prawej stronie sir Clauda siedziała jego bratanica Barbara Amory, koło niej Richard Amory, jedyny syn sir Clauda; dalej włoski lekarz nazwiskiem Carelli, którego zaproszono na kolację. Miejsce po prawej stronie Carellego, naprzeciw sir Clauda, zajmowała jego siostra, Karolina Amory. Była to kobieta po sześćdziesiątce, która nigdy nie założyła własnej rodziny; prowadziła dom bratu, którego żona zmarła kilka lat temu. Koło panny Amory siedział sekretarz sir Clauda Edward Raynor, a obok niego żona Ri-charda Amory'ego, Lucia; jej sąsiadem po prawej stronie był sam pan domu, sir Claud.

Tym razem kolacja nie przebiegała w przyjemnej atmosferze. Karolina Amory, kobieta starej daty o nieco irytującym sposobie bycia, próbowała nawiązać rozmowę z doktorem Carellim, który udzielał jej dosyć uprzejmych odpowiedzi, ale nie wydawał się zbyt skory do konwersacji. Potem panna Amory zwróciła się do Edwarda Rayno-ra, ale ten zazwyczaj grzeczny i towarzyski młody człowiek wzdrgnął się nerwowo i wymamrotał coś przepaszajaco; wyglądał na zazenowanego. Sir Claud był jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Jego syn Richard od czasu do czasu posyłał zaniepokojone spojrzenie w stronę swojej żony Lucii. Jedynie młoda Barbara Amory wydawała się w dobrym nastroju; raz po raz zagadywała do ciotki Karoliny.

- Ciociu Karolino, ta solą jest przepyszna - zawołała, zabierając się z apetytem do jedzenia. - Jestem taka zadowolona, że korzystasz z usług tego nowego właściciela sklepu rybnego. Jest bardziej godny zaufania niż stary Hobbs.

Ciotka wymamrotała jakąś stosowną odpowiedź.

Kiedy Tredwell podawał na deser sałatkę owocową, sir Claud nagle zwrócił się do niego głośno, tak by wszyscy siedzący przy stole mogli usłyszeć jego słowa.

- Tredwell - powiedział - zadzwoń do garażu Jacksona w Market Cleve i poproś ich, żeby wysłali samochód z kierowcą na stację kolejową. O ósmej pięćdziesiąt przyjeżdżają dwaj panowie, którzy mają nas odwiedzić po kolacji.

- Dobrze, sir - odpowiedział Tredwell wychodząc. Kiedy lokaj zamknął za sobą drzwi, odezwał

się Richard.

- Jacy panowie, ojcze? Kogo spodziewasz się po kolacji? Kogoś z Londynu?

Ojciec uciszył zebranych gestem.

- Wkrótce wszyscy się dowiecie. Po kolacji zamierzam złożyć oświadczenie w bibliotece. Do tego czasu nie mam nic więcej do powiedzenia.

W tej chwili Lucia Amory, bąknąwszy „przepraszam”, wstała nagle od stołu i wybiegła z jadalni, kierując się przez korytarz w stronę biblioteki. Było to dosyć duże pomieszczenie, ale raczej przytulne niż eleganckie; spełniało rolę nie tylko biblioteki, ale również salonu.

Francuskie okna wychodziły na taras przed domem, a także na część ogrodu; drzwi na drugim końcu pokoju prowadziły do gabinetu sir Clauda. Na kominku, który znajdował się na lewo od drzwi, stał staroświecki zegar, jakieś ozdoby oraz wazon z fidybusami. Na prawo od wyjścia na korytarz były następne drzwi, prowadzące bezpośrednio do reszty domu, przedpokój i schody do sypialni na pierwszym piętrze oraz znajdujących się powyżej pomieszczeń dla służby.

Umeblowanie biblioteki składało się z biurka z telefonem, stojącego zaraz po lewej stronie drzwi na korytarz; dużej, dobrze wyposażonej biblioteczki na prawo od drzwi francuskich; stoliczka z gramo-

fonem i płytami oraz kanapy, przy której znajdował się stół-ława. Przy okrągłym stole na środku pokoju postawiono proste krzesło i wygodny fotel, a na małym stoliku przy ścianie stała roślina w doniczce. Meble w większości były tradycyjne, ale nie dość stare czy piękne, by zasługiwać na miano antyków.

Lucia Amory, piękna młoda kobieta w wieku lat dwudziestu pięciu, z bujnymi, ciemnymi włosami opadającymi na ramiona, o piwnych oczach, które niekiedy się ożywiały, teraz jednak zdradzały jakieś nieokreślone, skrywane emocje, stała niezdecydowana na środku pokoju.

Potem podeszła do okna i, odchylając nieco zasłony, wyjrzała na zewnątrz, gdzie było już ciemno. Z ledwie słyszalnym westchnieniem zamyślona przycisnęła czoło do chłodnej szyby.

Na korytarzu słychać było wołanie panny Amory:

- Lucia... Lucia... gdzie jesteś?

- Po chwili Karolina weszła do pokoju. Wzięła młodą kobietę pod ramię i zaprowadziła na kanapę.

- Usiądź tu, moja droga - poleciła, wskazując miejsce w rogu. Zanim postawiła diagnozę, przez chwilę uważnie przyglądała się Lu-cii. - Za kilka minut dojdiesz do siebie.

Lucia obdarzyła Karolinę słabym uśmiechem wdzięczności.

- Tak, oczywiście - potwierdziła - właściwie czuję się już lepiej. Chociaż mówiła nienaganną angielszczyzną - może nawet zbyt nienaganną - intonacja zdradzała, że angielski nie jest jej

ojczystym językiem. - Po prostu poczułam się słabo, to wszystko - ciągnęła. - To śmieszne. Nigdy przedtem nic podobnego mi się nie przydarzyło. Nie mam pojęcia, co się stało. Możesz już wrócić, ciociu Karolino. Wszystko będzie dobrze.

Karolina Amory przyglądała się, zatroskana, jak Lucia wyjmuje chusteczkę z torebki i przeciera oczy. Uśmiechnęła się znowu:

- Wszystko będzie dobrze. - powtórzyła. - Naprawdę, uwierz mi.

Panna Amory nie była o tym do końca przekonana.

- Przez cały dzisiejszy wieczór nie wyglądałaś zbyt dobrze, moja droga - powiedziała, spoglądając z troską na dziewczynę.

- Naprawdę?

- Tak. - Panna Amory usiadła na kanapie obok Lucii. - Może złapałaś jakieś przeziębienie, kochanie. Lato w Anglii potrafi być niekiedy zdradzieckie. Zupełnie inaczej niż ten włoski upał, do którego jesteś przyzwyczajona. Italia to taki cudowny kraj.

- Italia - wyszeptała w zamyśleniu Lucia, odkładając torebkę. -Italia...

- Wiem, moje dziecko. Z pewnością bardzo tęsknisz do swojej ojczyzny. Różnice pomiędzy naszymi krajami są ogromne - weźmy choćby na przykład pogodę i obyczaje. Anglicy muszą wydawać ci się tacy chłodni i opanowani. Z kolei Włosi...

- Nie, wcale nie tęsknię do Włoch - wykrzyknęła Lucia z gwałtownością, która zdumiała pannę Amory. - Ani trochę!

- Ależ drogie dziecko, nie musisz się wstydzić swojej tęsknoty za domem...

- Niczego się nie wstydzę! Nienawidzę Włoch. Zawsze nienawidziłam. Czuję się jak w niebie, mogąc być tu, w Anglii, w towarzystwie tak miłych ludzi. Po prostu w siódmym niebie!

- Jesteś bardzo miła, kochanie - powiedziała Karolina - choć jestem przekonana, że kieruje tobą wyłącznie uprzejmość. To prawda, że wszyscy bardzo się staramy, abyś była szczęśliwa, czuła się jak u siebie w domu, ale byłoby rzeczą naturalną, gdybyś od czasu do czasu tęskniła za krajem. A poza tym, nie mając matki...

- Proszę cię, nie wspominaj o mojej matce - przerwała jej Lucia.

- Dobrze, jeżeli sobie tego życzysz. Nie miałam zamiaru cię denerwować. (Boże drogi - pomyślała - ci cudzoziemcy!) Chcesz sole trzeźwiące? Są w moim pokoju.

- Nie, dziękuję - odparła Lucia. - Już doszłam do siebie, naprawdę.

- To dla mnie żaden kłopot - nalegała Karolina. - Mam sole trzeźwiące w bardzo ładnej, różowej buteleczce. Do tego bardzo mocne. To jest chyba salmiak. A może spirytus salicylowy? Nie pamiętam. W każdym razie, nie jest to środek do czyszczenia wanny.

Lucia uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Panna Amory wstała i najwidoczniej nie mogła

się zdecydować, czy pójść po sole trzeźwiące. Wreszcie podeszła do kanapy i zaczęła poprawiać poduszki.

- Tak, sądzę, że złapałaś jakieś przeziębienie - ciągnęła. - Jeszcze dziś rano wyglądałaś na okaz zdrowia. A może zdenerwowałaś się spotkaniem tego swojego włoskiego przyjaciela, doktora Carellego? Zjawił się tak nagle i niespodziewanie, prawda? Musiało to być dla ciebie sporym szokiem.

Do biblioteki wszedł Richard, mąż Lucii, nie zauważony przez pannę Amory. Zdawało się, że słowa Karoliny zdenerwowały Lucie,

która wcisnęła się w kanapę, zamykając oczy; wstrząsały nią dreszcze.

- Co ci jest, kochanie? - zapytała panna Amory. - Znowu poczułaś się słabo?

Richard zamknął za sobą drzwi i podszedł do pań. Był to dosyć przystojny młody człowiek około trzydziestki, z jasnorudymi włosami, średniego wzrostu, o przysadzistej, muskularnej sylwetce.

- Idź skończyć kolację, ciociu Karolino - powiedział do panny Amory. - Ja zajmę się Lucią. Wszystko będzie dobrze.

Karolina Amory wciąż wyglądała na niezdecydowaną.

- Och, to ty, Richardzie. Cóż, może rzeczywiście powinnam sobie pójść - zgodziła się niechętnie, i powoli, z wahaniem, ruszyła w stronę drzwi prowadzących na korytarz. - Wiesz, jak twój ojciec nie lubi takiego zamieszania. Zwłaszcza kiedy mamy gości. To nie to samo, co gościć bliskiego przyjaciela rodziny. - Odwróciła się do Lucii. - Właśnie mówiłam, nieprawdaż, jaki to dziwny zbieg okoliczności, że doktor Carelli pojawił się w ten sposób, nie mając pojęcia o tym, że mieszkasz w tej części świata. Po prostu wpadłaś na niego po drodze i zaprosiłaś na herbatę. To było dla ciebie wielkim zaskoczeniem, prawda, kochanie?

- Tak - potwierdziła mechanicznie Lucia.

- Świat jest taki mały! Zawsze to powtarzam - ciągnęła panna Amory. - Twój przyjaciel jest niezwykle przystojny, Lucio.

- Tak uważasz?

- Oczywiście, wygląda na cudzoziemca - przyznała panna Amory - ale mimo to jest bardzo przystojny. I doskonale mówi po angielsku.

- Chyba tak.

Wyglądało na to, że panna Amory nie ma zamiaru zmienić tematu rozmowy.

- Naprawdę nie miałaś pojęcia - zapytała - że bawi w tej części świata?

- Najmniejszego pojęcia - odpowiedziała z naciskiem Lucia. Richard Amory przyglądał się żonie z uwagą. Wreszcie powiedział cicho:

- Zrobił ci chyba wspaniałą niespodziankę, Lucio.

Lucia spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała. Panna Amory natomiast rozpromieniła się.

- Tak, z pewnością - ciągnęła. - Czy dobrze go znałaś we Włoszech, kochanie? Był z tobą bardzo zaprzyjaźniony? Zgaduję, że tak.

W głosie młodej kobiety zabrzmiała nutka goryczy:

- Nigdy nie był moim przyjacielem.

- Ach, tak. Zwykły znajomy. A jednak dosyć szybko przyjął moje zaproszenie na kolację.

Czasami myślę, że cudzoziemcy bywają nieco nachalni. Och, oczywiście nie mam na myśli

ciebie, kochanie... - Panna Amory urwała w porę, oblewając się rumieńcem. - Ty jesteś przecież na wpół Angielką. - Spojrzała na bratanka z figlarnym błyskiem w oku - A właściwie to jest już prawdziwą Angielką, prawda, Richardzie?

Richard nie odpowiedział. Podeszedł do drzwi i otworzył je, zapraszając pannę Amory do wyjścia.

- Cóż - powiedziała, zbliżając się do niego niechętnie - jeżeli jesteś pewien, że nic więcej nie mogę zrobić...

- Tak - ton Richarda był szorstki, podobnie jak jego słowa. Panna Amory, robiąc niepewny gest i po raz ostatni uśmiechając się nerwowo do Lucii, wyszła z pokoju.

Richard z ulgą zatrzaskał za nią drzwi i podeszedł do żony.

- Gadała i gadała - sarknął. - Myślałem, że nigdy sobie nie pójdzie.

- Ona po prostu starała się być miła, Richardzie.

- Och, może i tak. Ale, do diaska, stara się aż za bardzo.

- Myślę, że mnie lubi - szepnęła Lucia.

- Co? Ach tak, oczywiście - powiedział Richard Amory z roztargnieniem. Stał nieruchomo, obserwując z uwagą żonę. Przez kilka chwil panowała pełna napięcia cisza. Potem, zbliżając się do niej, zapytał:

- Na pewno niczego nie potrzebujesz?

Lucia spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem.

- Nie, dziękuję ci, Richardzie. Możesz wrócić do salonu. Teraz naprawdę czuję się już dobrze.

- Zostanę tu z tobą.

- Ale ja wolałabym być sama.

Zapadła cisza. Potem, podchodząc do kanapy, Richard powiedział:

- Może chcesz jeszcze jedną poduszkę pod głowę?

- Nie, dziękuję. Przydałoby się jednak wpuścić trochę powietrza. Może otworzysz okno?

Podeszedł do okna; przez chwilę mocował się z klamką.

- Do diaska! - wykrzyknął. - Stary zamontował tu jeden z tych swoich przeklętych wynalazków. Nie da się tego otworzyć bez klucza.

Lucia wzruszyła ramionami.

- No cóż - powiedziała - właściwie to nie ma znaczenia. Richard wrócił na środek pokoju i usiadł na krześle przy okrągłym stole. Pochylił się do przodu, opierając łokcie o uda.

- Stary jest niemożliwy. Ciągłe robi jakieś nowe wynalazki.

- To prawda. Musiał zarobić na tym sporo pieniędzy.

- Mnóstwo - potwierdził ponuro. - Ale nie to jest dla niego najważniejsze. Ci wszyscy okropni naukowcy są tacy sami. Zawsze gonią za czymś niepraktycznym, co może być interesujące tylko dla nich samych. Bombardowanie atomu, na miłość boską!

- Twój ojciec jest jednak wielkim człowiekiem.

- Może nawet jednym z najwybitniejszych obecnie żyjących uczonych - przyznał niechętnie Richard. - A przynajmniej wszyscy tak mówią. Ale on uznaje tylko własny punkt widzenia - mówił z rosnącą irytacją. - Mnie zawsze traktował bardzo źle.

- Wiem - powiedziała Lucia. - Trzyma cię tu, w tym domu, jakbyś był jego więźniem. Dlaczego cię nakłonił, byś zrezygnował z kariery w wojsku i zamieszkał razem z nim?

- Prawdopodobnie liczył na to, że pomogę mu w pracy naukowej. Powinien był jednak wiedzieć, że nie będzie miał ze mnie żadnego pożytku. Po prostu nie nadaję się do tego. Raynor ma przynajmniej jakieś przygotowanie. Jest kimś więcej niż sekretarzem. Naprawdę bardzo pomaga staremu w jego doświadczeniach. - Przysunął swoje krzesło do Lucii i znów się pochylił. - Mój Boże, Lucio, czasami doprowadza mnie to do rozpacz. Mam bogatego ojca, który wszystkie swoje pieniądze pakuje w te przeklęte eksperymenty. Żeby tak pozwolił mi wziąć część tego, co i tak pewnego dnia będzie moje; wówczas mógłbym wyrwać się stąd, póki jestem jeszcze dostatecznie młody, by jakoś ułożyć sobie życie.

Lucia usiadła wyprostowana.

- Pieniądze! - wykrzyknęła z nutką goryczy w głosie. - Wszystko zatem sprowadza się do tego!

- Czuję się jak mucha schwytna w pajęczą sieć - ciągnął Richard. - Bezbronny. Całkowicie bezbronny.

Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

- Och, Richardzie! - wykrzyknęła. - Ja też. Nie rozumiesz? Przyglądał się jej, przerażony.

Zamierzał się właśnie odezwać,

kiedy powtórzyła:

- Ja również czuję się bezbronna. Chcę stąd odejść. - Poderwała

się nagle i podeszła do niego, mówiąc z przejęciem: - Richardzie, na miłość boską, zabierz mnie

stąd, zanim będzie za późno!

- Zabrać cię stąd? - powtórzył beznamiętnie, z rezygnacją. - Dokąd? Dokąd, na Boga, możemy pójść?

- Dokądkolwiek! - zawołała Lucia, coraz bardziej podekscytowana. - Byle jak najdalej od tego domu. To jedynie się liczy, jak najdalej od tego domu! Boję się, Richardzie. Mówię ci, bardzo się boję. Te cienie... - Obejrzała się przez ramię za siebie, jak gdyby mogła je zobaczyć. - Tu wszędzie są cienie.

Richard ani drgnął.

- Jak możemy wyjechać, nie mając pieniędzy? - zapytał. Spojrzał na nią i ciągnął, rozgoryczony: - Mężczyzna bez pieniędzy nie jest wiele wart dla kobiety, prawda? Prawda? Lucia odsunęła się.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała. - Richardzie, o co ci chodzi? Wpatrywał się w nią w milczeniu, z twarzą zdradzającą napięcie, ale w dziwny sposób pozbawioną wyrazu.

- Co się z tobą dzieje, Richardzie? Jesteś dziś jakiś dziwny... Wstał z krzesła.

- Naprawdę?

- Tak... co ci jest?

- Cóż... - zaczął, ale ugryzł się w język. - Nic. Naprawdę, to nic takiego.

Chciał odwrócić się do niej plecami, ale Lucia powstrzymała go, kładąc mu ręce na ramionach.

- Richardzie, najdroższy... Odsunął od siebie jej dłonie, przyglądając się jej badawczo.

- Richardzie - powtórzyła błagalnie. Mężczyzna założył ręce do tyłu.

- Uważasz mnie za skończonego głupca? - warknął. - Myślisz, że nie widziałem, jak ten twój stary przyjaciel wsuwał ci liścik do ręki? - słowa „stary przyjaciel” wymówił ze specjalnym naciskiem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że podejrzewasz mnie o... Przerwał jej, wykrzykując gwałtownie:

- Dlaczego wyszłaś z jadalni? Nie czułaś się słabo, to był tylko pretekst. Chciałaś być sama, by móc przeczytać ten swój cenny liścik. Nie mogłaś się wprost doczekać. Odchodziłaś niemalże od zmysłów, tak ci się śpieszyło, żeby się od nas uwolnić; najpierw od ciotki Karoliny, która martwiła się o ciebie, a teraz ode mnie. - Patrzył na nią gniewnie, urażony.

- Richardzie! - wykrzyknęła Lucia. - To czyste szaleństwo i absurd. Nie myślisz chyba, że mi zależy na Carellim! Najdroższy, tylko ty się liczysz. Kocham cię. Musisz o tym wiedzieć.

- Co było w tym liście, który dał ci Carelli? - zapytał spokojnie.

- Nic... nic takiego.

- A więc pokaż mi go.

- Nie ... nie mogę. - wyszeptała. - Ja ten list podarłam.

Na twarzy Richarda przez chwilę zagościł lodowaty uśmiech.

- Nieprawda. Pokaż mi go.

Lucia milczała przez moment. Spojrzała na męża błagalnym wzrokiem. Potem zapytała łagodnie:

- Ty mi nie ufasz?

- Mógłbym zabrać ci go siłą - powiedział Richard przez zaciśnięte zęby, robiąc krok w jej kierunku. - Myślę, że mógłbym...

Cofnęła się, wydając cichy okrzyk, ze wzrokiem utkwionym w męża, jak gdyby chciała sprawić, aby jej uwierzył; ten jednak nagle się odwrócił.

- Nie - powiedział, jakby sam do siebie. - Są pewne granice, których po prostu nie można przekroczyć. - Znów na nią spojrzał. - Ale, jak mi życie miłe, policzę się z Carellim.

Lucia złapała go za rękę; jej oddech był szybki i urywany.

- Nie, Richardzie, nie wolno ci tego robić. Błagam cię, nie rób tego. Proszę cię.

- Boisz się o swojego kochanka, prawda? - szydził.

- Nie bądź śmieszny. On nie jest moim kochankiem - odpowiedziała gwałtownie.

Richard chwycił ją za ramię.

- Może jeszcze nim nie jest - rzekł. - Może...

Urwał, słysząc głosy dobiegające z korytarza. Starając się opanować, podszedł do kominka, wyjął z kieszeni papierośnicę i zapalniczkę, zapalił papierosa. Kiedy otworzyły się drzwi, Lucia podeszła do krzesła, na którym wcześniej siedział Richard. Była blada, zaciskała w zdenerwowaniu ręce; wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

Do pokoju weszła panna Amory w towarzystwie swojej bratanicy Barbary, młodej, niezwykle swobodnej i nowoczesnej dwudziesto-dwuletniej kobiety, atrakcyjnej i pełnej życia blondynki. Machając wesoło torebką, Barbara podeszła do Lucii.

- Witaj, kotku. Już lepiej się czujesz? - zapytała serdecznie, z troską.



### III

Lucia posłała Barbarze wymuszony uśmiech.

- Tak, dziękuję. Czuję się doskonale. Naprawdę.

Barbara przyglądała się pięknej brunetce, która była żoną jej kuzyna Richarda.

- Nie masz żadnych dobrych wiadomości dla Richarda? - zapytała z głupia frant. - O to chodzi, prawda?

- Jakich dobrych wiadomości? Nie wiem, o czym mówisz - Lucia sprawiała wrażenie zakłopotanej.

Barbara splotła ręce i wykonała taki ruch, jak gdyby kołysała dziecko. W reakcji na tę pantomimę Lucia uśmiechnęła się smutno i potrząsnęła przecząco głową. Panna Amory natomiast opadła na krzesło, zszokowana.

- Ależ, Barbaro! - wykrzyknęła zgorziona. - O czym ty myślisz!

- No cóż - powiedziała niezrażona Barbara - wypadki chodzą po ludziach. Niezaplanowana ciąża, to byłoby całkiem podobne do Lucii i Richarda.

Ciotka potrząsnęła energicznie głową.

- To niesłychane, na co stać dzisiejsze dziewczęta. W czasach mojej młodości o macierzyństwie wyrażaliśmy się zawsze z szacunkiem, nigdy nie pozwoliłabym na to, żeby... - Urwała na dźwięk otwieranych drzwi i, obejrawszy się, zobaczyła, że Richard wychodzi z pokoju. - Masz ci los! Zdenerwowałam Richarda - ciągnęła, zwracając się do Barbary - i nie mogę powiedzieć, że bym była zdumiona.

- Cóż, ciociu Karolino - odparła Barbara - w końcu jesteś przecież osobą epoki wiktoriańskiej, urodziłaś się, kiedy stara królowa miała przed sobą jeszcze dobrych dwadzieścia lat życia.

Jesteś typową przedstawicielką swojej generacji, a ja - mojej.

- Nie mam wątpliwości co do tego, którą z nich wolę... - zaczęła ciotka złośliwie, ale przerwał jej chichot Barbary:

- Myślę, że tamte czasy byty cudowne. Weźmy na przykład opowiadania, że dzieci znajduje się pod krzewami agrestu! To takie słodkie. Czasami chcę, żeby ta niezwykła epoka powróciła. Ale świat idzie naprzód, ciociu Karolino. Nie można zatrzymać postępu, tak jak nie można oczekiwać, żeby młodzi ludzie nie znali prawdziwego życia.

Barbara wyjęła z torebki zapalniczkę i papierosa. Właśnie zamierzała odezwać się ponownie, ale panna Amory uciszyła ją gestem ręki.

- Och, przestań się wygłupiać, Barbaro. Ja naprawdę bardzo się martwię o tę biedną dziewczynę i nie chcę, żebyś żartowała sobie ze mnie.

Lucia straciła nagle panowanie nad sobą i wybuchnęła płaczem. Ocierając oczy, mówiła przez łzy:

- Jesteście dla mnie tacy dobrzy. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by był dla mnie dobry, dopóki tu nie przyjechałam, dopóki nie wyszłam za Richarda. To cudowne być tu z wami. Nie mogę się powstrzymać, ja...

- Tak, tak - powiedziała panna Amory, podchodząc do Lucii i kładąc jej rękę na ramieniu. - Tak, tak, moja droga. Wiem, co to znaczy spędzić całe życie za granicą; jest to wielce nieodpowiednie dla młodej dziewczyny - niewłaściwy sposób wychowania, a poza tym ludzie na kontynencie mają bardzo dziwne wyobrażenia na temat edukacji. Tak, tak.

Barbara przyglądała się im z nieco znudzonym wyrazem twarzy.

- Naprawdę nie powinnaś tak bardzo poddawać się emocjom, kochanie - powiedziała, odwracając się.

Lucia wstała z krzesła, i rozejrzała się niepewnie dookoła. Panna Amory zaprowadziła ją na kanapę, a potem, poprawiając poduszki, usiadła obok niej.

- To naturalne, że jesteś zdenerwowana, moja droga. Musisz jednak zapomnieć o Italii. Chociaż na wiosnę włoskie jeziora są wprost zachwycające. Wspaniałe miejsce do spędzenia wakacji, ale nie chciałabym tam mieszkać. No już, nie płacz.

- Wydaje mi się, że ona potrzebuje jakiegoś mocnego drinka, a nie wykładu na temat włoskich jezior - zasugerowała Barbara, siadając na brzegu ławy i patrząc na Lucie krytycznie, ale nie bez sympatii. - Ten dom jest bardzo dziwny, ciociu Karolino. Zupełnie nie na czasie. Nie uświadczysz tu ani kropli koktajlu. Przed kolacją pija się wyłącznie sherry lub whisky, potem brandy. Richard nie ma najmniejszego pojęcia o tym, jak należy przyrządzić manhattan, a spróbuj tylko poprosić Edwarda Raynora o koktajl z whisky. A teraz tylko Diabelski Wąs mógłby natychmiast postawić Lucie na nogi.

Panna Amory, zszokowana i przerażona, spojrzała na bratanicę.

- Co to jest ten Diabelski Wąs? - zapytała.

- To całkiem proste do zrobienia, jeżeli masz wszystkie składniki

- wyjaśniła Barbara. - Bierzesz w równych częściach brandy i creme de menthe, nie zapominając o dodaniu szczypty pieprzu. To najważniejsze. Absolutnie fantastyczny koktajl, który z pewnością doda ci animuszu.

- Barbaro, wiesz przecież, że nie pochwalam tego - wzdrygnęła się panna Amory. - Mój biedny

ojciec zwykł mówić, że...

- Nie wiem, co mówił - przerwała jej Barbara - ale każdy w rodzinie wie, że nasz kochany staruszek Algernon miał opinię pijusa.

Z początku wyglądało na to, że Karolina Amory wybuchnie, ale potem na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech i powiedziała tylko:

- No cóż, przyznaję, że mężczyźni się od nas różnią. Barbara nie zamierzała przyjąć tego do wiadomości.

- Nie różnią się ani trochę. A w każdym razie nie rozumiem, dlaczego miałyby się im na to pozwalać. Po prostu ostatnio uchodziło im to na sucho. - Wyjęła z torebki lusterko, puderniczkę i szminkę.

- Jak dzisiaj wyglądamy? - zapytała sama siebie. - Och, mój Boże!

- Z udawanym przerażeniem, co wyglądało komicznie, zaczęła poprawiać makijaż.

- Barbaro, chciałabym, żebyś nie nadużywała tej czerwonej szminki; to taki jaskrawy kolor - powiedziała ciotka.

- Mam nadzieję - odparła Barbara, wciąż zajęta makijażem.

- W końcu kosztowało mnie to siedem szylingów i sześć pensów.

- Siedem szylingów i sześć pensów! Wyrzucone pieniądze, i to na... na...

- „Odporną na pocałunek”, ciociu Karolino.

- Słucham?

- To szminka. Nazywa się „Odporna na pocałunek”. Ciotka prychnęła pogardliwie.

- Wiem, że wargi często pękają, jeżeli są wystawione na silny wiatr; w takim wypadku trzeba zastosować jakąś pomadkę - na przykład lanolinę. Ja zawsze używam...

Barbara przerwała jej.

- Kochana ciociu Karolino, daj spokój; dziewczyna nie może być tak bardzo umalowana! W końcu nie wiadomo nawet, czy nie straci całego tego makijażu w taksówce, w drodze powrotnej do domu.

- Mówiąc to, włożyła swoje akcesoria z powrotem do torebki.

Panna Amory wyglądała na zdumioną.

- O czym ty mówisz - „w taksówce w drodze powrotnej do domu”? - zapytała. - Nie rozumiem.

Barbara podeszła do kanapy i pochyliła się nad Lucią.

- Nieważne. Lucia wie, o co chodzi, prawda, kochanie? - powiedziała, szczypiąc Lucie w podbródek.

Ta rozejrzała się dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Przepraszam cię najmocniej, ale nie słuchałam. Co powiedziałaś? Karolina Amory ponownie

zajęła się Lucią, wracając do tematu jej samopoczucia.

- Wiesz, moja droga, naprawdę martwię się o ciebie. - Odwróciła się do Barbary. - Ona powinna coś zażyć, jeżeli nie czuje się dobrze. Co tu mamy? Amoniak, to doskonały środek. Niestety Ellen, ta nieuważna pokojówka, rozbiła buteleczkę dziś rano, kiedy ścierała kurze w moim pokoju.

Zagryzając wargi, Barbara zastanawiała się przez chwilę. Potem wykrzyknęła:

- Wiem! Szpitalna apteczka!

- Szpitalna apteczka? Co masz na myśli? Jaka szpitalna apteczka? - dopytywała się panna Amory.

Barbara usiadła na krześle koło ciotki.

- Nie pamiętasz? Rzeczy Edny. Twarz Karoliny rozjaśniła się.

- Ach tak, oczywiście! - Odwracając się do Lucii, wyjaśniła:

- Szkoda, że nie znałaś Edny, siostry Barbary, mojej starszej bratanicy. Wyjechała do Indii razem z mężem mniej więcej sześć miesięcy przed twoim przyjazdem. To była taka zdolna młoda kobieta.

- Bardzo zdolna - potwierdziła Barbara. - Właśnie urodziła bliźnięta. W Indiach nie ma krzewów agrestu, a zatem musiała je znaleźć pod drzewem mango.

Panna Amory uśmiechnęła się lekko.

- Bądź cicho, Barbaro - powiedziała. Potem, zwracając się ponownie do Lucii, ciągnęła: - Jak już mówiłam, kochanie, Edna w czasie wojny szkoliła się na aptekarkę. Pracowała tu, w naszym szpitalu. Wiesz, w czasie wojny zamieniliśmy Town Hali w szpital.

Potem, przez kilka lat po jej zakończeniu, Edna aż do zamążpójścia kontynuowała pracę w aptece w County Hospital. Znała się na lekarstwach, pigułkach i tego rodzaju rzeczach.

Przypuszczam, że wciąż tak jest. W Indiach ta wiedza musi być dla niej wprost nieoceniona. Ale o czym to mówiłam? Ach, tak - co zrobiliśmy z tymi jej wszystkimi buteleczkami, kiedy wyjechała?

- Doskonale pamiętam - wtrąciła Barbara - że kilka lat temu większość starych rzeczy Edny z apteki zapakowaliśmy do pudełka. Miały być posegregowane i rozesłane do szpitali, ale potem wszyscy

o tym zapomnieli, a przynajmniej nic mi nie wiadomo, żeby ktoś się tym zajmował. Schowano je na strychu i dopiero gdy Edna pakowała swoje rzeczy przed wyjazdem do Indii, wyciągnięto je stamtąd ponownie. Są tam, na górze, w tej biblioteczce - wciąż nie przejrane

1 nie posegregowane.

Biorąc ze sobą krzesło, podeszła do biblioteczki i zdjęła stamtąd czarne, blaszane pudełko. Nie zwracając uwagi na Lucie, która powiedziała cicho: „Nie rób sobie kłopotu, kochanie, naprawdę niczego nie potrzebuję”, Barbara zaniósła pudełko na stół.

- Cóż - zauważyła - teraz przynajmniej możemy się temu dokładnie przyjrzeć. - Otworzyła pudełko. - To dopiero, czego tu nie ma! - wykrzyknęła, wyjmując buteleczki. - Jodyna, balsam peruwiański, coś o nazwie „Tinct. Card. Co.”, olej rycynowy. - Skrzywiła się. - Ach, teraz dochodzimy do tego, co najlepsze - ogłosiła, wyjmując z pudełka małe szklane fiołki brązowego koloru. - Atropina, morfina, strychnina - odczytywała etykiety. - Uważaj, ciociu Karolino. Jeżeli mi się narazisz, dosypię ci strychniny do kawy, i czeka cię śmierć w straszliwych męczarniach. - Pogroziła żartobliwie ciotce, która machnąwszy ręką prychnęła. - Cóż, nie ma tu nic, co by mogło posłużyć jako środek wzmacniający dla Lucii; to pewne - powiedziała ze śmiechem Barbara, wkładając buteleczki i fiołki z powrotem do blaszanego pudełka. Trzymała właśnie w ręku fiołkę z morfina, kiedy otworzyły się drzwi i Tredwell wprowadził do pokoju Edwarda Raynora, doktora Carellego oraz Clauda Amory'ego. Pierwszy wszedł sekretarz sir Clauda Raynor, jasnowłosy, o raczej poważnym wyglądzie mężczyzna pod trzydziestkę; podszedł do Barbary i zaczął się przyglądać zawartości pudełka.

- Witam, panie Raynor. Interesują pana trucizny? - zapytała Barbara.

Doktor Carelli również podszedł do stołu. Był to ciemnowłosy, śniady mężczyzna koło czterdziestki, w doskonale skrojonym wieczorowym garniturze. Miał nienaganne maniere, a po angielsku mówił z ledwie słyszalnym cudzoziemskim akcentem.

- Co my tu mamy, droga panno Amory? - zagadnął.

Claud Amory zatrzymał się przez chwilę na progu, aby pomówić z Tredwellem.

- Zrozumiałeś moje polecenia? - zapytał.

- Tak, zrozumiałem doskonale, sir - odparł lokaj.

Tredwell opuścił pokój, a sir Claud podszedł do swojego gościa.

- Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, doktorze Carelli - powiedział uprzejmie - jeżeli udam się teraz do mojego gabinetu. Mam kilka ważnych listów do napisania, które muszą być wysłane jeszcze dziś wieczór.

- Wydawało mi się, że miałeś złożyć jakieś ważne oświadczenie w sprawie tych tajemniczych gości, na których czekamy - odezwał się niezadowolony Richard.

- Później. Wkrótce do was przyjdę. Raynor, zechcesz pójść teraz ze mną?

Sekretarz i jego pracodawca udali się do gabinetu. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Barbara wydała nagle cichy okrzyk i upuściła fiołkę, którą trzymała w ręku.

#### IV

Doktor Carelli podbiegł do Barbary i podniósł fiolkę, którą upuściła. Zanim z ukłonem podał ją dziewczynie, rzucił okiem na etykietę i wykrzyknął:

- A to co? Morfina!

Podszedł do stołu i wziął do ręki następną fiolkę.

- I strychnina! Czy mogę wiedzieć, młoda damo, skąd pani wzięła te śmiertelne fiolki?

Z zainteresowaniem zaczął się przyglądać zawartości blaszanego pudełka.

Barbara z niesmakiem spojrzała na przymilnego Włocha.

- Łupy wojenne - odpowiedziała krótko, uśmiechając się złośliwie. Odwracając się w stronę ciotki, powiedziała już bardziej uprzejmym tonem: - Nie spodziewałam się, że znajdę tam strychninę, więc doznałam lekkiego szoku. Dlatego upuściłam fiolkę. Zachowałam się jak idiotka.

Karolina Amory, wyraźnie zaniepokojona, podeszła do doktora Carellego.

- To nie są prawdziwe trucizny, w tych fiolkach, prawda doktorze? To znaczy, praktycznie nie mogłyby nikomu zaszkodzić? - zapytała. - To stare blaszane pudełko jest w domu od lat.

Wszystkie te lekarstwa są na pewno nieszkodliwe; czyż nie tak?

- Nie wiem, co w pani mniemaniu jest szkodliwe, droga pani - powiedział sucho Carelli - ale przypuszczam, że za pomocą tej małej dawki, jaką tu macie, można by uśmiercić z tuzin silnych mężczyzn.

- Och, miły Boże - panna Amory zamarła z przerażenia, opadając bezwładnie na krzesło.

- Tu na przykład - ciągnął doktor Carelli, zwracając się do zebranych - mamy coś bardzo interesującego. Wziął do ręki fiolkę, i odczytał powoli etykietę - „Chlorowódz strychniny; jedna szesna-

sta grama". Wystarczyłoby siedem lub osiem tych małych tabletek, żeby spowodować śmierć w męczarniach. Bardzo nieprzyjemny sposób na zejście z tego świata, nie polecam.

Wziął do ręki następną fiolkę. - „Siarczan atropiny". Czasami bardzo trudno jest odróżnić zatrucie atropinowe od zatrucia ptoma-inami. To również straszna śmierć. Ale tu... - tym razem mówił bardzo wolno i z namysłem - tu mamy jedną setną grama bromku hio-scyny. Nie brzmi groźnie, prawda? Ale zapewniam was, że wystarczyłoby zażyć połowę białych tabletek z tej fiolki i... Zrobił wymowny gest. - Całkowicie bezbolesne. Szybki, kamienny sen bez marzeń, z którego nie ma przebudzenia.

- Podszedł do Lucii, z fiolką w ręku, jak gdyby zachęcając młodą kobietę, żeby się jej

przyjrzała. Uśmiechał się, ale w jego oczach był smutek.

Lucia wpatrywała się w fiolkę jak urzeczona.

- Szybki, kamienny sen - mówiła niczym zahipnotyzowana, wyciągając rękę.

Doktor Carelli, zamiast wręczyć fiolkę Lucii, zwrócił się z pytającym spojrzeniem w stronę Karoliny. Ta wzdrygnęła się; wyglądała na zmartwioną, ale nic nie powiedziała. Wzruszając ramionami, Carelli odwrócił się od Lucii, wciąż trzymając w ręku fiolkę bromku hioscyny.

Otworzyły się drzwi na korytarz i wszedł Richard Amory. Bez słowa usiadł przy biurku. Za nim wkroczył lokal Tredwell z tacą, na której był dzbanek kawy wraz z filiżankami. Postawił to na stole i wyszedł; Lucia usiadła na kanapie i zaczęła nalewać kawę.

Barbara podeszła do Lucii i wzięła dwie filiżanki z kawą; jedną podała Richardowi, drugą przeznaczyła dla siebie. Tymczasem doktor Carelli był zajęty odkładaniem fiolek do pudełka przy stole na środku pokoju.

Panna Amory odezwała się do niego:

- Skóra mi cierpnie, doktorze, gdy słyszę od pana o tym kamiennym śnie bez przebudzenia i śmierci w męczarniach. Pewnie pan, jako Włoch, zna się doskonale na truciznach, prawda?

- Droga pani - roześmiał się Carelli - jakie to niesprawiedliwe - to co pani mówi - non sequitur<sup>3</sup>.

Dlaczego Włoch miałby znać się na truciznach lepiej niż Anglik? Słyszałem - ciągnął żartobliwie - że

trucizna częściej jest wykorzystywana jako narzędzie zbrodni przez kobiety niż przez mężczyzn. Może powinienem zapytać panią...? Ach, ale może miała pani na myśli Włoszkę? Pewnie zamierzała pani wspomnieć o pewnej kobiecie z rodu Borgia. Mam rację, co? - Podał pannie Amory filiżankę i podszedł z powrotem do stołu, aby wziąć kawę także dla siebie.

- Lukrecja Borgia - ta straszna osoba! Tak, chyba właśnie o niej myślałam - przyznała panna Amory. - W dzieciństwie miewałam koszmary o niej. Wyobrażałam ją sobie jako bardzo bladą, ale wysoką i piękną kobietę z włosami czarnymi jak smoła, dokładnie takimi, jakie ma nasza kochana Lucia.

Doktor Carelli podszedł z cukiernicą do Karoliny; ta jednak potrząsnęła przecząco głową. Carelli postawił cukiernicę z powrotem na tacy. Richard Amory odstawił na bok swoją filiżankę i zaczął przeglądać ilustrowane czasopismo, a tymczasem jego ciotka rozwijała temat Lukrecji Borgii.

- Tak, to były straszne koszmary. Śniłam, że byłam jedynym dzieckiem w pokoju pełnym dorosłych; wszyscy oni pili z eleganckich, kunsztownie zdobionych pucharów. Potem ta

---

<sup>3</sup> Nie wynika (z przesłanek) (fac).

fascynująca kobieta - teraz dochodzę do wniosku, że była bardzo podobna do ciebie, Lucio, kochanie - podchodziła do mnie i podawała mi puchar. Ale z jej uśmiechu wносиłam, że nie powinnam pić; wiedziałam jednak, że nie potrafię odmówić. Piłam, niczym zahipnotyzowana, a potem zaczynało mnie straszliwie palić w gardle i z trudem chwytałam oddech. To było okropne. Na koniec oczywiście się budziłam.

Doktor Carelli podszedł do Lucii i skłonił się żartobliwie.

- Droga Lukrecjo Borgia - rzekł błagalnym tonem - miej dla nas litość.

Lucia nie zareagowała na żart Włocha. Zdawało się, że w ogóle go nie słucha; siedziała, patrząc prosto przed siebie, pogrążona w zadumie. Zapanowało kłopotliwe milczenie. Carelli, uśmiechając się pod nosem, odwrócił się i dokończył swoją kawę. Barbara postanowiła natomiast rozruszać towarzystwo.

- Co powiecie na odrobinę muzyki? - zaproponowała, podchodząc do gramofonu. - Czego posłuchamy? Jest ta wspaniała płyta, którą kupiłam kilka dni temu w mieście. Zaczęła tańczyć, podśpiewując: - „Icek, Icek, co tam masz?” Co tam jeszcze jest?

- Ależ Barbaro, kochanie, z pewnością nie ta wulgarna piosenka, zaklinam cię - odezwała się błagalnie panna Amory; podeszła do

niej i również zaczęła przeglądać płyty. - Jest tu kilka znacznie lepszych nagrań. Jeżeli już musimy słuchać muzyki rozrywkowej, to są tu gdzieś płyty z ciekawymi utworami Johna McCormacka. A co byś powiedziała na „The Holy City”? - nie pamiętam nazwiska sopranu. A może ta urocza płyta Melby? Och - mamy tu „Largo” Hendla.

- Ależ ciociu Karolino! „Largo” Hendla na pewno nas nie rozweseli - zaprotestowała Barbara. - Jeżeli już musimy słuchać muzyki klasycznej, to są tu płyty z nagraniami opery włoskiej.

Doktorze Carelli, to jest chyba pańska specjalność. Proszę tu podejść i pomóc nam coś wybrać. Carelli, Barbara i panna Amory zaczęli przeglądać kolekcję płyt. Richard natomiast wydawał się całkowicie pochłonięty lekturą czasopisma.

- Tak, opera w zasadzie jest domeną Włochów. Prawie tak jak trucizny - zauważył z uśmiechem Carelli. - Co tu mamy? Verdi - to mój ulubiony kompozytor. - Najwybitniejszy Włoch dziewiętnastego stulecia, większy niż mężowie stanu i politycy. „Aida” jest cudowną operą; według mnie najlepszą, jaką stworzył. Czy jest tu jakiś fragment „Aidy”? Na przykład „O patria mia” - ta piękna aria, którą Aida śpiewa na początku trzeciego aktu, na brzegu Nilu w świetle księżyca. Zaśpiewał miękko, delikatnym głosem tenorowym o przyjemnym brzmieniu: - O patria mia, non ti vedro mai più\ Och, moja ojczyzno - mówi Aida. - Już nigdy więcej cię nie zobaczę. Wspaniała muzyka. Z olbrzymim ładunkiem uczuciowym. A co państwo powiecie na „Rigoletto”? - Znowu zanucił: - La donna è mobile, quai piuma al vento...



Barbara przerwała mu.

- Chryste, nie chcemy takiej napuszonej muzyki. Poszukajmy czegoś do tańca. Co powiecie na charlestona?

- Zapewniam panią, młoda damo, że przy muzyce z „Rigoletta” z powodzeniem można tańczyć - powiedział Carelli. - Aria tenora „Questa o quella” z pierwszego aktu może być wczesnym przykładem tego, co Amerykanie nazywają swingiem. Brzmi tak. Zaśpiewał kilka pierwszych taktów arii, ale przerwał ze śmiechem, kiedy Barbara robiąc komiczną minę zatkała uszy rękami.

Dyskusja przy gramofonie trwała nadal; tymczasem Lucia wstała, po czym wolno i niby to mimochodem zbliżyła się do stołu, na którym stało blaszane pudełko. Upewniwszy się, że nikt na nią nie patrzy, wyjęła fiolkę z etykieta: „Bromek hioscyny”. Wysypała na dłoń prawie wszystkie tabletki, jakie tam były. Wtedy właśnie otworzyły się drzwi prowadzące do gabinetu Clauda Amory'ego, i na progu pokazał się Edward Raynor, jego sekretarz. Stał tam przez chwilę, obserwując, jak Lucia odkłada fiolkę do pudełka i kieruje się w stronę ławy. W tym momencie rozległ się głos sir Clauda, wołającego z gabinetu. Trudno było rozróżnić słowa, ale Raynor, odwracając się w tamtą stronę, odpowiedział:

- Tak, oczywiście, sir Claud. Zaraz przyniosę panu kawę. Sekretarz postąpił krok w kierunku ławy, ale zatrzymał go głos

Clauda Amory'ego.

- A co z tym listem do Marshała?

- Został wysłany po południu, sir - odparł Raynor.

- Ależ Raynor, mówiłem ci - och, chodź tu, chłopcze - zagrzmiął sir Claud.

- Przepraszam pana, sir - powiedział Raynor odchodząc. Lucia, która na dźwięk głosu sekretarza spojrzała w jego stronę, chyba nie zdawała sobie sprawy, że Raynor obserwował jej ruchy. Odwracając się plecami do swojego męża, wysypała do jednej z filiżanek tabletki, które wciąż miała w ręku, i usiadła na kanapie.

Z gramofonu rozległy się nagle dźwięki szybkiego, skoczego fokstrota i Barbara zaczęła tańczyć. Richard Amory odłożył czasopismo, dokończył swoją kawę i podszedł do żony.

- Będę cię trzymał za słowo - powiedział. - Już postanowiłem. Wyjedziemy razem.

Lucia spojrzała na niego, zaskoczona.

- Richardzie - wyszeptala - mówisz poważnie? To znaczy, że możemy stąd odejść? Myślałam, że... mówiłeś przecież... skąd weźmiemy pieniądze?

- Są różne sposoby na zdobycie pieniędzy - mruknął ponuro. Lucia spytała z przerażeniem:

- Co masz na myśli?

- Jeżeli mężczyźnie zależy na kobiecie tak bardzo, jak mnie zależy na tobie, zrobi wszystko, absolutnie wszystko! Rozumiesz?

- Wcale nie pochlebia mi to, co powiedziałeś - odparła Lucia. - Świadczy tylko o tym, że wciąż mi nie ufasz; sądzisz, że musisz kupić moją miłość za pomocą...

Urwała, kiedy otworzyły się drzwi do gabinetu; wrócił Edward Raynor. Podeszedł do stołu i wziął do ręki filiżankę z kawą, a Lucia

przesiadła się na drugą stronę kanapy. Tymczasem Richard z ponurą miną podeszedł do kominka i zaczął się wpatrywać w zgaszone palenisko.

Barbara, wciąż tańcząc swojego skoczego fokstrota, spojrzała na Richarda, jakby rozważała, czy ma poprosić go do tańca. Ale, najwidoczniej zniechęcona kamiennym wyrazem jego twarzy, odwróciła się w stronę Raynora.

- Chciałby pan ze mną zatańczyć, panie Raynor? - zapytała.

- Z przyjemnością, panno Amory. Ale dopiero za chwilę, kiedy zaniosę kawę panu Claudowi. Lucia raptownie wstała.

- Panie Raynor - powiedziała szybko - to nie jest kawa sir Clau-da, ale moja.

- Doprawdy? Najmocniej przepraszam.

- To jest kawa sir Clauda - powiedziała Lucia, wymieniając się filiżankami z Raynorem.

Uśmiechając się zagadkowo, postawiła na stole filiżankę, którą dał jej Raynor, i usiadła z powrotem na kanapie.

Sekretarz odwrócił się i skierował w stronę drzwi, ale zagroziła mu drogę Barbara.

- Proszę zatańczyć ze mną, panie Raynor - poprosiła z czarującym uśmiechem. - Mogłabym wprawdzie zwrócić się do doktora Ca-rellego, ale on po prostu umiera z chęci poproszenia do tańca Lucii.

Raynor stał niezdecydowany; podeszedł do niego Richard.

- Daj się skusić, Raynor - poradził. - Każdy w końcu to robi. Daj mi tę kawę; sam zaniosę ją ojcu.

Raynor niechętnie się zgodził. Richard Amory zatrzymał się na chwilę, po czym poszedł do gabinetu swojego ojca. Barbara i Edward, nastawiwszy płytę, tańczyli powoli walca. Doktor Carelli przyglądał się im przez chwilę z pobłażliwym uśmiechem, a potem podeszedł do Lucii, która siedziała wciąż na kanapie; wyglądała na zdruzgotaną.

- To bardzo uprzejme ze strony panny Amory, że zaprosiła mnie dzisiaj na kolację - powiedział. Lucia spojrzała na niego. Przez kilka sekund milczała, wreszcie się odezwała:

- To najmilsza osoba, jaką znam.

- Ten dom niezwykle mi się podoba - ciągnął Carelli. - Kiedyś musisz mnie po nim oprowadzić.

Bardzo mnie interesuje architektura prywatnych domów z tego okresu.

Tymczasem wrócił Richard. Ignorując swoją żonę i Carellego, podszedł do stołu, na którym leżało pudełko z lekami, i zaczął porządkować jego zawartość.

- Panna Amory mogłaby powiedzieć panu więcej na temat tego domu niż ja - powiedziała Lucia do Carellego. - Ja mało się na tym znam.

Włoch, upewniwszy się, że Richard jest zajęty lekami, Edward Raynor i Barbara tańczą wciąż walca na drugim końcu pokoju, a Karolina Amory najwidoczniej ucięła sobie drzemkę, usiadł obok Lucii.

- Czy zrobiłaś to, co chciałem? - spytał z naciskiem ściszym głosem.

- Nie znasz w ogóle litości? - odparła Lucia jeszcze ciszej, prawie szeptem, z rozpaczą.

- Zrobiłaś, co ci poleciłem? - Carelli był coraz bardziej natarczywy.

- Ja... ja... - zaczęła, ale urwała, wstając i odwracając się gwałtownie; spieszny krokiem podeszła do drzwi wychodzących na korytarz. Nacisnęła klamkę, ale bez skutku - drzwi pozostały zamknięte.

- Coś się stało z tymi drzwiami! - wykrzyknęła, odwracając się. - Nie mogę ich otworzyć.

- O co chodzi, kochanie? - zapytała Barbara, wciąż tańcząc z Raynozem.

- Nie mogę otworzyć drzwi - powtórzyła Lucia.

Barbara i Edward przestali tańczyć i podeszli do niej; także Richard wyłączył gramofon i podszedł do reszty towarzystwa przy drzwiach. Próbowali kolejno je otworzyć, ale bez powodzenia; obserwowali to panna Amory, która obudziła się, ale pozostała na swoim miejscu, oraz stojący koło biblioteczki doktor Carelli.

Pojawił się Claud Amory z filiżanką kawy w ręku, nie zauważony przez nikogo. Przez kilka chwil przyglądał się grupce stojącej przy drzwiach. Jego twarz przybrała ponury, zacięty wyraz.

- To niesłychane - wykrzyknął Raynor, rezygnując z próby otwarcia drzwi. - Wygląda na to, że się zacięły.

- Och nie, nie zacięły się. Są zamknięte. Zamknięte od zewnątrz - usłyszeli zdumieni głos sir Clauda.

Karolina Amory podeszła do brata. Miała zamiar się odezwać, ale uprzedził jej pytanie:

- To ja kazałem je zamknąć, Karolino.

Spojrzenia wszystkich skierowane były teraz na sir Clauda, który podszedł do stołu, wziął kostkę cukru i wrzucił ją do filiżanki.

- Mam wam coś ważnego do powiedzenia - oznajmił. - Richar-dzie, mógłbyś zadzwonić na Tredwella?

Wyglądało na to, że Richard zamierza coś odpowiedzieć; po chwili jednak bez słowa podszedł do kominka i nacisnął dzwonek na ścianie.

- Proponuję, żebyście usiedli - ciągnął sir Claud, wskazując na krzesła.

Doktor Carelli, nie kryjąc zdziwienia, usiadł. Edward Raynor i Lucia Amory również znaleźli sobie miejsce, natomiast Richard pozostał przy kominku; wyglądał na zaskoczonego. Karolina z Barbarą spoczęły na kanapie.

Kiedy już wszyscy siedzieli wygodnie, sir Claud przysunął fotel do okrągłego stołu, skąd mógł wszystkich z łatwością obserwować.

Otworzyły się drzwi z korytarza i wszedł Tredwell.

- Wzywał mnie pan, sir? - zapytał.

- Tak, Tredwell. Dzwoniłeś pod ten numer, który ci podałem?

- Tak, sir.

- Otrzymałeś wyczerpującą odpowiedź?

- Całkowicie wyczerpującą, proszę pana.

- I samochód pojechał na stację?

- Tak, sir. Już go tam wysłano.

- Doskonale, Tredwell. Możesz teraz zamknąć.

- Tak, proszę pana - odpowiedział lokaj, wychodząc. Zamknął za sobą drzwi i wszyscy usłyszeli odgłos klucza przekręcanego w zamku.

- Claud - powiedziała z wyrzutem panna Amory - co na Boga ten Tredwell sobie wyobraża...

- Wykonuje tylko moje polecenia, Karolino - przerwał jej ostro sir Claud.

- Czy możemy wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć? - zapytał chłodno Richard.

- Zaraz to wyjaśnię - odparł jego ojciec. - Proszę, wysłuchajcie mnie wszyscy spokojnie. Na początek powiem, że te drzwi, jak już zresztą wiecie... - wskazał na drzwi od strony korytarza

- są zamknięte od zewnątrz. Z mojego gabinetu jest tylko jedno wyjście, przez bibliotekę. Okna w tym pomieszczeniu są zamknięte. - Odwracając się w stronę Carellego, wyjaśnił: - Nawiasem mówiąc, zamknięte za pomocą urządzenia mojego wynalazku, o czym moja rodzina wie, nikt jednak nie ma pojęcia, jak się z tym obchodzić. - Po-

nownie zwrócił się do wszystkich: - To miejsce jest jak pułapka na szczury, - Spojrzał na zegarek. - Jest za dziesięć minut dziewiąta. Za kwadrans przybędzie szczurołap.

- Szczurołap? - Na twarzy Richarda malowało się zdumienie, połączone ze wzrastającym gniewem. - Jaki szczurołap?

- Detektyw - wyjaśnił sucho naukowiec, popijając kawę.

## V

Oświadczenie sir Clauda przyjęto z konsternacją. Lucia wydała cichy okrzyk, a mąż obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Panna Amory pisnęła z przerażenia, Barbara zawołała: „Chryste!”, a Edward Raynor zdobył się tylko na: „Och, panie Claud, co pan mówi!” Jedynie doktor Carelli zdawał się nie przejmować tym, co usłyszał.

Sir Claud usadowił się wygodnie w swoim fotelu, z filiżanką kawy w prawej ręce i spodeczkiem w lewej.

- Chyba udało mi się zrobić na was wrażenie - powiedział zadowolony. Dokończył kawę i krzywiąc się postawił filiżankę na stole. - Dziś jest bardziej gorzka niż zwykle - mruknął. Wyraz twarzy jego siostry zdradzał irytację z powodu obelgi rzuconej pod adresem kawy; odebrała to jako bezpośrednią krytykę swoich umiejętności kulinarnych. Właśnie miała coś powiedzieć, gdy odezwał się Richard Amory.

- Jaki detektyw? - zapytał ojca.

- Nazywa się Herkules Poirot - odparł sir Claud. - Jest Belgiem.

- Słyszałem o nim - zawołał Carelli. - Jest bardzo sławny.

- Ale dlaczego? - dopytywał się Richard. - Dlaczego wezwałeś detektywa?

- To z pewnością podstawowe pytanie - powiedział Claud Amory, uśmiechając się smutno. - Teraz dochodzimy do sedna sprawy. Od pewnego czasu, jak większość z was wie, jestem zaangażowany w badania nad strukturą atomu. Odkryłem nowy materiał wybuchowy. Jest on tak potężny, że wszystko, co dotychczas w tej dziedzinie wyprodukowano, będzie przy nim dziecinną zabawką. Ale większość z tego już wiecie...

Carelli zerwał się na równe nogi.

- Ja nie wiedziałem - wykrzyknął rozentuzjzmowany. - I bardzo chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej.

- Doprawdy, doktorze Carelli? - sir Claud nadał temu pustemu, konwencjonalnemu zwrotowi dziwną intonację i Carelli, nieco zakłopotany, usiadł z powrotem na swoim miejscu.

- Jak już mówiłem - ciągnął sir Claud - siła amorytu - tak go nazwałem - jest taka, że jeśli dotychczas zabijaliśmy tysiące, teraz możemy uśmiercić setki tysięcy.

- To przerażające! - krzyknęła Lucia, wzdrygając się.

- Moja droga Lucio - teść posłał jej słaby uśmiech - prawda nigdy nie jest przerażająca, tylko interesująca.

- Ale dlaczego... - zapytał Richard - dlaczego nam o tym opowiadasz?

- Ponieważ - odparł sir Claud - od pewnego czasu mam powód, aby podejrzewać, że któryś z mieszkańców tego domu próbuje wykraść wzór na amoryt. Prosiłem monsieur Poirota, aby przyjechał do nas jutro na weekend; w poniedziałek wróci do Londynu, zabierając ze sobą wzór, i dostarczy go osobiście urzędnikowi Ministerstwa Obrony.

- Ależ Claud, to absurd. Co więcej, to, co mówisz, jest dla nas w wysokim stopniu obraźliwe - powiedziała z wyrzutem panna Amory. - Chyba nie sądzisz, że ktoś z naszej rodziny mógłby...

- Jeszcze nie skończyłem, Karolino - przerwał jej brat. - I zapewniam cię, że w tym, co mówię, nie ma nic absurdalnego. Powtarzam, zaprosiłem Herkulesa Poirot na jutro, ale byłem zmuszony zmienić plany i poprosić go o przybycie jeszcze dziś wieczorem. Zrobiłem tak, gdyż... - Urwał. Kiedy odezwał się ponownie, mówił wolniej i z większym naciskiem. - Gdyż - ciągnął, wodząc wzrokiem po zebranych, którzy wsłuchiwali się w każde jego słowo - wzór, zapisany na zwykłej kartce papieru listowego i zakleiony w długiej kopercie, dziś wieczór przed kolacją został skradziony z sejfu w moim gabinecie. Złodziej znajduje się w tym pomieszczeniu!

Chór oburzonych okrzyków był odpowiedzią na słowa uczonego. Potem wszyscy zaczęli mówić równocześnie.

- Skradziony wzór? Co masz na myśli, Claud? - odezwała się pierwsza panna Amory.

- Jak to, z sejfu? Ależ to niemożliwe! - wykrzyknął Raynor.

W tym zamieszaniu nie brał udziału tylko doktor Carelli, który pozostał na swoim miejscu, pogrążony w zadumie. Reszta towarzystwa uciszyła się jednak dopiero wtedy, gdy sir Claud podniósł głos:

- Zwykle jestem pewien tego, co mówię - zapewnił swoich słuchaczy. - Dokładnie o siódmej dwadzieścia zamknąłem wzór w sejfie. Wychodząc stamtąd, minąłem się w drzwiach z Raynorem.

Zaczerwieniony z gniewu czy może z zakłopotania, sekretarz zaczął:

- Sir Claud, naprawdę muszę zaprotestować... Sir Claud przerwał mu gestem.

- Pozwól mi dokończyć. Raynor pozostał w gabinecie - ciągnął - i wciąż tam był, pracując, kiedy w drzwiach pojawił się doktor Carelli. Raynor pożegnał się z nim, pozostawiając go samego w gabinecie; zamierzał pójść do Lucii, aby dać jej znać, że...

- Protestuję! Ja... - zaczął mówić Carelli, ale sir Claud ponownie uniósł rękę i kiedy zapadła cisza podjął:

- Jednakże Raynor natknął się w drzwiach na moją siostrę Karolinę w towarzystwie Barbary. Cała ta trójka pozostała w tym pokoju; wkrótce dołączył do nich doktor Carelli. Karolina i

Barbara są jedynymi osobami, które nie wchodziły w ogóle do gabinetu.

Barbara spojrzała na ciotkę, a potem zwróciła się do sir Clauda:

- Obawiam się, że twoje informacje na temat naszych ruchów są niedokładne, wujku Claud. Z pewnością nie można mnie skreślić z listy podejrzanych. Pamiętasz, ciociu Karolino? Wysłałaś mnie do gabinetu po szydełko, które, jak twierdziłaś, gdzieś zapodziałaś. Myślałaś, że może tam być.

Uczony, nie zwracając uwagi na bratanicę, ciągnął:

- Potem w gabinecie zjawił się Richard. Pozostał tam sam przez kilka minut.

- Mój Boże! - wykrzyknął Richard. - Ależ ojcze, chyba nie podejrzewasz mnie o kradzież tego przeklętego wzoru?

Patrząc mu prosto w oczy, sir Claud odpowiedział dwuznacznie:

- Ten kawałek papieru jest wart mnóstwo pieniędzy.

- Rozumiem. - Richard popatrzył na niego z uwagą. - A ja mam długi. Do tego właśnie zmierzasz, prawda?

Sir Claud nie odpowiedział. Ogarniając spojrzeniem resztę towarzystwa, ciągnął:

- Jak już mówiłem, Richard pozostał w gabinecie przez kilka minut. Pojawił się z powrotem w bibliotece dokładnie wtedy, gdy weszła Lucia. Kiedy kilka chwil później zadzwoniono na kolację, Lucii już z nami nie było. Zastałem ją w gabinecie, stojącą przy sejfie.

- Ojcze! - wykrzyknął Richard, zbliżając się do żony i obejmując ją czule ramieniem. - Tym razem posunąłeś się za daleko!

- Powtarzam, zastałem Lucie stojącą koło sejfu - kontynuował sir Claud.

- Robiła wrażenie bardzo wzburzonej, a kiedy zapytałem ją, co się stało, odpowiedziała, że czuje się słabo. Zasugerowałem, że kieliszek wina mógłby jej dobrze zrobić. Zapewniła mnie jednak, że czuje się już lepiej, i wyszła. Nie poszedłem za nią od razu, zostałem w moim gabinecie. Nie wiem dlaczego, ale chyba intuicja podpowiedziała mi, żeby zajrzeć do sejfu. Odkryłem, że koperta z wzorem znikła.

Zapanowała cisza. Nikt się nie odzywał. Wyglądało na to, że powaga sytuacji zaczyna wreszcie docierać do zgromadzonych. Potem Richard zapytał:

- W jaki sposób zebrałeś informacje o naszych poczynaniach, ojcze?

- Ustaliłem to na drodze naukowej, metodycznej analizy - odparł sir Claud. - Innymi słowy, przez obserwację i dedukcję. Na podstawie tego, co widziałem na własne oczy, oraz tego, czego dowiedziałem się od Tredwella.

- Zauważyłam, że do grona podejrzanych nie zaliczasz Tredwella, naszej kucharki pani Farrow, dwóch pokojówek ani ogrodnika Thomsona - powiedziała z sarkazmem Karolina Amory. -

Wyłącznie członków własnej rodziny. Swoich najbliższych i najdroższych.

- Moją rodzinę - i, naturalnie, naszego gościa - poprawił ją brat. - Tak, masz rację, Karolino.

Ustaliłem, ku mej wielkiej satysfakcji, że ani Tredwell, ani nikt inny ze służby nie wchodził do gabinetu po tym, jak zamknąłem wzór w sejfie, aż do chwili, kiedy ponownie go otworzyłem i okazało się, że jest pusty. Sir Claud spojrział na każdego z nich po kolei, po czym dorzucił: -

Mam nadzieję, że sytuacja jest jasna dla wszystkich. Ktokolwiek wszedł w posiadanie koperty z wzorem, musi wciąż mieć ją przy sobie. Po tym, jak przyszedliśmy tu po kolacji, jadalnia została dokładnie przeszukana. Gdyby znaleziono tam ten kawałek papieru, Tredwell poinformowałby mnie o tym. I, jak widzicie, dopilnowałem, żeby nikt nie mógł opuścić biblioteki.

Przez kilka chwil panowała pełna napięcia cisza; przerwało ją dopiero uprzejme pytanie doktora Carellego:

- A zatem sugeruje pan, sir Claud, że wszyscy powinniśmy poddać się rewizji osobistej?

- Ja niczego nie sugeruję - odparł sir Claud, spoglądając na zegarek. - Jest teraz za dwie dziewiąta. Herkules Poirot i jego kolega, kapitan Hastings, z pewnością już przybyli do Market Cleve, gdzie

ktoś ma ich oczekiwać. Punktualnie o godzinie dziewiątej Tredwell, na moje polecenie, wyłączy światła głównym przełącznikiem w suterenie. Na jedną minutę, i tylko jedną, znajdziemy się w całkowitych ciemnościach. Kiedy ponownie zapalą się światła, sprawa nie będzie już w moich rękach. Wkrótce zjawi się tu Herkules Poirot, i on się tym zajmie. Ale jeżeli pod osłoną ciemności, ktoś położy tu wzór

- sir Claud uderzył ręką w stół - wówczas powiadomię monsieur Poirota, że nastąpiła pomyłka i jego usługi nie są mi już potrzebne.

- To skandaliczna insynuacja - powiedział wzburzony Richard, rozglądając się dookoła. -

Uważam, że powinniśmy poddać się rewizji. Ja się na to zgadzam.

- Ja również - pośpieszył z zapewnieniem Raynor.

Richard Amory posłał wymowne spojrzenie w stronę doktora. Włoch uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- I ja, naturalnie.

Richard przeniósł wzrok na ciotkę.

- Och, dobrze, jeżeli trzeba, to trzeba - mruknęła panna Amory.

- Lucia? - zapytał, zwracając się do żony.

- Nie, nie, Richardzie - odpowiedziała Lucia, wzdychając głośno. - Proszę cię, nie róbmy tego.

Plan twojego ojca jest najlepszy.

Przez chwilę Richard przyglądał się jej w milczeniu, z uwagą; był bardzo spięty.



- A więc, Richardzie? - zapytał sir Claud.

W odpowiedzi usłyszał zrazu tylko ciężkie westchnienie. Potem Richard powiedział:

- No cóż, przystaję na to. - Rzucił spojrzenie w stronę kuzynki Barbary, która wyraziła zgodę niedbałym ruchem ręki.

Sir Claud zmęczony opadł na fotel. Mówił wolno, z trudem.

- Wciąż czuję w ustach smak tej kawy - powiedział ziewając.

Zegar na kominku zaczął wybijać dziewiątą; zapanowała kompletna cisza, wszyscy zaczęli nasłuchiwać. Sir Claud odwrócił się powoli na krzesło i obrzucił badawczym spojrzeniem swojego syna Ri-charda. Wraz z ostatnim uderzeniem zegara nagle zgasły światła i pokój pogrążył się w ciemnościach.

Dało się słyszeć czyjeś sapanie i stłumione okrzyki kobiece; potem zabrzmiał donośny głos panny Amory:

- Naprawdę nic mnie to nie obchodzi.

- Cicho, ciociu Karolino - rzuciła Barbara. - Usiłuję nasłuchiwać.

Przez kilka sekund było cicho; potem usłyszeli czyjś ciężki oddech, rozległ się szelest papieru albo jakiegoś innego delikatnego materiału. Ponownie zapadła cisza, po czym dał się słyszeć metaliczny brzęk, odgłos rozdieranego papieru i taki hałas, jak by ktoś przewracał krzesło. Lucia zaczęła nagle krzyczeć.

- Sir Claud! Sir Claud! Już dłużej tego nie zniosę! Trzeba zapalić światło. Niech ktoś zapali światło, proszę!

Pokój był nadal pogrążony w ciemnościach. Ktoś głośno westchnął i rozległo się głośne pukanie do drzwi wychodzących na korytarz. Lucia znowu krzyknęła. Jak gdyby w odpowiedzi nagle zapaliły się wszystkie światła w bibliotece.

Richard stał teraz przy drzwiach, najwidoczniej nie mogąc się zdecydować, czy ma podjąć próbę ich otwarcia. Edward Raynor stał przy swoim krzesle, które się przewróciło. Lucia siedziała na swoim miejscu, a wyglądała tak, jak by za chwilę miała zemdleć.

Claud Amory z zamkniętymi oczami spoczywał nieruchomo w fotelu. Nagle Raynor wskazał na stół.

- Patrzcie - wykrzyknął - to jest z pewnością ten wzór!

Na stole obok sir Clauda leżała długa koperta, taka, o jakiej przedtem wspominał.

- Dzięki Bogu! - zawołała Lucia. - Dzięki Bogu!

Ktoś ponownie zapukał do drzwi, które tym razem otworzyły się powoli. Wszyscy spojrzeli z uwagą w tym kierunku; pojawił się Tredwell, wprowadził dwóch gości i wyszedł.

Pierwszy przybysz był to niezwykle mały człowieczek o wyglądzie dandysa, wroście niewiele

ponad 165 centymetrów, zachowujący się z wielką godnością. Miał jajowatą głowę, wysuniętą lekko do przodu, jak wężący terier; jego pieczołowicie wypielegnowane wąsy były wyjątkowo sztywne. Był bardzo starannie ubrany w ciemnoszary, dwurzędowy garnitur; jak na człowieka nieco już posuniętego w latach, jego włosy były podejrzanie czarne. Za nim do pokoju wszedł wyższy mężczyzna w średnim wieku, o postawie wojskowego; ubrany w piaskowy garnitur; miał sympatyczną, szczerą twarz ozdobioną szczeciniastym wąsikiem.

- Herkules Poirot, do państwa usług - z ukłonem przedstawił się pierwszy nieznajomy, po czym dorzucił: - A to jest mój przyjaciel, kapitan Hastings, który zgodził się towarzyszyć mi dzisiaj wieczoru.

Richard Amory wyciągnął rękę.

- Monsieur Poirot, kapitanie Hastings - powiedział, witając się z nimi.

- Sir Claud? - zapytał Poirot. - Ach, nie, to oczywiście, pan jest zbyt młody. Może więc jest pan jego synem? - Przeszedł koło Richarda na środek pokoju, a za nim podążył Hastings, który taktownie zauważył:

- Jaki przyjemny pokój.

Richard wziął małego detektywa pod ramię.

- Tak, rzeczywiście, nazywam się Richard Amory, jestem synem sir Clauda - powiedział, dodając zaraz: - Przykro mi, monsieur Poirot, ale obawiam się, że się pomyliliśmy, sprowadzając tu pana; pańskie usługi nie są nam już potrzebne.

- Naprawdę? - zapytał grzecznie Poirot.

- Tak, i jest mi bardzo przykro - ciągnął Richard. - Szkoda, że musiał przebyć pan tak długą drogę, aż z Londynu. Naturalnie, pańskie wynagrodzenie... i wydatki... to znaczy... wszystko zostanie uregulowane, naturalnie...

- Doskonale rozumiem, - powiedział Poirot - ale w tym momencie nie interesuje mnie moje wynagrodzenie ani wydatki.

- Nie? A więc co...?

- Co mnie interesuje, panie Amory? Powiem panu. Taka drobna sprawa. Oczywiście, to nie ma większego znaczenia, ale to pański ojciec mnie tu sprowadził. Dlaczego zatem nie on mnie odsyła?

- Och, naturalnie. Przepraszam najmocniej - Richard odwrócił się w stronę sir Clauda. - Ojczy, bądź tak dobry i powiedz monsieur Poirotowi, że już nie potrzebujemy jego usług.

Claud Amory nic nie odpowiedział ani się nie poruszył. Siedział nieruchomo w fotelu i miał zamknięte oczy.

- Ojczy! - wykrzyknął Richard, podchodząc do niego szybko. Pochylił się nad nim, po czym

raptownie odwrócił.

- Doktorze Carelli! - zawołał.

Panna Amory wstała, blada jak ściana. Carelli podbiegł do sir Clauda i zbadał jego puls, po czym, marszcząc brwi, przyłożył mu rękę do piersi. Po kilku sekundach spojrzał na Richarda z poważnym wyrazem twarzy i pokręcił wolno głową.

Poirot podszedł do fotela, na którym siedział uczony, i przyjrzał się jego nieruchomej postaci.

- Taak... Obawiam się... - mruknął, jakby do siebie - bardzo się boję, że...

- Czego pan się obawia, monsieur Poirot? - zapytała Barbara, zbliżając się do niego.

Poirot spojrzał na nią uważnie.

- Obawiam się, że sir Claud sprowadził mnie za późno, mademoiselle.

## VI

Oświadczenie Poirota przyjęto z konsternacją. Doktor Carelli przez kilka minut kontynuował badanie sir Clauda, potem wyprostował się i dołączył do reszty towarzystwa. Zwracając się do Richarda Amory, oznajmił:

- Niestety, pański ojciec nie żyje.

Richard popatrzył na Włocha z niedowierzaniem, jak gdyby nie zrozumiał jego słów. W końcu zapytał:

- Mój Boże... co to było? Zawał serca?

- Tak... tak mi się wydaje - odpowiedział Carelli trochę niepewnie.

Barbara podeszła do ciotki, aby ją podtrzymać, gdyż wydawało się, że Karolina zemdleje.

Pomagał jej w tym Edward Raynor, szepcząc:

- Mam nadzieję, że ten człowiek jest prawdziwym lekarzem?

- Tak, ale tylko włoskim - bąknęła w odpowiedzi Barbara; biorąc pannę Amory między siebie, posadzili ją na krześle. Poirot, który przypadkowo to usłyszał, potrząsnął energicznie głową. Potem, podkreślając z wielką dbałością swoje wspaniałe wąsy, uśmiechnął się i skomentował żartobliwie:

- Co do mnie, jestem detektywem - ale tylko belgijskim. Mimo to, madame, my cudzoziemcy niekiedy znajdujemy właściwe rozwiązania.

Barbara wyglądała na nieco zmieszaną. Przez jakiś czas rozmawiała jeszcze z Raynozem, a potem Lucia podeszła do Poirota, wzięła go za rękę i odciągnęła na bok.

- Monsieur Poirot - rzekła z przejęciem - musi pan zostać! Niech pan im nie pozwoli, żeby pana odprawili!

Poirot popatrzył na nią uważnie. Jego twarz pozostała nieprzenikniona, kiedy pytał:

- Czy naprawdę chce pani, żebym został, madame?

- Tak, tak - odpowiedziała Lucia, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę martwego sir Clauda, który wciąż siedział wyprostowany w swoim fotelu. - Coś tu się nie zgadza. Mój teść nigdy nie chorował na serce. Nigdy. Monsieur Poirot, pan musi ustalić, co naprawdę się stało. Doktor Carelli i Richard Amory wciąż kręcili się koło ciała zmarłego. Richard przechodził męki niezdecydowania; przerażenie niemal całkowicie go paraliżowało.

- Proponuję, panie Amory - przekonywał doktor Carelli - żeby wezwał pan lekarza ojca. Zakładam, że miał takowego?

Richard ocknął się, odpowiadając z wysiłkiem:

- Co? Ach, tak. To doktor Graham. Młody Kenneth Graham. Ma praktykę we wsi. Prawdę mówiąc, jest trochę zainteresowany moją kuzynką Barbarą. To znaczy... przepraszam, to bez znaczenia, prawda? - Spojrzał w kierunku Barbary. - Jaki jest numer telefonu Kennetha Grahama?

- Market Cleve pięć.

Richard podszedł do aparatu, podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie. Tymczasem Edward Raynor, przypomniawszy sobie o obowiązkach sekretarza, zapytał go:

- Myślisz, że powinienem zamówić samochód dla monsieur Poi-rot?

Poirot rozłożył ręce w przepaszającym geście. Zamierzał się odezwać, ale uprzedziła go Lucia.

- Pan Poirot zostaje. Na moją prośbę - oznajmiła.

Richard odwrócił się, zdumiony, wciąż trzymając słuchawkę przyciśniętą do ucha.

- Jak to? - zapytał krótko.

- Tak, tak, Richardzie, on musi zostać - nalegała Lucia niemal histerycznie.

Panna Amory patrzyła skonsternowana, Barbara i Edward Raynor wymieniali zaniepokojone spojrzenia, doktor Carelli przyglądał się w zamyśleniu martwemu ciału wielkiego uczonego, a Hastings, który dotychczas był całkowicie pochłonięty przeglądaniem książek na półkach, obrzucił towarzystwo badawczym spojrzeniem.

Richard zamierzał zareagować na wybuch Lucii, ale jego uwagę odwrócił głos w słuchawce.

- Och, słucham... Czy to doktor Graham? - zapytał. - Kenneth,

tu Richard Amory. Mój ojciec miał zawał serca. Możesz szybko przyjechać?... Cóż, właściwie obawiam się, że już nic więcej nie można zrobić... Tak, nie żyje.... Nie... Niestety tak...

Dziękuję ci. - Odłożył słuchawkę, podszedł do żony i cicho, wzburzoną głosem powiedział: - Lucio, postradałaś zmysły? Co ty wyprawiasz? Nie rozumiesz, że musimy się pozbyć tego detektywa? Lucia, zdumiona, wstała z krzesła.

- Jak to?

Rozmawiali szybko i cicho.

- Nie słyszałaś, co powiedział ojciec? - zapytał Richard i z naciskiem przypomniał: - Kawa jest bardzo gorzka.

Z początku zdawało się, że Lucia nie zrozumiała.

- Kawa jest bardzo gorzka - powtórzyła. Przez chwilę patrzyła na męża zdziwionym wzrokiem, po czym krzyknęła nagle przerażona; szybko się jednak opanowała.

- Teraz rozumiesz? - zapytał. Zniżając głos do szeptu, dorzucił:

- Został otruty. Najprawdopodobniej przez kogoś z rodziny. Chyba nie chcesz skandalu,

prawda?

- Och, mój Boże - szepnęła Lucia, patrząc prosto przed siebie.

- Miłosierny Boże.

Richard odwrócił się i podszedł do Poirota.

- Monsieur Poirot... - zaczął, ale potem zawahał się.

- Tak, M'sieu? - zapytał uprzejmie detektyw. Zbierając się na odwagę, Richard ciągnął:

- Monsieur Poirot, obawiam się, że nie całkiem rozumiem, p wyjaśnienie jakiej sprawy prosiła pana moja żona.

Poirot zastanawiał się przez chwilę. Potem, uśmiechając się zyczliwie, odpowiedział:

- Powiedzmy, że chodzi o kradzież dokumentu. Mademoiselle powiedziała mi - ciągnął, wskazując na Barbarę - że właśnie w tym celu mnie tu wezwano.

Rzucając w stronę Barbary pełne wyrzutu spojrzenie, Richard poinformował Poirota:

- Ten dokument już... się znalazł.

- Doprawdy? - zapytał Poirot, uśmiechając się zagadkowo. Uwaga wszystkich nagle skupiła się na małym detektywie, który

zbliżył się do stołu na środku pokoju i spojrzał na leżącą tam wciąż kopertę, o której zapomniano w zamieszaniu, spowodowanym odkryciem śmierci sir Clauda.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Richard.

Poirot teatralnym gestem podkreślił wąsy i strzepnął z rękawa wyimaginowany pyłek. W końcu odpowiedział:

- To tylko taki mój - niewątpliwie głupi - pomysł. Widzi pan, kilka dni temu ktoś mi opowiedział niezwykle zabawną historię. O pustej butelce - nic w niej nie było.

- Przykro mi, ale nie rozumiem - oświadczył Richard. Poirot, biorąc do ręki kopertę, mruknął:

- Zastanawiałem się, czy... - spojrzał na Richarda; ten zabrał mu kopertę i zajrzał do środka.

- Jest pusta! - wykrzyknął. Zmiał kopertę i rzucił ją na stół, spoglądając pytająco na Lucie, która odsunęła się od niego. - A zatem

- ciągnął niepewnie - chyba musimy poddać się rewizji osobistej... my...

Głos mu się załamał i Richard rozejrzał się dookoła, jak gdyby szukając czyjgoś wsparcia. W oczach Barbary i jej ciotki ujrzał zmieszanie, u Edwarda Raynora - oburzenie, a u Carellego - ironię. Lucia wciąż unikała jego wzroku.

- Może pan skorzysta z mojej rady, monsieur? - zaproponował Poirot. - Niech pan nic nie robi do czasu przybycia lekarza. Proszę mi powiedzieć - zapytał, wskazując na drzwi gabinetu - dokąd prowadzą te drzwi?

- Tam jest gabinet mojego ojca - odparł Richard. Poirot podszedł do drzwi, zajrzał do środka, a

potem wrócił do salonu, kiwając z zadowoleniem.

- Rozumiem - mruknął. Zwracając się do Richarda, dorzucił:

- Eh bien, monsieur. Nie widzę powodu, dla którego ktokolwiek z państwa miałby pozostać w tym pokoju, jeżeli sobie tego nie życzy.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Pierwszy ruszył się doktor Carelli.

- Oczywiście rozumie się - oświadczył Poirot, spoglądając na Włocha - że nikt nie może opuścić tego domu.

- Osobiście tego dopilnuję - powiedział Richard. Barbara wyszła w towarzystwie Raynora, za nimi Carelli. Karolina Amory wciąż stała przy krześle swojego brata.

- Biedny, kochany Claud - mówiła cicho sama do siebie. - Biedny, kochany Claud.

Poirot podszedł do niej.

- Musi być pani dzielna, mademoiselle - powiedział. - Przeżyła pani olbrzymi wstrząs, wiem o tym.

Panna Amory spojrzała na niego ze łzami w oczach.

- Tak się cieszę, że poleciłam kucharzowi przygotować smażoną solę na dzisiejszą kolację. To było ulubione danie mojego brata.

Detektyw, usiłując zachować powagę wobec tej uroczystej deklaracji, odpowiedział:

- Tak, tak, jestem pewien, że to musi stanowić dla pani wielką pociechę. - Wyprowadził pannę Amory z pokoju. Za nią podążył Richard; również Lucia, po chwili wahania, skierowała się energicznym krokiem do wyjścia. Poirot i Hastings pozostali w bibliotece sami z martwym ciałem sir Clauda.

## VII

Gdy tylko pokój opustoszał, Hastings zapytał szybko:

- No i co o tym myślisz?

- Zamknij drzwi, proszę - usłyszał w odpowiedzi. Kiedy przyjaciel wykonał to polecenie, Poirot pokręcił powoli głową i rozejrzał się dookoła. Zaczął chodzić po pokoju, rzucając okiem na meble i, od czasu do czasu, na podłogę. Nagle zatrzymał się przy przewróconym krześle, tym, na którym siedział Edward Raynor, kiedy zgasły światła. Spod krzesła wyciągnął mały przedmiot.

- Co tam znalazłeś? - zapytał Hastings.

- Klucz - odparł Poirot. - Wydaje mi się, że to może być klucz od sejfu. W gabinecie sir Clauda widziałem sejf. Bądź taki dobry, Hastings, i wypróbuj ten klucz; potem powiesz mi, czy pasuje. Hastings wziął klucz i udał się do gabinetu. Tymczasem Poirot podszedł do zwłok uczonego i wymacał w kieszeni jego spodni pęk kluczy, który wyjął i dokładnie obejrzał. Powrócił Hastings z informacją, że klucz istotnie pasuje do sejfu.

- Chyba wiem, co zaszło - oświadczył. - Sir Claud musiał to upuścić i...

Urwał, a Poirot potrząsnął z powątpiewaniem głową.

- Nie, nie, mon ami; daj mi ten klucz, proszę - zażądał, marszcząc brwi, jakby w zakłopotaniu. Wziął klucz od Hastingsa i porównał go z jednym z kluczy, które wyjął z kieszeni sir Clauda. Potem włożył je z powrotem do kieszeni zmarłego, zatrzymując pojedynczy klucz.

- To jest duplikat - powiedział. - Niezręcznie podrobiony, ale bez wątplenia spełniał swoje zadanie.

Hastings, niezwykle podekscytowany, wykrzyknął:

- A więc to znaczy...

Powstrzymał go ostrzegawczy gest Poirota. Usłyszeli zgrzyt klucza przekręcanego w zamku drzwi, które prowadziły do frontowego

korytarza i górnych pięter domu. Kiedy odwrócili się w tamtą stronę, drzwi powoli się otworzyły i na progu stanął Tredwell.

- Przepraszam, sir - powiedział, wchodząc do biblioteki i zamykając za sobą drzwi. - Pan polecił mi zamknąć te drzwi, jak również tamte drugie, wychodzące z tego pokoju, aż do czasu przybycia panów. Pan... - Urwał, dostrzegając nieruchomą postać sir Clauda w fotelu.

- Wasz pan niestety nie żyje - odezwał się Poirot. - Mogę wiedzieć, jak się nazywacie?



- Tredwell, sir. - Służący podszedł do biurka i spojrział na ciało swego pana. - O Boże. Biedny pan Claud! - wymamrotał. Odwracając się w stronę Poirota, dorzucił: - Proszę mi wybaczyć, sir, ale to dla mnie ogromny szok. Mogę wiedzieć, co się stało? Czy to... morderstwo?

- Dlaczego tak myślicie? - zapytał Poirot. Zniżając głos, lokaj odparł:

- Dziś wieczorem działy się tu dziwne rzeczy, sir.

- Tak? - zawołał Poirot, wymieniając spojrzenia z Hastingsem.

- Opowiedzcie mi o tym.

- Cóż, nie wiem, od czego zacząć, sir. Chyba... chyba po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, że coś jest nie tak, kiedy przyszedł na herbatę ten włoski dżentelmen.

- Włoski dżentelmen?

- Doktor Carelli, sir.

- Jego wizyta była niespodziewana? - zapytał Poirot.

- Tak, sir. Panna Amory poprosiła go, by został również na kolacji, jako że jest przyjacielem pani Lucii. Ale według mnie, sir...

Urwał, ale Poirot łagodnie zachęcił go, aby mówił dalej. - Tak?

- Mam nadzieję, że pan mnie zrozumie, sir - powiedział Tredwell. - Nie jest w moim zwyczaju plotkowanie na temat tej rodziny. Ale biorąc pod uwagę fakt, że pan nie żyje...

Znów urwał, a detektyw powiedział życzliwie:

- Tak, tak, rozumiem. Jestem pewien, że byliście bardzo przywiązani do swego pana. -

Tredwell skinął głową, a Poirot ciągnął:

- Sir Claud sprowadził mnie tu, aby mi o czymś powiedzieć. Musicie zdradzić mi wszystko, co wiecie.

- No cóż, moim zdaniem, sir, pani Lucia Amory nie chciała, żeby ten Włoch został na kolacji. Obserwowałem wyraz jej twarzy, kiedy panna Amory go zapraszała.

- Co sądzisz o doktorze Carellim? - zapytał Poirot.

- Doktor Carelli, sir - odpowiedział lokaj nieco wyniośle - nie jest jednym z nas.

Poirot, nie rozumiejąc do końca uwagi Tredwella, rzucił pytające spojrzenie w stronę Hastingsa, który odwrócił się, by ukryć uśmiech. Spoglądając z lekkim wyrzutem na przyjaciela, Poirot ponownie zwrócił się do Tredwella, który zachowywał śmiertelną powagę.

- Czy mieliście wrażenie - zapytał - że jest coś dziwnego w tym, że doktor Carelli zjawił się tu w taki sposób?

- Właśnie, sir. Jakoś nie było to naturalne. Po jego przybyciu zaczęły się kłopoty, sir Claud polecił mi posłać po pana i kazał zamknąć drzwi. Pani Amory również nie była sobą przez cały wieczór. Musiała odejść od stołu w czasie kolacji. Pan Richard był bardzo zdenerwowany z

tego powodu.

- Ach, była zmuszona odejść od stołu? Czy wchodziła do tego pokoju?

- Tak, sir.

Poirot rozejrzał się dookoła. Jego wzrok przyciągnęła torebka, którą zostawiła na stole Lucia.

- Jedna z pań zostawiła swoją torebkę - zauważył, biorąc ją do ręki.

Tredwell podszedł bliżej.

- To własność pani Amory, sir.

- Tak - potwierdził Hastings. - Zauważyłem, jak ją tu kładła tuż przed wyjściem z pokoju.

- Tuż przed wyjściem z pokoju? - rzekł Poirot. - Dziwne. - Położył torebkę na kanapie, marszcząc w zamyśleniu brwi.

- Jeżeli chodzi o zamknięcie drzwi, sir - kontynuował Tredwell po krótkiej przerwie - pan powiedział mi...

Poirot przerwał mu, raptownie otrząsając się z zadumy.

- Tak, tak, muszę dowiedzieć się wszystkiego. Chodźmy tędy - zaproponował, wskazując na drzwi prowadzące do frontowej części domu.

Tredwell skierował się w tamtą stronę, a Poirot poszedł za nim. Jednakże Hastings zatrzymał ich, oznajmiając z ważną miną:

- Ja chyba tu zostanę. Poirot odwrócił się, i spojrzał nań pytająco.

- Nie, nie, chodź z nami, proszę - powiedział wesoło.

- Ale czy nie sądzisz, że lepiej... - zaczął Hastings, ale Poirot mu przerwał, tym razem poważnym, uroczystym tonem:

- Potrzebuję twojej współpracy, przyjacielu.

- No cóż, dobrze, w takim razie oczywiście...

Wszyscy trzej wyszli razem z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zaledwie kilka sekund później drzwi wychodzące na korytarz otworzyły się powoli i weszła ukradkiem Lucia. Rozglądając się spieszenie dookoła, jak gdyby w celu upewnienia się, że w pokoju nie ma nikogo, podeszła do okrągłego stołu na środku pokoju i wzięła do ręki filiżankę sir Clauda. Wyraz jej twarzy z niewinnego stał się teraz przebiegły, hardy; wyglądała na dużo starszą.

Wciąż stała z filiżanką w ręku, jak gdyby nie mogąc się zdecydować, co ma robić, kiedy otworzyły się drugie drzwi, te prowadzące do frontowej części domu, i do biblioteki wszedł Poirot.

- Pani pozwoli, madame - powiedział, na co Lucia wzdrygnęła się gwałtownie. Podszedł do niej i wzięła filiżankę z miną człowieka pozwalającego sobie na prosty gest uprzejmości.

- Ja... ja... przyszedłam po torebkę - wydusiła z siebie Lucia.

- Ach, tak. Chwileczkę, gdzie ja widziałem damską torebkę? Ach, tak, tutaj. - Wziął torebkę z kanapy i wręczył ją dziewczynie.

- Dziękuję bardzo - powiedziała, rozglądając się dookoła w roztargnieniu.

- Nie ma za co, madame.

Rzucając detektywowi krótki, nerwowy uśmiech, Lucia wyszła spieszenie z pokoju. Poirot przez kilka chwil stał nieruchomo, po czym wziął do ręki filiżankę sir Clauda. Powąchał ją ostrożnie, wyjął z kieszeni probówkę i przelał tam kilka kropel kawy, jakie jeszcze zostały na dnie. Potem zaczął rozglądać się po pokoju, licząc głośno filiżanki.

- Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć. Tak, sześć filiżanek. Zmarszczył brwi, zamyślony, ale nagle w jego oczach pojawił się

młodzieńczy błysk, który u niego zawsze był oznaką wewnętrznego podniecenia. Podeszedł szybkim krokiem do drzwi, przez które niedawno wszedł, otworzył je i ponownie zatrzaskał głośno; potem podbiegł do okna i schował się za kotarą. Po kilku chwilach drugie drzwi, wychodzące na korytarz, znowu się otworzyły i weszła Lucia, tym razem jeszcze ostrożniej niż przedtem; widać było, że ma się na baczności. Rozglądając się dookoła, tak by mieć wszystkie drzwi w zasięgu wzroku, chwyciła filiżankę, z której pił kawę sir Claud, i obrzuciła pokój badawczym spojrzeniem.

Jej wzrok przyciągnął stoliczek w pobliżu wyjścia na korytarz, na którym stała roślina w dużej doniczce. Do tej doniczki Lucia wrzuciła filiżankę sir Clauda. Potem, wciąż obserwując drzwi, postawiła koło zwłok inną filiżankę. Ruszyła szybko do drzwi, ale właśnie wtedy otworzyły się one i wszedł Richard w towarzystwie wysokiego, jasnorudego mężczyzny po trzydziestce, o miłym, choć nieco surowym wyglądzie. Przybysz miał w ręku torbę lekarską.

- Lucia! - wykrzyknął Richard, zdumiony. - Co ty tu robisz?

- Ja... ja... przyszedłam po torebkę - wyjaśniła. - Witam, doktorze Graham. Przepraszam - rzuciła, mijając ich w pośpiechu. Kiedy Richard patrzył, jak odchodzi, zza kotary wynurzył się Poirot. Zbliżył się do dwóch panów, jak gdyby właśnie wszedł do pokoju innymi drzwiami.

- Ach, to monsieur Poirot. Pan pozwoli, to jest doktor Graham. Kenneth Graham. - Detektyw i lekarz ukłonili się sobie; doktor Graham podeszedł niezwłocznie do ciała, aby je zbadać, obserwowany przez Richarda. Herkules Poirot, na którego nikt już nie zwracał uwagi, chodził po pokoju, z uśmiechem przeliczając ponownie filiżanki.

- Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć - mruzczał. - Pięć, faktycznie. Twarz mu się rozjaśniła; niezwykle zadowolony, uśmiechnął się tajemniczo. Wyjął z kieszeni probówkę i, spoglądając na nią, pokręcił wolno głową.

Tymczasem doktor Graham zakończył pobieżne oględziny zwłok sir Clauda Amory'ego.

- Niestety - powiedział do Richarda - nie będę mógł wystawić aktu zgonu. Sir Claud był całkowicie zdrowym człowiekiem i wydaje • mi się nieprawdopodobne, żeby mógł dostać nagłego ataku serca. Obawiam się, że będziemy musieli wyjaśnić, co jadł lub pił w ostatnich godzinach swego życia.

- Wielkie nieba, stary, czy to naprawdę konieczne? - zapytał Richard z nutką trwogi w głosie. - Jadł i pił to samo, co my wszyscy. To absurdalne sugerować...

- Ja niczego nie sugeruję - przerwał doktor Graham stanowczym, autorytatywnym tonem. - Mówię ci, że trzeba będzie przeprowadzić śledztwo, a koroner z pewnością będzie chciał ustalić przyczynę zgonu. Teraz po prostu nie wiem, co było przyczyną śmierci sir Clauda. Każę zabrać jego ciało i załatwię przeprowadzenie sekcji jutro rano, w pierwszej kolejności. Jeszcze tego samego dnia powinienem przynieść ci jakieś wiadomości.

Wyszedł szybko z pokoju, a za nim podążył Richard, wciąż usiłując go przekonać. Poirot patrzył za nimi, po czym odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na ciało człowieka, który tak nalegał na jego przyjazd z Londynu.

- Co chciałeś mi powiedzieć, przyjacielu? Czego się obawiałeś? - myślał głośno. - Chodziło tylko o kradzież wzoru czy bałeś się także o swoje życie? Liczyłeś na pomoc Herkulesa Poirot. Wezwiałeś go za późno, ale on postara się odkryć prawdę.

Potrząsając głową w zamyśleniu, Poirot zaczął zbierać się do wyjścia, kiedy pojawił się Tredwell.

- Zaprowadziłem tamtego dżentelmena do jego pokoju, sir - powiedział. - Czy mogę zaprowadzić pana do pańskiego pokoju na górze, który sąsiaduje z tamtym? Pozwoliłem sobie również przygotować lekki posiłek dla obu panów, po podróży. Pokażę panu, gdzie znajduje się jadalnia.

Poirot skinął głową na znak aprobaty.

- Bardzo wam dziękuję, Tredwell. Tak się składa, że mam zamiar poprosić pana Amory'ego, żeby ten pokój pozostał zamknięty do jutra, kiedy to powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej na temat dzisiejszego smutnego wydarzenia. Czy zechcielibyście się tym zająć po naszym wyjściu?

- Oczywiście sir, jeżeli takie jest pańskie życzenie - odparł Tredwell, wychodząc za Poirotem z biblioteki.

## VIII

Hastings spał długo, mocnym snem; kiedy następnego ranka zszedł na śniadanie, nie zastał w jadalni nikogo. Od Tredwella dowiedział się, że Edward Raynor zjadł już śniadanie i wrócił do swojego pokoju w celu uporządkowania papierów sir Clauda; państwo Amory spożyli posiłek w swoim apartamencie i jeszcze się nie pojawili, a Barbara wyszła z filiżanką kawy do ogrodu, gdzie przypuszczalnie nadal się opala. Panna Karolina Amory, narzekająca na lekki ból głowy, poprosiła o śniadanie do swojego pokoju; od tamtej pory Tredwell jej nie widział.

- Czy widzieliście dzisiaj monsieur Poirota, Tredwell? - zapytał Hastings. W odpowiedzi usłyszał, że jego przyjaciel wstał wcześniej i postanowił przejść się do wioski.

- Monsieur Poirot mówił, że ma tam jakąś sprawę do załatwienia, o ile dobrze zrozumiałem - dorzucił lokaj.

Po obfitym śniadaniu, na które składały się jajka na bekonie, kielbaska, grzanka i filiżanka kawy, Hastings powrócił do swojego komfortowego pokoju na pierwszym piętrze, skąd roztaczał się wspaniały widok na część ogrodu, i, co bardzo go uradowało, przez kilka minut także na zażywającą kąpeli słonecznej Barbarę. Dopiero kiedy dziewczyna weszła do środka, Hastings usiadł w fotelu, trzymając w ręku poranne wydanie „Timesa”, który oczywiście poszedł do druku zbyt wcześnie, żeby można było w nim znaleźć jakąkolwiek wzmiankę o śmierci sir Clauda Amory'ego.

Otworzył gazetę na pierwszej stronie i zaczął czytać. Dobre pół godziny później obudził się z lekkiej drzemki i ujrzał nad sobą pochylonego Herkulesa Poirot.

- Ach, mon cher, ciężko pracujesz nad sprawą, jak widzę - zachichotał Poirot.

- W rzeczy samej, Poirot, przez pewien czas myślałem o wydarzeniach zeszłej nocy - powiedział Hastings. - Prawdopodobnie zasnąłem.

- Czemu nie, przyjacielu? Ja również myślałem o śmierci sir Clauda i o kradzieży tego jakże ważnego wzoru. Właściwie to już podjąłem pewne kroki w tej sprawie; czekam teraz na telefon, który potwierdzi lub obali moje podejrzenia.

- Kogo lub co podejrzewasz, Poirot? - spytał zaciekawiony Hastings.

Detektyw wyjrzał przez okno, po czym odparł:

- Nie, mój przyjacielu, na tym etapie gry nie mogę ci tego wyjawić. Powiem tylko tyle, że prestidigitatorzy występujący na scenie przekonują nas do swoich sztuczek, gdyż szybkość ich ręki zwoździ nasze oko.

- Naprawdę, Poirot - rzekł z wyrzutem Hastings - czasami potrafisz być wyjątkowo irytujący. Uważam, że powinieneś mi przynajmniej powiedzieć, kogo podejrzewasz o kradzież wzoru. W końcu może bym ci pomógł...

Poirot przerwał mu niedbałym ruchem ręki. Mały detektyw przybrał teraz najbardziej niewinną minę, na jaką było go stać, i zamyślony patrzył przez okno gdzieś w dal.

- Jesteś zaskoczony, Hastings? - zapytał. - Zastanawiasz się, dlaczego nie rzuciłem się w pościg za podejrzanym?

- No... coś w tym rodzaju - przyznał Hastings.

- Nie ma wątpliwości, co ty byś zrobił na moim miejscu - zauważył z satysfakcją Poirot. - Rozumiem to. Aleja nie jestem z tych, którzy lubią się śpieszyć, szukać igły w stogu siana, jak to się u was mówi. Na razie zadowolę się czekaniem. A jeżeli chodzi o to, dlaczego czekam - eh bien, dla Herkulesa Poirot, w przeciwieństwie do innych, mniej utalentowanych ludzi, pewne sprawy są całkowicie jasne.

- Miły Boże, Poirot! - wykrzyknął Hastings. - Wiesz, zapłaciłbym każde pieniądze, żeby tylko móc zobaczyć, jak robisz z siebie kompletnego idiotę - choćby tylko raz. Jesteś wprost nieprzyzwoicie zarozumiały!

- Nie wściekaj się, mój drogi - rzekł pojednawczo Poirot. - Po prawdzie, czasami odnoszę wrażenie, że mnie nie znosisz! Niestety, taka jest kara za wielkość!

Mały człowieczek wypiął pierś i westchnął tak komicznie, że Hastings roześmiał się.

- Poirot, naprawdę nie znam nikogo, kto by miał o sobie tak wysokie mniemanie, jak ty - oświadczył.

- A co z tobą? - zauważył Poirot, zadowolony z siebie. - Jeżeli jest się wyjątkowym, to się o tym wie. Ale teraz przejdźmy do poważnych spraw, mój drogi. Poprosiłem pana Richarda Amory'ego, syna sir Clauda, żeby spotkał się z nami w południe w bibliotece. Powiedziałem „z nami”, Hastings, gdyż chciałbym, żebyś tam był i z uwagą wszystkiemu się przyglądał.

- Jak zawsze, będę ci towarzyszył z przyjemnością, Poirot - zapewnił przyjaciel.

W południe Poirot, Hastings i Richard Amory spotkali się w bibliotece, skąd poprzedniej nocy zabrano ciało sir Clauda. Hastings słuchał i patrzył z wygodnej pozycji na kanapie, a detektyw poprosił Richarda, by ze szczegółami opowiedział, co się wydarzyło w wieczór poprzedzający ich przybycie. Richard siedział na krześle za biurkiem, w miejscu, które zeszłego wieczoru zajmował jego ojciec; kończąc swoją relację dorzucił:

- Cóż, myślę, że to wszystko. Mam nadzieję, że przedstawiłem to zrozumiale?

- Całkowicie zrozumiale, monsieur Amory - odpowiedział Poirot, opierając się o poręcz jedynego fotela w tym pomieszczeniu. - Teraz mam jasny obraz sytuacji. - Zamykając oczy,

próbował to sobie wyobrazić. - Oto w fotelu siedzi sir Claud, panujący nad sytuacją. Potem zapada ciemność, rozlega się pukanie do drzwi. Tak, to rzeczywiście dramatyczna scenka.

- Cóż - powiedział Richard wstając - jeżeli to już wszystko...

- Jeszcze tylko chwilkę - powstrzymał go ruchem ręki Poirot. Richard ponownie z ociąganiem usiadł na krześle.

- Tak, słucham?

- Co się działo wcześniej tego wieczoru, monsieur Amory?

- Wcześniej tego wieczoru?

- Tak, po kolacji - uściślił Poirot.

- Ach, wtedy! - powiedział Richard. - Naprawdę nie ma o czym mówić. Mój ojciec i jego sekretarz Raynor - Edward Raynor - poszli prosto do gabinetu. Reszta towarzystwa była tu, w bibliotece.

Poirot uśmiechnął się zachęcająco.

- I co robiliście?

- Och, po prostu rozmawialiśmy. Przez większość czasu mieliśmy włączony gramofon.

Detektyw zastanawiał się przez chwilę. Potem zapytał:

- Nie wydarzyło się nic, co uznałby pan za godne wzmianki?

- Nic - odpowiedział szybko Richard. Przyglądając mu się uważnie, Poirot naciskał dalej:

- Kiedy podano kawę?

- Zaraz po kolacji. Poirot zatoczył ręką koło.

- Czy lokaj podawał kawę każdemu z osobna, czy też zostawił dzbanek na stole, abyście sami sobie z niego nalali?

- Naprawdę nie pamiętam - odrzekł Richard.

Detektyw lekko westchnął. Zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał:

- Czy wszyscy pili kawę?

- Chyba tak. To znaczy, wszyscy z wyjątkiem Raynora. On nie pija kawy.

- Czy sir Claudowi zanesiono filiżankę do gabinetu?

- Wydaje mi się, że tak - odparł Richard, nieco już poirytowany. - Te wszystkie szczegóły naprawdę są potrzebne?

Poirot uniósł ręce w przeproszającym geście.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział - ale bardzo mi zależy, by mieć pełny obraz przed oczyma.

Po za tym przecież chcemy, żeby ten cenny wzór się odnalazł, prawda?

- Chyba tak - odpowiedział posępnie Richard, na co Poirot uniósł wysoko brwi, z lekkim okrzykiem zdumienia.

- Tak, oczywiście, naturalnie, że chcemy - pośpieszył z zapewnieniem Richard.

Poirot, odwracając się, rzucił pytanie:

- Kiedy sir Claud opuścił gabinet i wszedł do biblioteki?

- Dokładnie wtedy, gdy próbowali otworzyć te drzwi - poinformował go Amory.

- Oni? - zdziwił się Poirot.

- Tak. Raynor i doktor Carelli.

- Mogę wiedzieć, kto ich o to prosił?

- Lucia, moja żona. Nie czuła się dobrze przez cały wieczór. Detektyw powiedział z współczuciem:

- La pauvre dame! Mam nadzieję, że dzisiaj czuje się już lepiej? Jest kilka pilnych spraw, o które pragnę ją zapytać.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Nie jest w stanie widzieć się z nikim ani też odpowiadać na pytania. W każdym razie powiedziałaaby panu to samo, co ja.

- Całkiem możliwe, całkiem możliwe - zgodził się Poirot. - Ale

kobiety, monsieur Amory, mają wielką zdolność wyłapywania szczegółów. W takim razie zadowolę się przesłuchaniem panny Amory, pańskiej ciotki.

- Leży w łóżku - powiedział szybko Richard. - Śmierć mojego ojca była dla niej ogromnym wstrząsem.

- Tak, rozumiem - mruknął Poirot w zamyśleniu. Zapadła cisza. Richard, który zdawał się czuć nieswojo, wstał i podszedł do okna.

- Wpuśćmy trochę powietrza - zaproponował. - Tu jest bardzo gorąco.

- Ach, pan jest typowym Anglikiem - rzekł Poirot, uśmiechając się. - Dobre świeże powietrze. Nie zostawi go pan na dworze, o nie! Koniecznie trzeba wpuścić je do środka.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza to panu? - zapytał Richard.

- Mnie? Ależ skąd. Przejąłem już wszystkie angielskie obyczaje. Wszędzie biorą mnie za Anglika. Proszę mi wybaczyć, że pytam, monsieur Amory, ale czy to okno nie jest zamknięte za pomocą jakiegoś pomysłowego wynalazku?

- Tak, to prawda. Ale klucz do tego znajduje się wśród kluczy mojego ojca, które tu mam. - Wyciągając z kieszeni pęk kluczy, Richard podszedł do okna, przekręcił klamkę i otworzył je szeroko.

Poirot usiadł na krześle, z dala od francuskich okien i świeżego powietrza, wzdygając się; tymczasem Richard wciągnął głęboko powietrze i przez chwilę stał tam, spoglądając w na ogród. Potem zbliżył się do detektywa z miną człowieka, który podjął ważną decyzję.

- Monsieur Poirot, nie będę owijał w bawełnę. Wiem, że zeszłej nocy moja żona prosiła pana,



aby pan został, ale była zdenerwowana i rozhisteryzowana; właściwie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. To dotyczy przede wszystkim mnie, i powiem panu szczerze, że ten wzór wcale mnie nie obchodzi. Mój ojciec był bogatym człowiekiem. Jego odkrycie było warte mnóstwo pieniędzy, aleja nie potrzebuję więcej, niż mam, i nie będę ukrywał, że nie podzielałam jego entuzjazmu w tej kwestii. Na świecie jest wystarczająco dużo materiałów wybuchowych.

- Rozumiem - mruknął Poirot, zamyślony.

- Chciałem przez to powiedzieć - ciągnął Richard - że powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój.

Poirot uniósł brwi na znak zdumienia.

- Wolałby pan, żebym wyjechał i zrezygnował z dalszego dochodzenia?

- Tak, właśnie tak. - Richard Amory z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

- Ale ten, kto ukraść wzór - zaprotestował Poirot - zrobił to po to, żeby zrobić z niego użytek.

- Tak - przyznał Richard. Znów spojrzał na detektywa. - Ale mimo to...

Poirot, powoli, z naciskiem, kontynuował:

- A więc nie ma pan nic przeciwko - jak by to określić - piętnu winy?

- Piętnu winy? - wykrzyknął Richard.

- Pięć osób miało okazję, żeby ukraść ten wzór - wyjaśnił Poirot.

- Dopóki nie udowodni się winy jednej z nich, nie można uważać za niewinne czterech pozostałych.

Do pokoju wszedł Tredwell. Richard zaczął się jąkać:

- Ja... To jest... - ale lokaj mu przerwał.

- Przepraszam, sir - ale jest tu doktor Graham, który chciałby się z panem zobaczyć.

Richard, wyraźnie zadowolony, że nadarza się sposobność uniknięcia dalszego przesłuchania, odparł, podchodząc do drzwi:

- Już idę. - Odwracając się w stronę detektywa, dodał uprzejmie:

- Zechce mi pan wybaczyć? - po czym wyszedł w towarzystwie Tre-dwella.

Hastings wstał i podszedł do Poirota, niezwykle podekscytowany.

- Już wiem! - zawołał. - To trucizna, prawda?

- Co masz na myśli, mój drogi? - zapytał Poirot.

- Trucizna, z pewnością! - powtórzył Hastings, kiwając energicznie głową.

## IX

Poirot przyglądał się przyjacielowi rozbawiony.

- Jakież jesteś dramatyczny, mój drogi! - wykrzyknął. - Jak szybko i błyskotliwie wyciągasz wnioski!

- Teraz już nie możesz zbyć mnie w ten sposób, Poirot - zaprotestował Hastings. - Nie będziesz chyba udawać, że twoim zdaniem stary zmarł na atak serca. Od razu rzuca się w oczy to, co wydarzyło się zeszłego wieczoru. Ale muszę stwierdzić, że Richard Amory nie jest zbyt bystrzym facetem. Wydaje się, że możliwości otrucia w ogóle nie brał w rachubę.

- Tak sądzisz, przyjacielu?

- Doszedłem do tego wczoraj, kiedy doktor Graham oświadczył, że nie może wystawić aktu zgonu, i że trzeba będzie przeprowadzić sekcję zwłok.

Poirot westchnął lekko.

- Tak, tak - mruknął pojednawczo. - Właśnie z wynikami sekcji przyszedł doktor Graham. Za kilka minut dowiemy się, czy masz rację. - Miał zamiar coś dorzucić, ale ugryzł się w język. Podszedł do kominka i zaczął przesuwać wazon z fidybusami.

Hastings obserwował go z sympatią.

- No wiesz, Poirot - roześmiał się - masz bzika na punkcie porządku.

- Czy teraz nie wygląda lepiej? - zapytał detektyw, obserwując z przekrzywioną głową kominek.

Hastings parsknął.

- Nie mogę powiedzieć, żeby przedtem mnie to martwiło.

- Uważaj! - powiedział Poirot, grożąc mu żartobliwie palcem. - Symetria jest wszystkim. Wszędzie, a zwłaszcza w szarych komórkach, powinien panować ład i porządek. - Mówiąc to, stuknął się w głowę.

- Och, daj spokój, nie zaczynaj z tym swoim konikiem - jęknął błagalnie Hastings. - Lepiej wyjaw mi, co twoje cenne szare komórki o tym sądzą.

Poirot usiadł na kanapie. Popatrzył uważnie na Hastingsa, mrużąc oczy tak, że było widać tylko dwie wąskie zielone szparki, jak u kota.

- Gdybyś ruszył trochę głową i spróbował spojrzeć na całą sprawę z odpowiedniej perspektywy - jak ja to robię - być może dostrzegłbyś prawdę, przyjacielu - oznajmił z satysfakcją. -

Jednakże - ciągnął tonem, który sugerował, że uważa swoje postępowanie za bardzo

wspaniałomyślne - zanim przybędzie doktor Graham, posłuchajmy, co też wymyślił mój przyjaciel Hastings.

- No cóż - zaczął Hastings z zapalem - fakt znalezienia klucza pod krzesłem sekretarza jest podejrzany.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście. W wysokim stopniu podejrzany. Ale właściwie stawiam na Włocha.

- Ach! - mruknął Poirot. - Tajemniczy doktor Carelli.

- Tajemniczy, właśnie - ciągnął Hastings. - To jest dla niego najwłaściwsze określenie. Co on tu robi, na wsi? Powiem ci. Polował na wzór sir Clauda Amory'ego. Prawie na pewno jest wysłannikiem obcego mocarstwa. Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak, w rzeczy samej, Hastings - odpowiedział z uśmiechem Poirot. W końcu czasami chodzę do kina.

- Jeżeli się okaże, że sir Clauda rzeczywiście otruto - Hastings był teraz w swoim żywiole - to czyni doktora Carellego głównym podejrzanym. Pamiętasz Borgiów? Trucizna jest typowo włoskim narzędziem zbrodni. Ale najbardziej boję się tego, że Carellemu uda się uciec ze wzorem w kieszeni.

- Tak się nie stanie, mój przyjacielu - powiedział Poirot, potrząsając głową.

- Skąd ta pewność?

Poirot usiadł wygodnie na krześle i, jak to miał w zwyczaju, złożył razem koniuszki palców.

- Nie wiem dokładnie - przyznał. - Naturalnie nie mogę być niczego pewien. Ale mam pomysł.

- Jaki?

- Jak myślisz, gdzie znajduje się teraz ten wzór, mój bystry współpracowniku?

- Skąd mam wiedzieć?

Poirot przez chwilę przyglądał się Hastingsowi, jak gdyby chciał dać mu czas na znalezienie odpowiedzi. Potem powiedział zachęcająco:

- Pomyśl, mój przyjacielu. Uporządkuj swoje myśli. Bądź metodyczny, systematyczny. W tym leży klucz do sukcesu.

Hastings potrząsnął głową w zakłopotaniu; detektyw postanowił mu dać pewną wskazówkę.

- Jest tylko jedno miejsce, w którym może być ten wzór - podsunął.

- I gdzie to jest, na miłość boską? - zapytał Hastings z wyraźną irytacją.

- W tym pokoju, oczywiście - oznajmił triumfalnie Poirot, uśmiechając się szeroko.

- Co masz na myśli?

- Ależ tak, przyjacielu. Tylko rozważ fakty. Od niezawodnego Tredwella wiemy, że sir Claud przedsięwziął pewne kroki, aby zapobiec wyniesieniu wzoru z biblioteki. Jest zatem rzeczą

pewną, że kiedy wyjawiał swoją małą niespodziankę i poinformował wszystkich o naszym rychłym przybyciu, złodziej wciąż miał kopertę z wzorem przy sobie. Co musiał zrobić w tej sytuacji? Nie mógł ryzykować, że to przy nim ją znajdziemy. Mógł postąpić tylko w dwojaki sposób: zwrócić wzór, tak jak to zasugerował sir Claud, albo schować go gdzieś, pod osłoną tych dwóch minut całkowitych ciemności. Skoro nie zrobił tego pierwszego, musiał zrobić to drugie. Voila! Jest dla mnie oczywiste, że wzór jest ukryty w tym pomieszczeniu.

- Na Boga, Poirot! - wykrzyknął rozentuzjasmowany Hastings. - Myślę, że masz rację.

Zacznijmy więc szukać. - Wstał szybko

i podszedł do biurka.

- Proszę bardzo, jeżeli cię to bawi - odparł detektyw. - Ale jest ktoś, kto mógłby znaleźć wzór o wiele szybciej niż ty.

- Kto taki?

Poirot podkreślił węża z ogromną energią.

- Osoba, która ukryła ten wzór, parbleu! - wykrzyknął, robiąc taki ruch ręką, jak iluzjonista wyciągający królika z kapelusza.

- To znaczy, że...

- To znaczy - wyjaśnił cierpliwie Poirot - że wcześniej czy później złodziej będzie próbował odzyskać swoją zdobycz. A zatem jeden z nas musi stale mieć się na baczności... - Urwał, słysząc jak ktoś powoli, ostrożnie otwiera drzwi; skinął na Hastingsa, by się do niego zbliżył; stanęli przy gramofonie, tak żeby być poza zasięgiem wzroku osób wchodzących do pokoju.

## X

Drzwi otworzyły się i do biblioteki weszła ostrożnie Barbara Amory. Wzięła krzesło stojące pod ścianą, postawiła je koło biblioteczki, weszła na nie i sięgnęła po blaszane pudełko z lekami. W tym momencie Hastings kichnął niespodziewanie; Barbara przestraszyła się i upuściła pudełko.

- Och! - krzyknęła nieco zmieszana. - Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

Hastings rzucił się do przodu i podniósł pudełko, które następnie zabrał mu Poirot.

- Pani pozwoli, mademoiselle - powiedział detektyw. - Jestem przekonany, że to jest dla pani za ciężkie. - Podeszedł do stołu i postawił tam pudełko. - Ma pani tu jakąś kolekcję? - zapytał. - Ptasie jajka? A może muszelki znad morza?

- Obawiam się, że to jest o wiele bardziej prozaiczne, monsieur Poirot - odparła Barbara, śmiejąc się nerwowo. - Same tabletki i proszki!

- Ależ taka zdrowa, pełna życia młoda dama jak pani z pewnością nie potrzebuje takich rzeczy, prawda?

- Och, to nie dla mnie - zapewniła go Barbara. - To dla Lucii. Od rana ma okropny ból głowy.

- La pauvre dame - wyszeptał Poirot współczująco. - A zatem posłała panią po te tabletki?

- Tak - odpowiedziała Barbara. - Dałam jej aspirynę, ale chciała jakieś inne, prawdziwe lekarstwo. Obiecałam, że przyniosę cały zestaw - to znaczy, jeżeli nikogo tu nie będzie.

Poirot położył ręce na pudełku, zamyślony.

- Jeżeli nikogo tu nie będzie. A jakie to ma znaczenie, mademoiselle?

- No cóż, wie pan, jak to jest w takim miejscu, jak to - wyjaśniła

Barbara. - Kompletna beznadzieja! Ciocia Karolina, na przykład, jest jak stara kwoka, a na Richarda nie można w ogóle liczyć, jest całkowicie nieużyty, jak wszyscy mężczyźni, kiedy kobieta jest chora.

- Rozumiem, rozumiem - powiedział Poirot, kiwając głową na znak, że przyjmuje jej wyjaśnienia. Przesunął palcami po wieczku pudełka z lekarstwami, po czym obejrzał dłoń. Przez chwilę milczał, odchrząkując nieco efektownie, po czym spytał: - Czy pani wie, mademoiselle, że ma pani wielkie szczęście do służby?

- Co ma pan na myśli?

Poirot pokazał jej blaszane pudełko.

- Proszę zobaczyć... Nie ma tu ani śladu kurzu. Wchodzić tak wysoko na krzesło i zadawać

sobie tyle trudu ze ścieraniem kurzu

- nie wszyscy służący są tacy sumienni.

- To prawda - przytaknęła Barbara. - Zeszłej nocy zauważyłam, że pudełko nie jest zakurzone, i pomyślałam sobie, że to dziwne.

- Wczoraj wieczorem zdejmowała pani to pudełko? - zapytał Poirot.

- Tak, po kolacji. Tam jest pełno środków ze szpitala.

- Przyjrzyjmy się tym szpitalnym lekarstwom - zaproponował detektyw, otwierając pudełko. Wyjął stamtąd kilka fiolek i zaczął je oglądać, unosząc wysoko brwi ze zdumienia.

- Strychnina... atropina... a to dopiero kolekcja! Ach! A tu mamy flakonik hioscyny, prawie pusty!

- Co? - wykrzyknęła Barbara. - A to dopiero, wczoraj wieczorem wszystkie fiołki były pełne, jestem tego pewna.

- Voila! - Poirot pokazał jej flakonik, po czym odłożył z powrotem do pudełka. - To bardzo dziwne. Twierdzi pani, że wszystkie te

- jak to się u was mówi - fiołki - były pełne? Gdzie dokładnie znajdowało się pudełko na leki wczoraj wieczorem, mademoiselle?

- Cóż, postawiliśmy je na stole - odparła Barbara. - Doktor Ca-relli oglądał lekarstwa, wygłaszał o nich uwagi i...

Urwała, gdyż do biblioteki weszła żona Richarda Amory'ego, Lucia. Wyglądała na zaskoczoną widokiem dwóch mężczyzn. Jej blada, dumna twarz w świetle dnia wydawała się zatroskana, a w linii ust można było wyczytać jakiś nieokreślony smutek, tęsknotę. Barbara podeszła do niej szybkim krokiem.

- Och, kochanie, nie powinnaś była wstawać. Właśnie szłam do ciebie.

- Ból głowy trochę już ustąpił, droga Barbaro - odparła Lucia, ze wzrokiem utkwionym w detektywa. - Zeszłam na dół, gdyż pragnę pomówić z monsieur Poirotem.

- Ależ kotku, czy nie uważasz, że powinnaś...

- Barbaro, proszę cię.

- Och, w porządku, ty wiesz najlepiej - rzekła Barbara, podchodząc do drzwi; Hastings rzucił się, by je przed nią otworzyć. Kiedy wyszła, Lucia usiadła na krześle.

- Monsieur Poirot... - zaczęła.

- Do pani usług, madame - powiedział uprzejmie. Lucia mówiła z wahaniem, nieco drżącym głosem.

- Monsieur Poirot - zaczęła jeszcze raz - wczoraj wieczorem prosiłam pana... błagałam, żeby

pan tu został. Dzisiaj widzę, że popełniłam błąd.

- Jest pani pewna, madame? - zapytał spokojnie Poirot.

- Całkowicie. Wczoraj byłam zdenerwowana i rozdrażniona. Jestem panu bardzo wdzięczna, że zrobił pan, o co go prosiłam, ale teraz byłoby lepiej, gdyby pan wyjechał.

- Ach, c'est comme ça<sup>4</sup> - mruknął cicho Poirot. Głośno natomiast bąknął zdawkowo: -  
Rozumiem, madame.

Wstając, Lucia obrzuciła go nerwowym spojrzeniem.

- A zatem postanowione? - spytała.

- Nie całkiem, madame - odparł Poirot, postępując krok w jej kierunku. - Pamięta chyba pani, że wątpiła w naturalną śmierć swojego teścia.

- Wczoraj byłam rozhisteryzowana - upierała się Lucia. - Nie wiedziałam, co mówię.

- Jest pani więc przekonana, że jego śmierć mimo wszystko miała naturalną przyczynę?

- Oczywiście.

Detektyw uniósł nieco brwi, zdumiony. Spojrzał na nią w milczeniu.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy? - zapytała Lucia zatrwożonym głosem.

- Ponieważ, madame, niekiedy trudno jest naprowadzić psa na trop. Ale jak tylko go znajdzie, za nic w świecie nie porzuci. Jeżeli jest dobrym psem. A ja, Herkules Poirot, jestem bardzo dobrym psem!

Niezwykłe wzburzona, powiedziała:

- Och! Ale pan musi, naprawdę musi odejść. Błagam, zaklinam pana. Nie ma pan pojęcia, jaką szkodę może pan wyrządzić, pozostając!

- Szkodę? - zapytał Poirot. - Komu - pani, madame?

- Nam wszystkim, monsieur Poirot. Nie mogę powiedzieć nic więcej, ale błagam pana, by uwierzył mi na słowo, że tak jest. Od pierwszej chwili, kiedy pana ujrzałam, zaufałam mu.

Proszę...

Urwała, gdyż otworzyły się drzwi i wszedł Richard w towarzystwie doktora Grahama; wyglądał na wstrząśniętego.

- Lucia! - wykrzyknął na jej widok.

- Richardzie, o co chodzi? - zapytała z troską Lucia, podbiegając do męża. - Co się stało?

Wydarzyło się coś nowego, widzę to w twoich oczach. O co chodzi?

- O nic, najdroższa - odparł Richard, próbując ją uspokoić. - Zechcesz zostawić nas na chwilę samych?

---

<sup>4</sup> A więc to tak! (franc.).

Lucia obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

- Czy nie mogłabym... - zaczęła i urywała, gdy Richard otworzył przed nią drzwi.

- Proszę cię - powtórzył.

Po raz ostatni oglądając się za siebie z przerażeniem, wyszła z pokoju.

---



## XI

Doktor Graham postawił swoją torbę na ławie i usiadł na kanapie.

- Niestety to podejrzana sprawa, monsieur Poirot.

- Tak? Ustalił już pan przyczynę śmierci sir Clauda? - zapytał detektyw.

- Został otruty jakimś alkaloidem roślinnym o silnym działaniu - oświadczył Graham.

- Może to była hioscyna? - podsunął Poirot, biorąc do ręki blaszane pudełko z lekarstwami.

- Tak, rzeczywiście, ma pan rację. - Doktor Graham był zaskoczony trafnością przypuszczenia detektywa. Poirot podszedł do stolika z gramofonem po drugiej stronie pokoju i postawił tam pudełko; za nim podążył Hastings. Tymczasem Richard Amory usiadł na kanapie obok doktora.

- Co to właściwie oznacza?

- Przede wszystkim interwencję policji - pośpieszył z wyjaśnieniem Graham.

- Mój Boże! - zawołał Richard. - To straszne. Czy nie mógłbyś tego zatuszować?

Doktor Graham spojrzał na niego uważnie, po czym wolno i z namysłem przemówił:

- Mój drogi Richardzie, wierz mi, że nikt nie boleje nad tą straszną tragedią bardziej niż ja. Zwłaszcza, że w tym wypadku wydaje się mało prawdopodobne, żeby twój ojciec zażył truciznę sam, z własnej woli.

Przez kilka sekund Richard milczał.

- Twoim zdaniem to było morderstwo? - zapytał w końcu niepewnie.

Doktor Graham z powagą kiwnął głową.

- Morderstwo! - wykrzyknął Richard. - Co my teraz zrobimy?

Przybierając bardziej stanowczy, urzędowy ton, Graham objaśnił całą procedurę.

- Dałem znać śledczemu. Jutro w King's Arms zostanie przeprowadzone dochodzenie.

- To znaczy - będzie w to zamiesz/ana policja? Nie można by jakoś tego uniknąć?

- Nie. Musisz być tego świadomy, Richardzie - powiedział doktor Graham.

Richard zaczął krzyczeć jak oszalały.

- Ale dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że...

- Daj spokój. Opanuj się. Na pewno rozumiesz, że podjąłem tylko takie kroki, jakie uznałem za absolutnie konieczne - przerwał mu Graham. - Przecież w tego typu sprawach nie ma czasu do stracenia.

- Mój Boże!

- Wiem, Richardzie - przemówił łagodniej Graham. - Naprawdę rozumiem. To był dla ciebie ogromny wstrząs. Ale jest kilka spraw, o które muszę cię zapytać. Czy czujesz się na siłach odpowiedzieć na parę pytań?

Richard Amory z widocznym wysiłkiem zebrał się w sobie.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał.

- Po pierwsze, co twój ojciec jadł i pił wczoraj na kolację?

- Chwileczkę, wszyscy jedliśmy to samo. Zupa, smażona ryba, kotlety, a na koniec sałatka owocowa.

- A co z piciem?

Richard zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Mój ojciec i ciotka pili burgunda; Raynor chyba też. Ja trzymałem się whisky z wodą, a doktor Carelli - tak, doktor Carelli cały czas pił białe wino.

- Ach, tak, tajemniczy doktor Carelli - mruknął Graham. - Wybacz mi, Richardzie, ale co wiesz o tym człowieku?

Hastings, ciekawy odpowiedzi Richarda, przysunął się bliżej.

- Nic o nim nie wiem. Aż od wczoraj nigdy go nie spotkałem ani nawet o nim nie słyszałem.

- Ale to przyjaciel twojej żony? - spytał lekarz.

- Najwidoczniej tak.

- Czy była z nim blisko związana?

- Och, nie, to zwykły znajomy, jak sądzę. Graham cmoknął językiem i potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że nie pozwoliłeś mu opuścić domu?

- Nie, nie - zapewnił go Richard. - Zeszłej nocy wytłumaczyłem mu, że dopóki ta sprawa się nie wyjaśni - mam na myśli kradzież wzoru - najlepiej będzie, jeżeli pozostanie w tym domu.

Nawet posłałem po jego rzeczy do hotelu, w którym wynajął pokój.

- I nie zgłaszał sprzeciwu? - spytał Graham, nieco zaskoczony.

- Och, nie, nawet dosyć chętnie się zgodził.

- Hm... - westchnął Graham. Potem, rozglądając się dookoła, zapytał:

- No dobrze, a pokój? Poirot podszedł do nich.

- Zeszłej nocy drzwi zostały zamknięte przez lokaja Tredwella - wyjaśnił lekarzowi - który oddał klucze mnie. Wszystko jest dokładnie tak, jak wtedy, z wyjątkiem krzeseł, które przesunęliśmy, jak pan widzi.

Doktor Graham spojrzał na stojącą na stole filiżankę. Wskazując na nią, zapytał:

- Czy to ta filiżanka? - Podeszedł do stołu, wziął ją do ręki i powąchał. - Richardzie, czy to właśnie z tej filiżanki pił kawę twój ojciec? Lepiej ją wezmę. Trzeba będzie poddać ją analizie.

- Postawił filiżankę na ławie i otworzył swoją torbę.

Richard zerwał się na nogi.

- Chyba nie sądzisz, że.... - zaczął.

- To w wysokim stopniu nieprawdopodobne, żeby truciznę podano w czasie kolacji.

Najbardziej wiarygodnym wyjaśnieniem jest to, że hioscyna została dodana do kawy sir Clauda.

- Ja... ja... - próbował wydusić z siebie Richard, wstając i postępując krok w stronę lekarza; urwał jednak, robiąc rozpaczliwy ruch ręką, i nagle wybiegł przez oszklone drzwi do ogrodu. Doktor Graham wyjął z torby małe kartonowe pudełko, wyłożył watę, i starannie zapakował tam filiżankę, mówiąc jednocześnie do Poirota:

- Nieczysta sprawa. Nie dziwi mnie wcale, że Richard Amory jest zdenerwowany. Gazety będą rozpisywać się szeroko o przyjaźni jego żony z tym włoskim lekarzem. I trochę błota zawsze się przylepi, monsieur Poirot. Biedna kobieta! Przypuszczalnie jest całkowicie niewinna. Ten człowiek najwidoczniej nadskakiwał jej i w ten sposób nawiązał znajomość. Ci cudzoziemcy są zdumiewająco przebiegli. Oczywiście nie powinienem mówić tak, jak gdyby sprawa była przesądzona, ale czy to dziwne, że człowiek dochodzi do takich wniosków?

- Sądzi pan, że to rzuca się w oczy, prawda? - zapytał Poirot, wymieniając spojrzenie z Hastingsem.

- No cóż, przecież wynalazek sir Clauda był bardzo cenny - wyjaśnił doktor Graham. - Pojawia się ten cudzoziemiec, Włoch, o którym nikt nic nie wie. Sir Claud zostaje otruty w tajemniczych okolicznościach...

- Ach, tak! Borgiowie - wykrzyknął Poirot.

- Słucham?

- Nic, nic.

Doktor Graham wziął swoją torbę i zaczął się zbierać do wyjścia.

- No cóż, chyba już sobie pójdę - powiedział, wyciągając rękę do Poirota.

- Do widzenia - na razie, monsieur le docteur - rzekł detektyw, ściskając mu dłoń.

Już w drzwiach Graham zatrzymał się i odwrócił.

- Do widzenia, monsieur Poirot. Dopilnuje pan, żeby do czasu przybycia policji nikt nie ruszał niczego w tym pomieszczeniu, dobrze? To bardzo ważne.

- Naturalnie, zajmę się tym osobiście - zapewnił go Poirot. Kiedy Graham wyszedł, zamykając za sobą drzwi, Hastings zauważył sucho:

- Wiesz, Poirot, nie chciałbym być chory w tym domu. Po pierwsze, prawdopodobnie grasuje tu truciciel - a po drugie, nie jestem wcale pewien, czy można zaufać temu młodemu lekarzowi.

Poirot spojrzał na niego wesoło.

- Miejmy nadzieję, że nie będziemy w tym miejscu tak długo, żeby zachorować - powiedział, podchodząc do kominka i naciskając dzwonek. - A teraz do pracy, mój drogi Hastingsie - oznajmił, zbliżając się do przyjaciela, który z zakłopotaną miną kontemlował stół-ławę.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Hastings.

- Razem, mój przyjacielu - odparł Poirot z błyskiem w oku - przesłuchamy tego Cesare Borgię. Wszedł Tredwell w odpowiedzi na wezwanie Poirota.

- Pan dzwonił, sir?

- Tak, Tredwell. Moglibyście zapytać tego włoskiego dżentelmena, doktora Carellego, czy nie zechciałby tu przyjść?

- Oczywiście, sir. - Lokaj wszedł, a detektyw zbliżył się do stołu i wziął do ręki pudełko z lekami.

- Myślę, że byłoby dobrze - zwierzył się Hastingsowi - gdybyśmy odłożyli na miejsce to pudełko o tak niebezpiecznej zawartości. Przede wszystkim bądźmy porządni i systematyczni. Wręczając mu blaszane pudełko, Poirot przystawił krzesło do biblioteczki i wdrapał się na nie.

- Odwieczna tęsknota za ładem i symetrią, co? - zawołał Hastings. - Ale zgaduję, że za tym kryje się coś więcej.

- Co masz na myśli, przyjacielu?

- Wiem, o co ci chodzi. Nie chcesz wystraszyć Carellego. Kto w końcu wczoraj wieczorem miał w ręku te medykamenty? Między innymi on. Gdyby zobaczył je na stole, mógłby zacząć mieć się na baczności, prawda, Poirot?

Poirot poklepał Hastingsa po głowie.

- Jakże bystry jest mój przyjaciel Hastings - powiedział, biorąc od niego pudełko.

- Zbyt dobrze cię znam - upierał się Hastings. - Nie uda ci się sypnąć mi piaskiem w oczy.

Poirot przesunął palcem po półce z książkami, strząsając kurz na wzniesioną do góry twarz przyjaciela.

- Wydaje mi się, mój drogi, że właśnie to zrobiłem - wykrzyknął; jeszcze raz ostrożnie przesunął ręką po półce, krzywiąc się. - Chyba za wcześnie pochwaliłem służących. Na tej półce są pokłady kurzu. Szkoda, że nie mam porządnej, mokrej ściereczki, to bym ją wyczyścił!

- Mój drogi Poirot - roześmiał się Hastings - nie jesteś pokojówką.

- Niestety, nie - zauważył ze smutkiem Poirot. - Jestem tylko detektywem!

- Cóż, tam na górze nie ma nic dla detektywa, więc zejdź na dół.

- Jak mówisz, nie ma nic... - zaczął Poirot, ale nagle urwał; stał na krześle całkowicie nieruchomo, niczym skamieniały.

- Co się stało? - zapytał niecierpliwie Hastings: - Schodź, Poirot. Za chwilę będzie tu doktor Carelli. Chyba nie chcesz, żeby cię tak zastał, prawda?
  - Masz rację, przyjacielu - przytaknął Poirot, schodząc powoli z krzesła. Jego twarz przybrała poważny wyraz.
  - O co chodzi?
  - Myślałem o czymś - odparł Poirot z nieobecnym wzrokiem.
  - O czym?
  - Kurz, Hastings. Kurz - powiedział detektyw dziwnym głosem.
- Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł doktor Carelli. Z wielką atencją przywitał się z Poirot, po czym każdy z panów zwrócił się do drugiego w jego ojczystym języku.
- Ah, monsieur Poirot ~ odezwał się uprzejmie Carelli. - Vous voulez me questionner!
  - Si, signor Dottore, si lei permette - odparł Poirot. - Ah, lei parla italiano?
  - Si, ma preferisco parlare in francese.
  - Alors - powiedział Carelli - qu'est-ce que vous voulez me demander?<sup>5</sup>
  - Halo - wtrącił się Hastings, nieco poirytowany. - Co do diabła ma to wszystko znaczyć?
  - Ach, zapomniałem, że biedny Hastings nie jest poliglotą - uśmiechnął się Poirot. - Lepiej rozmawiajmy po angielsku.
  - Naturalnie, proszę mi wybaczyć - zgodził się Carelli. - Zwracając się do Poirota, sprawiał wrażenie bardzo szczerego. - Cieszę się, że pan mnie wezwał, monsieur Poirot - oznajmił. - Gdyby pan tego nie zrobił, sam poprosiłbym o rozmowę.
  - Naprawdę? - powiedział Poirot, wskazując na krzesło stojące przy stole.
- Carelli usiadł tam, Poirot zajął miejsce na fotelu, a Hastings usadowił się wygodnie na kanapie.
- Tak - ciągnął włoski lekarz. - Mam teraz w Londynie pilną sprawę do załatwienia.
  - Proszę kontynuować - zachęcił go detektyw.
  - Tak, oczywiście. Wczoraj wieczorem sytuacja była całkiem zrozumiała. Został skradziony cenny dokument. Byłem jedynym cudzoziemcem wśród obecnych. Naturalnie byłem gotowy zostać, poddać się rewizji osobistej, wręcz na to nalegałem. Jako człowiek honoru nie mogłem nic więcej zrobić.
  - To prawda - przytaknął Poirot. - A dziś?
  - Dzisiaj jest inaczej - odparł Carelli. - Jak powiedziałem, mam pilną sprawę w Londynie.
  - I chciałby pan wyjechać?

---

<sup>5</sup> - Chciałby pan mnie przesłuchać? - Tak, panie doktorze, jeżeli pan pozwoli. - Ach, pan mówi po włosku? - Tak, ale wolę rozmawiać po francusku. - Dobrze, o co chciałby pan mnie zapytać?

- Właśnie.

- Wydaje się to całkiem rozsądne - oświadczył Poirot. - Nie sądzisz, Hastings?

Hastings nie odpowiedział, ale wyglądało na to, że jest odmiennego zdania.

- Może wypadaloby, żeby szepnął pan słówko panu Amory'emu, monsieur Poirot - zasugerował Carelli. - Chciałbym uniknąć nieprzyjemności.

- Służę panu pomocą, monsieur le docteur - zapewnił go Poirot.

- A teraz może zechciałby pan odpowiedzieć mi na kilka pytań?

- Z wielką przyjemnością.

Detektyw zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał:

- Czy od dawna przyjaźni się pan z madame Lucią Amory?

- Od bardzo dawna. - Carelli westchnął. - To była wspaniała niespodzianka, natknąć się na nią tak nieoczekiwanie w tym położonym na odludziu miejscu.

- Mówi pan - nieoczekiwanie?

- Zupełnie nieoczekiwanie - odparł Włoch, obrzucając detektywa przenikliwym spojrzeniem.

- Zupełnie nieoczekiwanie - powtórzył Poirot. - A to dopiero! Atmosfera zrobiła się nieco napięta. Carelli spojrział na niego ostro, ale nic nie powiedział.

- Interesuje się pan najnowszymi odkryciami naukowymi?

- Oczywiście. Jestem przecież lekarzem.

- Ach! Ale to nie całkiem pasuje - zauważył Poirot. - Nowa szczepionka, nowy rodzaj promieni, nowy zarazek - to tak. Ale nowy materiał wybuchowy chyba nie należy do dziedziny zainteresowań lekarza medycyny?

- Nauką powinni interesować się wszyscy - upierał się Carelli.

- Ona symbolizuje zwycięstwo człowieka nad naturą. Człowiek wydiera naturze sekrety pomimo jej zdecydowanego sprzeciwu.

Poirot skinął potakująco głową.

- To, co pan mówi, jest naprawdę zadziwiające! Czysta poezja! Ale ja, jak mi właśnie przypomniał mój przyjaciel Hastings, jestem tylko detektywem. Patrzę na świat z bardziej praktycznego punktu widzenia. Odkrycie sir Clauda jest warte masę pieniędzy, prawda?

- Być może - powiedział Carelli obojętnym tonem. - Nie zastanawiałem się nad tym.

- Jest pan najwidoczniej człowiekiem z zasadami - zauważył

Poirot - a także, bez wątpienia, zamożnym. Podróżowanie, na przykład, jest kosztownym hobby.

- Człowiek powinien poznawać świat, w którym żyje - rzekł sucho Carelli.

- To prawda - zgodził się Poirot. - I ludzi, którzy w nim żyją. Niektórzy z nich są dziwni. Jakże dziwną mentalność musi mieć na przykład złodziej!

- Ma pan rację - przytaknął Carelli. - Bardzo dziwną.

- I szantażysta - ciągnął detektyw.

- Co pan ma na myśli? - zapytał ostro lekarz.

- Powiedziałem: szantażysta - powtórzył Poirot. Na chwilę zapanowało kłopotliwe milczenie. - Ale odbiegamy od tematu - śmierci sir Clauda Amory'ego.

- Śmierci sir Clauda Amory'ego? Dlaczego mielibyśmy o tym mówić?

- Ach, oczywiście - przypomniał sobie Poirot. - Pan jeszcze nie wie. Niestety, sir Claud nie zmarł na zawał serca. Został otruty. - Z uwagą obserwował, jak Carelli zareaguje.

- Ach! - mruknął Włoch, kiwając głową.

- Nie jest to dla pana zaskoczeniem?

- Prawdę mówiąc, nie - odparł Carelli. - Podejrzywałem to już wczoraj wieczorem.

- Widzi więc pan - podjął Poirot - że sprawa stała się jeszcze poważniejsza. Nie będzie pan mógł dzisiaj opuścić tego domu, doktorze Carelli - dodał zmienionym tonem.

Nachylając się w stronę Poirota, Carelli spytał:

- Wiąże pan śmierć sir Clauda z kradzieżą wzoru?

- Naturalnie - odparł detektyw. - A pan nie? Carelli mówił szybko, z przejęciem.

- Czy w tym domu nie ma nikogo, nikogo z tej rodziny, kto pragnąłby śmierci sir Clauda zupełnie bez związku ze sprawą wzoru? Jakie ma znaczenie jego śmierć dla większości osób w tym domu? Powiem panu. Oznacza wolność, monsieur Poirot. Wolność i to, o czym przed chwilą pan wspominał - pieniądze. Ten stary człowiek był tyranem i skąpcem - nie dotyczyło to tylko jego ukochanej pracy.

- To wszystko zaobserwował pan wczoraj wieczorem, monsieur le docteur! - zapytał niewinnie Poirot.

- A jeżeli tak, to co? Mam oczy i widzę. Przynajmniej trzy osoby w tym domu miały interes, aby pozbyć się sir Clauda. - Carelli

wstał, spojrzął na zegar na kominku. - Ale to mnie teraz nie dotyczy.

Hastings wychylił się do przodu, zaciekawiony, a tymczasem Carelli dorzucił:

- Martwi mnie, że nie stawię się na spotkanie w Londynie.

- Ogromnie mi przykro, monsieur le docteur - powiedział Poirot - ale co mogę na to poradzić?

- A zatem już pan mnie nie potrzebuje? - zapytał Carelli.

- Na razie nie.

Doktor Carelli podszedł do drzwi.

- Powiem panu coś jeszcze, monsieur Poirot - oznajmił, otwierając je i oglądając się w stronę detektywa. - Są pewne kobiety, z którymi nie można posuwać się zbyt daleko - to niebezpieczne.

Poirot ukłonił mu się uprzejmie; Carelli odwzajemnił ten ukłon nieco ironicznie i wyszedł.



## XII

Hastings przez kilka minut patrzył na drzwi, przez które wyszedł Carelli.

- Słuchaj, Poirot - odezwał się wreszcie - jak myślisz, co on chciał przez to powiedzieć?

Poirot wzruszył ramionami.

- To była uwaga pozbawiona znaczenia - odparł.

- Ależ Poirot - nie ustępował Hastings - jestem przekonany, że Carelli chciał ci coś przekazać.

- Naciśnij dzwonek raz jeszcze, Hastings. - Była to jedyna odpowiedź małego detektywa.

Hastings zrobił, co mu kazano, ale nie mógł powstrzymać się od zapytania:

- Co teraz zamierzasz zrobić? Poirot odpowiedział tajemniczo:

- Zobaczysz, mój drogi. Cierpliwość jest wielką cnotą.

Do pokoju wszedł znowu Tredwell, ze swoim zwykłym, pełnym szacunku pytaniem:

- Tak, sir?

Poirot uśmiechnął się do niego wesoło.

- Ach, Tredwell. Pozdrówcie ode mnie pannę Karolinę Amory i zapytajcie ją, czy nie zechciałaby poświęcić mi kilku chwil, dobrze?

- Oczywiście, sir.

- Dziękuję Tredwell.

Kiedy lokaj wyszedł, Hastings zawołał:

- Staruszka leży przecież w łóżku. Chyba nie zamierzasz jej stamtąd wyciągać, jeżeli nie czuje się dobrze.

- Mój przyjaciel Hastings wie wszystko! Jest więc w łóżku, tak?

- No cóż, nie mam racji?

Poirot z czułością poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

- Ale, z pewnością... - powiedział z wyrzutem Hastings. - Nie pamiętasz? Richard Amory tak powiedział.

Detektyw popatrzył na niego uważnie.

- Hastings, tu został zabity człowiek. A jak reaguje jego rodzina? Kłamstwem, kłamstwem, i jeszcze raz kłamstwem! Dlaczego madame Amory chce, żebym odszedł? Czemu monsieur Amory pragnie, żebym wyjechał? Dlaczego nie chce, żebym zobaczył się z jego ciotką? Co takiego może mi ona powiedzieć? I dlaczego on nie chce, bym się o tym dowiedział? Mówię ci,

Hastings, mamy tu do czynienia z dramatem! Nie ze zwyczajną, podłą zbrodnią, ale ze wstrząsającym ludzkim dramatem!

Wyglądało na to, że ma zamiar rozwijać ten temat, ale do pokoju weszła właśnie panna Amory.

— Monsieur Poirot - rzekła, zamykając drzwi - Tredwell powiedział mi, że pan chciał się ze mną widzieć.

- Tak jest, mademoiselle - oświadczył detektyw, podchodząc do niej. - Chciałbym tylko zadać pani parę pytań. Może pani spocznie? - Zaprowadził ją do krzesła przy stole; usiadła, spoglądając na niego nerwowo.

- Myślałem, że pani leży w łóżku chora? - ciągnął Poirot, siadając po drugiej stronie stołu i spoglądając na nią z troską.

- To wszystko było strasznym wstrząsem - westchnęła Karolina Amory. - Naprawdę strasznym!

Ale, jak zawsze powtarzam, ktoś musi zachować spokój. Służący są wzburzeni. No cóż - ciągnęła szybciej - wie pan, jacy oni są, monsieur Poirot. Po prostu uwielbiają pogrzeby!

Przypuszczam, że wolą je od wesel. A ten drogi doktor Graham! Jest taki miły... tak dodaje otuchy. Naprawdę bystry lekarz i oczywiście jest bardzo przywiązany do Barbary. Szkoda, że Richard zdaje się go nie lubić, ale... co ja mówiłam? Och tak, doktor Graham. Jest taki młody. W zeszłym roku wyleczył mnie z zapalenia nerwu. Nie chodzi bynajmniej o to, że ja często choruję. Wydaje mi się, że to obecne pokolenie jest słabowite. Wczoraj wieczorem biedna Lucia musiała wyjść z jadalni w czasie kolacji, gdyż czuła się słabo. Naturalnie, biedne dziecko jest kłębkim nerwów, ale czego można się spodziewać po włoskiej krwi, która płynie w jej żyłach? Było tak samo, pamiętam, kiedy skradziono jej naszyjnik z brylantów...

Urwała, by zaczerpnąć powietrza. Przedtem, kiedy mówiła, Poirot wyjął papierośnicę i właśnie miał zapalić papierosa, ale zmienił zamiar i korzystając z chwili przerwy zapytał:

- Skradziono brylantowy naszyjnik madame Amory? Kiedy to było, mademoiselle?

Na twarzy panny Amory odbił się namysł.

- Chwileczkę, to musiało być... tak, to było dwa miesiące temu - mniej więcej w tym samym czasie, gdy Richard pokłócił się z ojcem.

Poirot popatrzył na papierosa w swoim ręku.

- Pozwoli pani, że zapalę? - zapytał. Otrzymując w odpowiedzi uśmiech i wdzięczne skinienie głową na znak zgody, wyjął z kieszeni pudełko zapalek, zapalił papierosa i spojrzał zachęcająco na pannę Amory. Ponieważ nadal milczała, detektyw przypomniał:

- Mówiła pani chyba, że monsieur Amory pokłócił się z ojcem.

- Och, to nic poważnego. Poszło tylko o długi Richarda. Wszyscy młodzi mężczyźni mają długi, to oczywiste! Chociaż, rzeczywiście, Claud nigdy taki nie był. Zawsze był oddany nauce,

nawet w młodości. Potem, naturalnie, jego eksperymenty zaczęły pochłaniać mnóstwo funduszy. Powtarzałam mu, że daje Richardowi zbyt mało pieniędzy. Ale, tak, mniej więcej dwa miesiące temu mieli małą scysję; przez to, a także z powodu zaginięcia naszyjnika Lucii, która nie chciała zgłosić tego policji; był to bardzo denerwujący okres. A poza tym, zupełnie bez sensu! Nerwy, wszystko nerwy!

- Jest pani pewna, że ten dym pani nie przeszkadza, mademoiselle? - spytał Poirot, trzymając w ręku papierosa.

- Och, nie, ależ skąd - zapewniła panna Amory. - Uważam, że dżentelmeni powinni palić. Dopiero teraz zauważając, że papieros nie zapalił się właściwie, Poirot wziął pudełko zapalek ze stołu.

- To chyba bardzo niezwykle, żeby młoda i piękna kobieta przyjmowała z takim spokojem stratę swej bizuterii? - zapytał, zapalając ponownie papierosa i starannie odkładając dwie wypalone zapalki do pudełka, które następnie włożył z powrotem do kieszeni.

- Tak, to dziwaczne. Tak to właśnie określam - przytaknęła panna Amory. - Niezwykle dziwaczne! Ona zdawała się tym w ogóle nie przejmować. Och Boże, ja tu plotkuję o sprawach, które nie mogą być dla pana interesujące, monsieur Poirot.

- Ale pani interesuje mnie ogromnie, mademoiselle - zapewnił ją detektyw. - Proszę mi powiedzieć, czy kiedy wczoraj wieczorem madame Amory, czując się słabo, wyszła z jadalni, udała się na górę?

- Och, nie - odparła Karolina. - Weszła do tego pokoju. Posadziłam ją tu, na sofie, po czym wróciłam do jadalni, zostawiając ją w towarzystwie Richarda. Wie pan, jak to jest z młodymi małżonkami, monsieur Poirot! Młodzi mężczyźni nie są tak romantyczni, jak kiedyś, za czasów mojej młodości! Och, Boże! Pamiętam młodego człowieka nazwiskiem Aloysius Jones. Grywaliśmy razem w krykieta. Co za niemądry chłopiec! Ale znowu odbiegam od tematu. Mówiliśmy o Richardzie i Lucii. Tworzą śliczną parę, nie sądzi pan, Poirot? Poznał ją w Italii, wie pan - na włoskich jeziorach - w zeszłym roku, w listopadzie. Miłość od pierwszego wejrzenia. Po tygodniu byli już małżeństwem. Lucia to sierota, nie miała nikogo na świecie. Bardzo to smutne, choć czasami zastanawiam się, czy nie było w gruncie rzeczy błogosławieństwem. Gdyby miała wielu cudzoziemskich krewnych - byłoby to nieco męczące, nie sądzi pan? Wie pan przecież, jacy są cudzoziemcy! Są... och! - Urwała nagle, odwracając się na krześle i spoglądając z zakłopotaniem na Poirota. - Och, proszę mi wybaczyć!

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi - mruknął Poirot, rzucając Ha-stingsowi rozbawione spojrzenie.

- Tak głupio się zachowałam - przepraszała panna Amory, wielce wzburzona. - Nie miałam tego na myśli... oczywiście z panem jest zupełnie inaczej. Les braves Belges, jak mawialiśmy w czasie wojny.

- Proszę się tym nie przejmować - powiedział Poirot. Po chwili przerwy podjął, jak gdyby wzmianka o wojnie przypomniawszy mu o czymś. - Sądzę, że - to znaczy zrozumiałem, że to pudełko z lekarstwami na górce biblioteczki jest pamiątką wojenną. Wczoraj wieczorem wszyscy to oglądaliście, prawda?

- Tak, oglądaliśmy.

- Dobrze, a jak do tego doszło?

Panna Amory zastanawiała się przez chwilę, po czym odparła:

- Jak to się stało? Ach, tak, przypominam sobie. Powiedziałam, że chcę trochę amoniaku, i Barbara zdjęła to pudełko, potem weszli panowie, a doktor Carelli wystraszył mnie na śmierć tym, co powiedział.

Hastings zaczął przejawiać wielkie zainteresowanie obrotom, jaki przybrała rozmowa, a Poirot zachęcał Karolinę, by mówiła dalej.

- Ma pani na myśli to, co doktor Carelli powiedział o lekach? Obejrzał je dokładnie, jak sądzę?

- Tak - potwierdziła panna Amory. - Trzymał w ręku szklaną fiolkę, coś o bardzo niewinnej nazwie - zdaje mi się, że bromek; często to brałam na chorobę morską - mówiąc, że mogłoby to zabić dwunastu silnych mężczyzn!

- Bromek hioscyny? - zapytał Poirot.

- Słucham?

- Czy doktor Carelli mówił o bromku hioscyny?

- Tak, tak, właśnie o tym - zawołała panna Amory. - Jaki pan bystry! A potem Lucia wzięła to od niego, powtarzając coś, co powiedział - o kamiennym śnie. Nie znoszę tej współczesnej neurotycznej poezji. Zawsze powtarzam, że odkąd umarł drogi lord Tennyson, nikt już nie pisze poezji o jakiegokolwiek...

- Och Boże - mruknął Poirot.

- Słucham? - zapytała panna Amory.

- Ach, myślałem właśnie o drogim lordzie Tennysonie. Ale proszę kontynuować. Co wydarzyło się potem?

- Potem?

- Opowiadała nam pani o wydarzeniach zeszłej nocy. Tu, w tym pokoju...

- Ach, tak. No cóż, Barbara chciała nastawić wyjątkowo wulgarną piosenkę. To znaczy, na gramofonie. Na szczęście udało mi się ją powstrzymać.

- Rozumiem - wymamrotał Poirot. - A ta mała fiolka, którą doktor trzymał w ręku - była pełna?

- O tak - odparła panna Amory bez zastanowienia. - Ponieważ, kiedy przytaczał cytaty o kamiennym śnie, powiedział, że połowa tabletek z fiolki byłaby wystarczająca. - Karolina wstała i odeszła od stołu. - Wie pan, monsieur Poirot - ciągnęła, kiedy detektyw podszedł do niej - nie lubię tego człowieka. Tego doktora Carellego. Jest w nim coś takiego... nieszczerego... poza tym jest taki obrzydliwie przymilny. Oczywiście, nie mogłam nic powiedzieć w obecności Lucii, jako że to podobno jej przyjaciel, ale go nie lubię. Widzi pan, Lucia jest taka ufna! Jestem pewna, że ten mężczyzna wkradł się w jej łaski w nadziei, że zostanie zaproszony do domu i nadarzy się okazja do kradzieży wzoru.

Poirot popatrzył na pannę Amory wesoło, po czym zapytał:

- Nie ma pani zatem wątpliwości, że to doktor Carelli ukradł wzór sir Clauda?

Panna Amory spojrzała na niego zaskoczona.

- Drogi monsieur Poirot! - zawołała. - Któż inny mógłby to zrobić? Był jedynym cudzoziemcem wśród obecnych. Naturalnie mój brat nie chciał oskarżać gościa, więc dał mu sposobność, żeby zwrócił dokument. Uważam, że postąpił bardzo delikatnie. Naprawdę wyjątkowo delikatnie!

- Całkiem możliwe - przytaknął taktownie Poirot, obejmując ją przyjacielsko ramieniem, ku jej widocznemu niezadowoleniu. - A teraz, mademoiselle, spróbuję przeprowadzić mały eksperyment, przy którym będzie mi potrzebna pani współpraca. - Cofnął ramię. - Gdzie siedziała pani zeszłej nocy, kiedy zgasły światła?

- Tam! - oświadczyła panna Amory, wskazując na kanapę.

- Czy byłaby pani tak miła i zechciała usiąść tam znowu? Karolina usiadła na kanapie.

- A teraz, mademoiselle, chciałbym, żeby wysiliła pani swoją wyobraźnię! Proszę zamknąć oczy.

Panna Amory zrobiła, o co ją poproszono.

- Tak jest dobrze - ciągnął Poirot. - A teraz proszę sobie wyobrazić, że jest wczorajszy wieczór. Jest ciemno. Nic pani nie widzi, jedynie słyszy. Proszę cofnąć się do tyłu.

Biorąc jego słowa dosłownie, panna Amory obróciła się tyłem na kanapie.

- Nie, nie - rzekł Poirot. - Chciałem powiedzieć, proszę się cofnąć w myślach. Co pani słyszy? Tak jest dobrze, proszę powrócić myślami do przeszłości. A teraz niech mi pani powie, co słyszy w ciemnościach.

Panna Amory, pod wrażeniem powagi detektywa, postarała się wykonać to, o co ją prosił. Przez chwilę milczała, po czym zaczęła mówić, wolno i z przerwami:

- Słyszę czyjeś sapanie. Ciężki, przerywany oddech. Potem hałas przewracanego krzesła... i

jakiś metaliczny brzęk...

- Taki jak ten? - zapytał Poirot, wyjmując z kieszeni klucz i rzucając go na podłogę. Nie było żadnego dźwięku, i panna Amory, po odczekaniu kilku sekund, oświadczyła, że nic nie słyszała.

- No dobrze, a może taki? - Poirot spróbował raz jeszcze, podnosząc klucz z podłogi i rzucając raptownie na stół-ławę.

- Tak, to jest właśnie ten dźwięk, który słyszałam wczoraj wieczorem! - wykrzyknęła panna Amory. - Dziwne!

- Proszę kontynuować, mademoiselle - zachęcał ją Poirot.

- Cóż, usłyszałam, jak Lucia krzyczy do sir Clauda. A potem rozległo się pukanie do drzwi.

- To wszystko? Jest pani pewna?

- Tak, chyba tak... och, chwileczkę! Na samym początku dał się słyszeć dziwny hałas, jak gdyby ktoś darł jedwabny materiał. Podejrzewam, że to była sukienka.

- Jak pani myśli, czyja? - zapytał Poirot.

- Najpewniej Lucii. To nie mogła być sukienka Barbary, ponieważ ona siedziała tuż obok mnie, tutaj.

- Dziwne - mruknął Poirot w zamyśleniu.

- To naprawdę już wszystko - zakończyła panna Amory. - Czy mogę teraz otworzyć oczy?

- Och tak, oczywiście, mademoiselle. Kto nalewał kawę sir Clau-dowi? Pani?

- Nie. Lucia.

- Kiedy dokładnie to było?

- Najpewniej zaraz po naszej rozmowie na temat tych strasznych lekarstw.

- Czy pani Amory sama zaniósła kawę sir Claudowi? Karolina zastanawiała się przez chwilę.

- Nie... - powiedziała w końcu.

- Nie? - zapytał Poirot. - A zatem, kto to zrobił?

- Nie wiem... nie jestem pewna... chwileczkę. Och, tak, teraz sobie przypominam! Filizanka z kawą sir Clauda stała na stole koło filizanki Lucii. Zapamiętałam to, gdyż pan Raynor chciał zanieść sir Claudowi kawę do gabinetu, ale Lucia zatrzymała go, mówiąc, że wziął niewłaściwą filizankę - to było bardzo niemądre, gdyż w obydwu filizankach kawa była dokładnie taka sama - czarna, bez cukru.

- A zatem - zauważył Poirot - to monsieur Raynor zaniósł kawę sir Claudowi?

- Tak... to znaczy, chyba... nie, racja, Richard wziął od pana Raynora filizankę, gdyż Barbara chciała z nim zatańczyć.

- Och! Monsieur Amory zaniósł więc kawę swojemu ojcu.

- Tak, dokładnie tak było - potwierdziła panna Amory.

- Ach! - zawołał Poirot. - Proszę mi powiedzieć, co robił przedtem pan Amory? Tańczył?

- Och, nie. Porządkował lekarstwa. No wie pan, wkładał je z powrotem do pudełka.

- Rozumiem. Sir Claud wypił kawę w swoim gabinecie?

- Chyba zaczął - wspominała Karolina. - Ale wrócił tu z filiżanką w ręku. Pamiętam, jak narzekał na smak kawy, twierdząc, że jest gorzka. Ale zapewniam pana, monsieur Poirot, że to była wyśmienita kawa. Specjalna mieszanka, którą osobiście zamówiłam w sklepie armii i marynarki w Londynie. Zna pan chyba ten wspaniały dom towarowy na Victoria Street. Jest tak dogodnie położony, niedaleko stacji kolejowej. Zawsze...  
Urwała, gdyż otworzyły się drzwi i wszedł Edward Raynor.

- Przeszkadzam? - zapytał. - Najmocniej przepraszam. Chciałem pomówić z monsieur Poirotem, ale mogę przyjść później.

- Nie, nie - rzekł detektyw. - Już skończyłem torturowanie tej biednej damy!

Panna Amory wstała.

- Obawiam się, że nie dostarczyłam panu żadnych użytecznych informacji - przepraszają, kierując się do drzwi.

Poirot wstał i wyprzedził ją.

- Powiedziała mi pani bardzo dużo cennych rzeczy, mademoiselle. Być może nawet pani sama nie zdaje sobie sprawy, jak wiele - zapewnił Karolinę, otwierając przed nią drzwi.

### XIII

Odprowadziwszy pannę Amory, Poirot zajął się Edwardem Rayno-rem.

- A teraz, monsieur Raynor - rzekł, wskazując sekretarzowi krzesło - posłuchajmy, co też ma mi pan do powiedzenia.

Raynor usiadł i spojrzał z powagą na detektywa.

- Pan Amory właśnie przekazał mi wiadomość o przyczynie śmierci sir Clauda. To niesłychane, monsieur.

- Czy to było dla pana szokujące? - zapytał Poirot.

- Oczywiście. Nigdy bym czegoś takiego nie podejrzewał. Poirot zbliżył się do Raynora i wręczył mu znaleziony przez siebie klucz, obserwując z uwagą jego reakcję.

- Widział pan już kiedyś ten klucz, monsieur Raynor? - zapytał. Raynor zdziwiony obracał klucz w ręku.

- Wygląda to na klucz od sejfów sir Clauda - zauważył. - Ale słyszałem od pana Richarda Amory'ego, że klucz sir Clauda znajduje się na swoim miejscu, na łańcuszku. - Zwrócił go Poirotowi.

- Tak, to jest klucz od sejfów w gabinecie sir Clauda, ale tylko duplikat - poinformował go detektyw, dodając wolno, z naciskiem. - Duplikat, który leżał na podłodze koło krzesła, na którym wczoraj wieczorem pan siedział.

Raynor popatrzył na Poirota niezmiernie.

- Myli się pan, jeżeli sądzi, że to ja go upuściłem - oznajmił. Poirot obrzucił go badawczym spojrzeniem, po czym skinął głową, zadowolony.

- Wierzę panu - powiedział. Podszedł szybkim krokiem do kanapy i usiadł, zacierając ręce. - A teraz do roboty, monsieur Raynor. Był pan zaufanym sekretarzem sir Clauda, nieprawdaż?

- Zgadza się.

- Wiedział pan zatem dużo o jego pracy?

- Tak. Mam pewne przygotowanie naukowe i niekiedy pomagałem mu w doświadczeniach.

- Czy wie pan o czymś, co mogłoby rzucić trochę światła na tę nieszczęsną sprawę? - zapytał Poirot.

Raynor wyjął z kieszeni list.

- Mam tylko to - odparł. Wstał, podszedł do Poirota i wręczył mu list. - Moim zadaniem było między innymi otwieranie i porządkowanie korespondencji sir Clauda. To przyszło dwa dni



temu.

Poirot odczytał na głos: - „Hodujesz żmiję na swoim łonie”. Łonie? - powtórzył, odwracając się w stronę Hastingsa, po czym czytał dalej: - „Strzeż się Selmy Goetz i jej dzieci. Twój sekret się wydał. Miej się na baczności”. Podpisane: „Obserwator”. Hnim, bardzo barwne i dramatyczne. Hastings, to ci się spodoba - powiedział Poirot, podając list przyjacielowi.

- Czy wolno wiedzieć, kim jest ta Selma Goetz? - zapytał Edward Raynor.

Poirot, rozsiadając się wygodnie na kanapie i składając razem koniuszki palców, oświadczył:

- Chyba mogę zaspokoić pańską ciekawość, monsieur. Selma Goetz była najśłynniejszym międzynarodowym szpiegiem, jakiego znał świat. Na dodatek była to bardzo piękna kobieta. Pracowała dla Włoch, Francji, Niemiec i na koniec, jak sądzę, także dla Rosji. Tak, Selma Goetz była niezwykłą kobietą.

Raynor postąpił krok do tyłu i zapytał krótko:

- Była?

- Nie żyje - powiedział Poirot. - Zmarła w listopadzie w Genui. - Zabrał list Hastingsowi, który z zakłopotaną miną kręcił głową.

- A zatem ten list musi być prowokacją - wykrzyknął Raynor.

- Tak się zastanawiam - mruknął Poirot. - Jest tam napisane: „Selma Goetz i jej dzieci”. Selma Goetz miała córkę, monsieur Raynor, bardzo piękną dziewczynę. Po śmierci matki wszelki słuch o niej zaginął. - Schował list do kieszeni.

- Czy to możliwe, żeby... - zaczął Raynor.

- Tak? Chciał pan coś powiedzieć, monsieur? - zachęcił go Poirot.

Zbliżając się do detektywa, Raynor przemówił z zapalem:

- Włoska pokojówka pani Amory. Bardzo ładna dziewczyna, Lucia przywiozła ją ze sobą z Włoch. Nazywa się Vittoria Muzio. Czy to możliwe, żeby była córką Selmy Goetz?

- Ach, to jest jakiś pomysł. - Wydawało się, że Poirot jest pod wrażeniem.

- Pozwoli pan, że ją tu przyślę - zaproponował Raynor, zbierając się do wyjścia.

Poirot wstał.

- Nie, nie, chwileczkę. Przede wszystkim nie powinniśmy budzić w niej podejrzeń. Najpierw pomówię z madame Amory. Ona z pewnością będzie mogła mi coś powiedzieć na temat tej dziewczyny.

- Może ma pan rację - zgodził się Raynor. - Zaraz powiadomię panią Amory.

Sekretarz wyszedł z pokoju z miną człowieka zdeterminowanego, a Hastings, wielce podekscytowany, zbliżył się do Poirota.

- To jest to, Poirot! Carelli i włoska pokojówka w zмовie, pracujący dla obcego mocarstwa.

Zgadzasz się ze mną?

Pograżony w zadumie Poirot nie zwracał uwagi na przyjaciela.

- Poirot? Jak myślisz? Powiedziałem, że Carelli i pokojówka z pewnością współpracują ze sobą.

- Ach, tak, spodziewałem się, że to powiesz, mój przyjacielu. Hastings poczuł się obrażony.

- No dobrze, a ty co wymyśliłeś? - zapytał z urazą.

- Kilka pytań pozostaje bez odpowiedzi, mój drogi. Dlaczego dwa miesiące temu skradziono naszyjnik madame Amory? Dlaczego nie chciała zgłosić tego policji? Dlaczego...

Urwał, gdyż do pokoju weszła Lucia z torbą w ręku.

- Słyszałam, że chciał się pan ze mną widzieć, monsieur Poirot. To prawda? - zapytała.

- Tak, madame. Pragnę tylko zadać pani kilka pytań. - Wskazał na fotel przy stole. - Zechce pani spocząć?

Lucia usiadła, a Poirot odwrócił się do Hastingsa.

- Mój przyjacielu, ogród za oknem jest przepiękny - zauważył, biorąc Hastingsa pod ramię i popychając łagodnie w kierunku francuskiego okna. Wyglądało na to, że Hastings wcale nie kwapi się do wyjścia, ale detektyw był nieustępliwy. - Tak, mój przyjacielu. Podziwiał uroki przyrody. Nigdy nie marnuj takich okazji.

Choć niechętnie, Hastings w końcu pozwolił wypchnąć się za drzwi. Było ciepło i słonecznie, postanowił więc skorzystać z okazji i obejrzeć dokładnie ogród państwa Amory. Ruszył po trawniku w kierunku płotu, za którym rozciągał się niezwykle piękny ogród.

Idąc wzdłuż płotu, Hastings usłyszał gdzieś w pobliżu głosy; wkrótce rozpoznał, że należą do Barbary Amory i doktora Grahama, siedzących zapewne tête-à-tête na ławeczce dokładnie po drugiej stronie płotu. W nadziei, że uda mu się podsłuchać coś, co by mogło zainteresować Poirota w związku ze śmiercią sir Clauda Amory'ego lub też ze zniknięciem wzoru, Hastings zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

- ...jasne, że zdaniem Richarda jego piękna młoda kuzynka zasługuje na kogoś lepszego niż jakiś wiejski lekarz. To chyba jest przyczyną jego niechęci wobec naszych spotkań - mówił Kenneth Graham.

- Och, wiem, że Richard potrafi być niekiedy starym nudziarzem i zachowywać się, jakby był dwa razy starszy, niż jest w rzeczywistości - odparła Barbara - ale nie powinieneś się tym przejmować, Ken-ny. Ja nie zwracam na niego uwagi.

- Cóż, ja też nie będę - rzekł doktor Graham. - Ale posłuchaj, Barbaro, prosiłem cię o spotkanie tutaj, gdyż chciałem pomówić z tobą w cztery oczy, nie będąc słyszonym czy widzianym przez kogokolwiek z twojej rodziny. Przede wszystkim muszę ci powiedzieć, że wczoraj wieczorem

twój stryj został otruty - co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Ach, tak? - powiedziała zdawkowo Barbara.

- Nie wydajesz się zaskoczona tą wiadomością.

- Och, może i jestem zaskoczona. W końcu nie co dzień umiera człowiekowi ktoś z rodziny, prawda? Ale muszę przyznać, że jego śmierć nie martwi mnie szczególnie. Właściwie jestem nawet zadowolona.

- Barbaro!

- Nie zaczynaj teraz udawać, że to dla ciebie zaskoczenie, Ken-ny. Słyszałaś, jak mnóstwo razy krytykowałam tego starego drania. Tak naprawdę nie interesował się żadnym z nas, dbał jedynie o te swoje parszywe eksperymenty. Bardzo źle traktował Richarda i nie był szczególnie miły dla Lucii, kiedy przyjechała z Italii jako świeżo poślubiona żona jego syna. A Lucia jest taka słodka i tak pasują do siebie z Richardem.

- Barbaro, najdroższa, muszę cię o coś zapytać. Obiecuję, że wszystko, co powiesz, pozostanie między nami. Będę cię chronił, jeżeli to okaże się konieczne. Ale powiedz mi, czy wiesz coś - cokolwiek - o okolicznościach śmierci stryja? Czy masz powody do podejrzeń, że na przykład Richard był tak zrozpaczony swoją sytuacją finansową, że mógłby chcieć zabić ojca, by dostać w ręce to, co i tak w końcu by odziedziczył w spadku?

- Nie zamierzam kontynuować tej rozmowy, Kenny. Myślałam, że zaprosiłeś mnie tu, by szeptać mi do ucha czule słówka, a tymczasem oskarżasz mojego kuzyna o morderstwo.

- Kochanie, ja Richarda o nic nie oskarżam. Ale musisz przyznać, że coś tu nie gra. Wygląda na to, że on nie chce, by policja prowadziła śledztwo w sprawie śmierci jego ojca. Jak gdyby się bał, co może wyjść wtedy na jaw. Naturalnie, nie uda mu się wyłączyć z tego policji, ale dał wyraźnie do zrozumienia, że jest na mnie wściekły za to, że nalegałem na przeprowadzenie oficjalnego dochodzenia. A ja przecież tylko spełniałem swój obowiązek jako lekarz. Jak mogłem wystawić akt zgonu stwierdzający, że sir Claud zmarł na atak serca? Na miłość boską, jego serce było całkowicie w porządku, kiedy badałem go po raz ostatni kilka tygodni temu.

- Kenny, nie chcę dłużej tego słuchać. Wchodzę do środka. Znajdziesz sam drogę powrotną przez ogród, prawda? Zobaczymy się później.

- Barbaro, ja tylko chcę... - Ale już jej nie było, a doktor Graham westchnął głęboko, niemalże jęknął. W tym momencie Hastings uznał, że lepiej będzie powrócić szybko do domu tak, by nikt go nie zobaczył.

## XIV

Dopiero kiedy Hastings wyszedł do ogrodu, wypchnięty przez Poi-rot, mały detektyw zajął się ponownie Lucią Amory, wpiersz zamknawszy oszklone drzwi w bibliotece. Lucia spojrziała z niepokojem na Poirota.

- Dowiedziałam się, że chce pan mnie zapytać o moją pokojówkę, monsieur Poirot. Tak mi powiedział pan Raynor. Ale to jest bardzo dobra dziewczyna. Jestem pewna, że nie zrobiła nic złego.

- Madame - odparł Poirot - to nie o pani pokojówce pragnę z panią pomówić.

Lucia wyglądała na zdziwioną.

- Ale pan Raynor powiedział... - zaczęła.

- Z pewnych względów chciałem, żeby pan Raynor tak myślał - przerwał jej mały Belg.

- Dobrze, więc o co chodzi? - Lucia mówiła teraz ostrożnym tonem.

- Madame - rzekł Poirot - wczoraj powiedziała mi pani bardzo miły komplement. Wspomniała pani, że od pierwszej chwili wzbudziłem pani zaufanie.

- I co z tego?

- Cóż, madame, proszę, żeby mi pani zaufała teraz!

- Jak to?

Poirot przyglądał się jej z powagą.

- Ma pani młodość, urodę, podziw, miłość - wszystko to, czego pragnie i za czym tęskni każda kobieta. Ale jednego pani brak, madame - ojca spowiednika! Proszę przyjąć kandydaturę papy Poirota na to stanowisko.

Lucia chciała coś powiedzieć, ale Poirot ją uprzedził.

- Proszę dobrze się zastanowić, zanim pani odmówi, madame. To na pani prośbę tu zostałem. Pragnąłem pani służyć. Wciąż jestem do pani usług.

Lucia odparła z nagłym gniewem:

- Najlepiej pan mi się przysłuży, wyjeżdżając stąd, monsieur.

- Madame - ciągnął Poirot nie speszony - czy pani wie, że wezwano policję?

- Policję? - Tak.

- Ale kto ją wezwał? I dlaczego?

- Doktor Graham i inni lekarze, jego koledzy, odkryli, że sir Claud Amory został otruty.

- Ach, nie! Nie! Tylko nie to! - Lucia wydawała się bardziej przerażona niż zaskoczona.

- Tak. Widzi więc pani, madame, że ma pani bardzo mało czasu, by obrać najrozsądniejszą strategię postępowania. Na razie służę pani. Później być może będę musiał służyć sprawiedliwości.

Lucia obrzuciła Poirota badawczym spojrzeniem, jak gdyby próbując zadecydować, czy może mu zaufać. Wreszcie drżącym głosem spytała:

- Co pan chce, bym zrobiła? Poirot usiadł naprzeciw niej.

- A pani? - powiedział jakby do siebie, po czym, zwracając się do Lucii, łagodnie zaproponował: - Dlaczego po prostu nie powie mi pani prawdy, madame?

Lucia milczała. Wreszcie wyciągając do niego rękę, zaczęła:

- Ja... ja... - urwała niezdecydowanie, a potem przybierając surowy ton, powiedziała: - Naprawdę, monsieur Poirot, nie rozumiem pana.

Poirot popatrzył na nią uważnie.

- Ach! A więc to tak. Bardzo mi przykro.

Odzyskując nieco panowanie nad sobą, Lucia odezwała się chłodnym tonem:

- Jeżeli powie mi pan, czego ode mnie chce, odpowiem na wszystkie pańskie pytania.

- A to dopiero! - zawołał mały detektyw. - Chce pani przechytryć Herkulesa Poirot, prawda? Doskonale. Proszę być jednak pewną, madame, że i tak wykryjemy prawdę. - Uderzył w stół. - Ale w mniej przyjemny dla pani sposób.

- Nie mam nic do ukrycia - powiedziała wyzywająco.

Poirot wyjął z kieszeni list, który dał mu Edward Raynor, i wręczył go Lucii.

- Kilka dni temu sir Claud otrzymał ten anonim - poinformował ją. Lucia przejrzała list, niewzruszona.

- No i co z tego? - rzekła, oddając go detektywowi.

- Czy słyszała już pani kiedyś to nazwisko Selma Goetz?

- Nigdy! Kto to jest?

- Zmarła... w listopadzie... w Genui - oświadczył Poirot.

- Doprawdy?

- Być może spotkała ją tam pani - zauważył, chowając list z powrotem do kieszeni. - Właściwie jestem o tym przekonany.

- Nigdy w życiu nie byłam w Genui - upierała się twardo Lucia.

- A gdyby ktoś potwierdził, że widział tam panią?

- To by... się mylił. Poirot nie ustępował.

- A ja słyszałem, madame, że w Genui poznała pani swojego męża.

- Czy Richard tak powiedział? Jaki niemądry! Poznaliśmy się w Mediolanie.

- A zatem ta kobieta, z którą była pani w Genui... Lucia przerwała mu ze złością.

- Mówię panu, że nigdy nie byłam w Genui!

- Ach, pardon! - wykrzyknął Poirot. - Oczywiście, dopiero co pani o tym mówiła. A jednak to dziwne!

- Co jest dziwne?

Poirot zaniknął oczy i usiadł wygodnie na krześle.

- Opowiem pani pewną historyjkę, madame - oświadczył, wyjmując z kieszeni notes. - Mam przyjaciela, który pracuje jako fotograf dla pewnych londyńskich czasopism. Robi - jak to się u was mówi - migawki hrabin i innych modnych dam, które kąpią się na Lido. Tego typu rzeczy.

- Poirot przerzucił kartki swojego notesu, po czym ciągnął: - W zeszłym roku w listopadzie ten mój przyjaciel znalazł się w Genui i rozpoznał pewną słynną damę. Nazywała się wówczas baronowa de Giers, i była chère amie bardzo znanego francuskiego dyplomaty. Ludzie mówili o tym, ale to nie miało dla niej żadnego znaczenia, gdyż ten dyplomata także mówił, a tego właśnie chciała. Był bardziej zakochany niż dyskretny, rozumie pani... - Poirot urwał z niewinną miną. - Mam nadzieję, że nie nudzę pani, madame?

- Skądże, ale właściwie nie wiem, o co w tej historii chodzi. Przeglądając notes, detektyw kontynuował:

- Zaraz się pani tego dowie, zapewniam panią, madame. Mój przyjaciel pokazał mi zrobione przez siebie zdjęcie. Przyznaliśmy, że baronowa de Giers jest une très belle femme, \ wcale nie dziwiło nas zachowanie dyplomaty.

- To wszystko?

- Nie, madame. Widzi pani, ta dama nie była sama. Sfotografowano ją, jak spacerowała w towarzystwie córki, a ta córka, madame, miała bardzo piękną twarz, taką, której nie sposób zapomnieć.

Poirot wstał, uklonił się najbardziej szarmancko, jak tylko potrafił, i zamknął swój notes.

- Naturalnie, od razu, jak tu przyjechałem, rozpoznałem tę twarz.

Lucia spojrzała na Poirota, i wciągnęła powietrze raptownie.

- Och! - wykrzyknęła. Po chwili jednak opanowała się i roześmiała.

- Mój drogi monsieur Poirot, co za dziwaczna pomyłka. Teraz już rozumiem, dlaczego zadawał mi pan te wszystkie pytania. Doskonale pamiętam baronową de Giers, a także jej córkę. Córka to raczej nieciekawa osoba, ale matka mnie fascynowała. Byłam nią zauroczona, i wiele razy chodziłyśmy razem na spacer. Moje oddanie chyba ją nieco bawiło. Niewątpliwie w ten sposób zrodziło się to nieporozumienie. Ktoś pomyślał sobie, że muszę być córką tej kobiety. - Lucia zagłębiła się w fotelu.

Poirot powoli, ze zrozumieniem pokiwał głową, na co Lucia odetchnęła z widoczną ulgą.

Potem, szybko nachylając się nad stołem w jej stronę, detektyw zauważył:

- A ja myślałem, że pani nigdy nie była w Genui. Zaskoczona, Lucia z trudem łapała oddech.

Patrzyła, jak Poirot

wkłada z powrotem notes do kieszeni marynarki.

- Nie ma pan żadnej fotografii - powiedziała. Było to na wpół pytanie, a na wpół stwierdzenie.

- Nie - przyznał Poirot. - Nie mam żadnej fotografii, madame. Znałem nazwisko, którym posługiwała się w Genui Selma Goetz. Cała reszta - mój przyjaciel i jego zdjęcie - to mój niewinny wymysł!

Lucia zerwała się na nogi, jej oczy płonęły gniewem.

- Zastawił pan na mnie pułapkę! - krzyknęła ze wściekłością. Poirot wzruszył ramionami.

- Tak, madame - potwierdził. - Niestety, nie miałem wyjścia.

- Co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią sir Clauda? - mruknęła Lucia, jak gdyby do siebie, rozglądając się w panice po pokoju.

Poirot przybrał obojętny ton i, zamiast odpowiedzieć, zadał następne pytanie.

- Madame - spytał, strząsając wymaglinowany pyłek ku<sup>z</sup>u z marynarki - czy to prawda, że niedawno straciła pani cenny naszyjnik z brylantów?

Lucia rzuciła mu spojrzenie pełne nienawiści.

- Znów pytam - odezwała się przez zaciśnięte zęby - co to ma wspólnego ze śmiercią sir Clauda?

Poirot wolno i z namysłem dobierał słowa.

- Najpierw skradziony naszyjnik - a potem skradziony wzór. Obydwie te rzeczy mogłyby przynieść ogromną sumę pieniędzy.

- O co panu chodzi? - wydusiła z siebie Lucia.

- O to, żeby odpowiedziała pani następujące pytanie. Ile chciał doktor Carelli - tym razem?

Odwróciła się do niego tyłem.

- Ja... ja... nie odpowiem więcej na żadne pytanie - wyszeptała.

- Czyżby się pani bała? - zapytał detektyw, zbliżając się do niej. Lucia ponownie stanęła naprzeciwko niego, wyzywająco odrzucając głowę do tyłu.

- Nie - odparła - nie boję się. Tylko nie wiem, o czym pan mówi! Dlaczego doktor Carelli miałby prosić mnie o pieniądze?

- Szantażował panią - odparł Poirot. - Pani mąż Richard pochodzi z dumnej rodziny i pani z pewnością nie chciała, by się dowiedzieli, że jest pani... córką Selmy Goetz!

Lucia przez chwilę patrzyła na Poirota gniewnym wzrokiem, w milczeniu, po czym, kuląc się w

sobie, opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Minęła co najmniej minuta, zanim wzdychając, podniosła wzrok

- Czy Richard wie? - spytała cicho.

- Jeszcze nie, madame - odparł powoli Poirot. Lucia zaczęła błagać z rozpaczą:

- Niech pan mu nie mówi, monsieur Poirot! Proszę mu o tym nie mówić! On jest taki dumny ze swego nazwiska, tak czuły na punkcie honoru! Podłością z mojej strony było to, że za niego wyszłam! Ale byłam taka nieszczęśliwa. Nienawidziłam tego życia, tego okropnego życia, które zmuszona byłam wieść u boku mojej matki. Odbierałam to jako poniżenie. Ale co mogłam zrobić? A potem, kiedy mama umarła, byłam wreszcie wolna! Mogłam być uczciwa, mogłam uciec od życia opartego na kłamstwach i intrygach. Poznałam Richarda.

To najwspanialsza rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała. Richard stał się częścią mojego życia. Kochałam go, a on chciał mnie poślubić. Jak mogłam mu powiedzieć, kim jestem? Dlaczego miałabym mu o tym mówić?

- A potem - zachęcił ją łagodnie Poirot - Carelli rozpoznał gdzieś panią w towarzystwie monsieur Amory'ego i zaczął szantażować?

- Tak, ale ja nie miałam swoich pieniędzy - wykrztusiła Lucia.

- Sprzedałam naszyjnik i zapłaciłam mu. Myślałam, że na tym się skończy. Ale wczoraj pojawił się tutaj. Słyszał o wzorze, który odkrył sir Claud.

- Chciał, by pani wykradła go dla niego? Lucia westchnęła.

-Tak.

- I zrobiła to pani? - zapytał Poirot, przysuwając się do niej.

- Nie uwierzy mi pan... teraz - wyszeptwała Lucia, potrząsając smutnie głową.

Poirot przyglądał się życzliwie pięknej młodej kobiecie.

- Ależ tak, moje dziecko - zapewnił ją. - Wciąż pani wierzę. Miej odwagę i zaufaj papie Poirotowi, dobrze? Proszę po prostu powiedzieć mi prawdę. Czy zabrała pani wzór sir Clauda?

- Nie, nie zrobiłam tego, naprawdę! - powiedziała gwałtownie Lucia. - Ale to prawda, że miałam taki zamiar. Carelli dorobił klucz do sejfu sir Clauda na podstawie odcisku, który zdjęłam.

Poirot wyjął z kieszeni klucz i zapytał:

- Czy to ten?

- Tak, to było dosyć łatwe. Carelli dał mi ten klucz. Byłam w gabinecie, walcząc ze sobą, by otworzyć sejf, kiedy sir Claud wszedł i mnie nakrył. To prawda, przysięgam!

- Wierzę pani, madame - rzekł Poirot. Włożył klucz z powrotem do kieszeni i usiadł w fotelu, składając razem koniuszki palców i zastanawiając się przez chwilę. - A mimo to przystała pani



z ochotą na plan sir Clauda, by zgasić wszystkie światła w bibliotece, prawda?

- Nie chciałam się poddawać rewizji osobistej - wyjaśniła Lucia.

- Carelli przesłał mi wiadomość razem z kluczem i miałam to wszystko przy sobie.

- Co pani z tym zrobiła? - zapytał Poirot.

- Kiedy zgasło światło, rzuciłam klucz tak daleko, jak tylko mogłam. Tam. - Wskazała na krzesło, na którym siedział poprzedniego wieczoru Edward Raynor.

- A ta wiadomość, którą przekazał pani Carelli? - dopytywał się Poirot.

- Nie wiedziałam, co z tym zrobić - Lucia wstała i podeszła do stołu. - Wsunęłam ją więc pomiędzy kartki książki. - Wzięła książkę ze stołu i zaczęła ją kartkować. - Tak, wciąż tu jest - oznajmiła, biorąc do ręki kawałek papieru. - Chce pan przeczytać?

- Nie, madame, to należy do pani - powiedział Poirot.

Lucia usiadła przy stole i podarła list na małe kawałki, po czym włożyła je do torebki. Poirot obserwował ją, po chwili zapytał:

- Jeszcze jedno, madame. Czy wczoraj wieczorem nie rozerwała pani przypadkiem sukienki?

- Ja? Nie! - Lucia była zaskoczona.

- Czy w ciągu tych kilku chwil, kiedy panowały ciemności, słyszała pani odgłos rozdzierania materiału?

Lucia zastanawiała się przez parę sekund. Potem powiedziała:

- Tak, teraz, jak pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że słyszałam. Ale to nie była moja sukienka. To musiała być sukienka panny Amory albo Barbary.

- No cóż, nie będziemy się tym martwić - powiedział obojętnie Poirot. - Ale teraz przejdźmy do następnej sprawy. Kto wczoraj wieczorem nalewał kawę Clauda?

-Ja.

- I postawiła ją pani na tym stole, koło swojej filiżanki? -Tak.

Poirot wstał, nachylił się nad stołem w stronę Lucii i zapytał zniechęcony:

- Do której filiżanki wrzuciła pani hioscynę? Lucia spojrzała na niego ze zgrozą.

- Skąd pan o tym wie? - wykrztusiła.

- Wiedzieć o różnych sprawach należy do mojej profesji. Do której filiżanki, madame?

Lucia westchnęła.

- Do mojej własnej.

- Dlaczego?

- Ponieważ chciałam... chciałam umrzeć. Richard podejrzewał, że jest coś pomiędzy mną i Carellim - że mamy romans. Nie mógł być bardziej daleki od prawdy. Nienawidziłam Carellego! Także teraz go nienawidzę. Ale, ponieważ nie udało mi się zdobyć dla niego wzoru,

byłam pewna, że wyda mnie Richardowi. Samobójstwo było jakimś wyjściem - jedynym wyjściem. Szybki, kamienny sen... bez przebudzenia - tak właśnie powiedział.

- Kto pani tak powiedział?

- Doktor Carelli.

- Zaczynam rozumieć... zaczynam rozumieć - mruknął Poirot. Wskazał na filiżankę stojącą na stole. - To jest zatem pani filiżanka? Pełna, nietknięta?

-Tak.

- Dlaczego zmieniła pani zdanie i nie wypła kawy?

- Przyszedł do mnie Richard. Powiedział, że zabierze mnie stąd

- za granicę - i że jakoś zdobędzie na to pieniądze. Przywrócił mi... nadzieję.

- A teraz proszę posłuchać uważnie, madame - rzekł z powagą Poirot. - Dziś rano doktor Graham zabrał filiżankę, która znajdowała się koło krzesła sir Clauda.

-Tak?

- Jego koledzy lekarze z pewnością nie znajdą w niej nic oprócz fusów na dnie... - urwał.

Nie patrząc na niego, Lucia odparła:

- O... oczywiście.

- Zgadza się, prawda? - Poirot nie ustępował.

Lucia patrzyła prosto przed siebie, nie odpowiadając. Potem spojrzała na detektywa i zawołała:

- Dlaczego pan mi się tak przygląda? Pan mnie przeraża!

- Powiedziałem - powtórzył Poirot - że zabrali filiżankę, którą znaleźli dziś rano koło krzesła sir Clauda. Przyjmijmy zamiast tego, że zabrali filiżankę, która była koło jego krzesła wczoraj wieczorem.

- Podeszedł do stołu przy drzwiach i wyjął z doniczki filiżankę na kawę. - Załóżmy, że wzięli tę filiżankę!

Lucia wstała szybko, zasłaniając twarz rękoma.

- Pan wie! - wydusiła. Poirot przysunął się do niej.

- Madame! - rzekł surowo. - Zbadają tę filiżankę, o ile już tego nie zrobili, i nie znajdą niczego.

Ale zeszłej nocy przelałem do próbówki kilka kropel z właściwej filiżanki. Co by pani powiedziała, gdybym jej zdradził, że w filiżance sir Clauda była hioscyna?

Lucia była wstrząśnięta. Zachwiała się, ale zaraz doszła do siebie. Przez chwilę milczała, po czym wyszeptwała:

- Ma pan rację. Zupelną rację. Zabiłam go. - Nagle głośno zawołała: - Ja go zabiłam! Ja wrzuciłam hioscynę do jego filiżanki.

- Podchodząc do stołu, wzięła do ręki pełną filiżankę kawy. - To jest tylko... kawa.

Podniosła ją do ust, ale Poirot rzucił się do przodu i dłonią zasłonił jej usta. Przez pewien czas przyglądali się sobie uważnie, po czym Lucia wybuchnęła płaczem. Poirot zabrał jej filiżankę i postawił na stole.

- Madame! - zawołał.

- Dlaczego pan mnie powstrzymał? - wymamrotała Lucia.

- Madame, świat jest bardzo piękny. Dlaczego chce pani go opuścić?

- Ja... och! - Opadła na kanapę, szlochając rozpaczliwie. Poirot przemówił łagodnym, ciepłym głosem:

- Powiedziała mi pani prawdę. Dodała pani hioscyny do swojej własnej filiżanki. Wierzę pani. Ale w tej drugiej filiżance również była hioscyna. A teraz proszę, by znowu była pani ze mną szczerą. Kto wrzucił hioscynę do filiżanki sir Clauda?

Lucia patrzyła na Poirota z przerażeniem.

- Nie, nie, myli się pan. On tego nie zrobił. To ja go zabiłam

- krzyknęła histerycznie.

- Kto tego nie zrobił? Kogo pani kryje, madame? Proszę mi powiedzieć - zażądał Poirot.

- On tego nie zrobił, mówię panu - szlochała Lucia. Rozległo się pukanie do drzwi.

- To z pewnością policja - powiedział. - Zostało nam niewiele czasu. Złożę pani dwie obietnice, madame. Obietnica numer jeden: ocalę panią...

- Ale ja go zabiłam, mówię panu! - Lucia niemalże krzyczała.

- Obietnica numer dwa - ciągnął niezmierny Poirot - ocalę pani męża!

- Och! - szepnęła, patrząc na niego z konsternacją.

Do pokoju wszedł Tredwell. Zwracając się do Poirota, zapowiedział:

- Inspektor Japp ze Scotland Yardu.

## XV

Piętnaście minut później inspektor Japp w towarzystwie młodego konstabla Johnsona skończył wstępną inspekcję salonu. Japp, rubaszny, energiczny mężczyzna w średnim wieku, o krępej budowie ciała i zdrowej cerze, rozmawiał z Poirotem i Hastingsem, który powrócił ze swego wygnania w ogrodzie.

- Tak - mówił Japp do konstabla - pan Poirot i ja zaczęliśmy bardzo dawno temu. Słyszałeś często, jak o nim mówiłem. Kiedy po raz pierwszy pracowaliśmy razem, był jeszcze w belgijskiej policji. To była sprawa fałszerza Abercrombiego, prawda, Poirot? Wytropiliśmy go w Brukseli. Ach, to były czasy. A pamiętasz „barona” Alta-rę? Co to był za gagatek!

Wyprowadził w pole połowę policji w Europie. Ale udało nam się złapać go w Antwerpii - dzięki temu tu oto panu Poirot. - Japp zwrócił się do detektywa: - A potem spotkaliśmy się ponownie w tym kraju, prawda, Poirot? - zawołał. - Oczywiście wtedy był pan już na emeryturze. Wyjaśnił pan tę tajemniczą sprawę w Styles, pamięta pan? Po raz ostatni pracowaliśmy razem jakieś dwa lata temu, prawda? Ta sprawa włoskiego szlachcica w Londynie. Cóż, świetnie widzieć pana znowu, Poirot. Omal nie zważyło mnie z nóg, kiedy wszedłem tu kilka minut temu i zobaczyłem pańską zabawną starą gębę.

- Moją gębę? - zapytał Poirot, zdziwiony. Zrozumienie angielskiej mowy potocznej ciągle sprawiało mu trudność.

- Mam na myśli pańską twarz, chłopie - wyjaśnił Japp, uśmiechając się szeroko. - No dobrze, będziemy nad tym wspólnie pracować?

Poirot uśmiechnął się.

- Pocziwy Japp, zna pan moje małe słabostki!

- Tajemniczy z pana gość, co? - zauważył Japp, klepiąc Poirota po ramieniu. - Ta pani Amory, z którą pan rozmawiał, kiedy wszed-

łem, jest bardzo przystojna. Żona Richarda Amory'ego, jak sądzę? Założę się, że dobrze się pan bawił, stary capie!

Inspektor roześmiał się nieco rubasznie i usiadł na krześle przy stole.

- W każdym razie - ciągnął - to jest taka sprawa, która doskonale się dla pana nadaje. To satysfakcja dla pańskich komórek mózgowych. Nie znoszę spraw, w których chodzi o otrucie. Nie ma niczego, na czym by można się oprzeć. Trzeba się dowiedzieć, co jedli i pili, kto tego dotykał, a nawet, kto na to chuchał! Ale mam wrażenie, że doktor Graham jest dosyć pewien

swego w tej sprawie. Twierdzi, że narkotyk musiał zostać dodany do kawy. Według niego taka duża dawka zadziałałaby niemalże natychmiast. Oczywiście dowiemy się tego na pewno dopiero wtedy, gdy dostaniemy raport analityka, ale już teraz mamy wystarczająco dużo materiału, na którym można się oprzeć, - Wstał z krzesła.

- No cóż, skończyłem już z tym pokojem - oświadczył. - Lepiej zamienię kilka słów z panem Richardem Amorym, a potem zobaczę się z tym doktorem Carellim. Wygląda na to, że to człowiek, którego szukamy. Ale nie można niczego przesądzać, zawsze to powtarzam, nie można niczego przesądzać. - Podeszedł do drzwi.

- Idzie pan, Poirot?

- Ależ oczywiście, będę panu towarzyszył - powiedział Poirot, zbliżając się do niego.

- Kapitan Hastings także, nie wątpię - roześmiał się Japp. - Podąża za panem jak cień, prawda, Poirot?

Detektyw rzucił przyjacielowi znaczące spojrzenie.

- Może jednak Hastings wolałby zostać tutaj - zauważył. Zrozumiawszy jego aluzję, Hastings odparł:

- Tak, tak, myślę, że tu zostanę.

- No cóż, jak pan woli - powiedział zaskoczony Japp. Wyszli razem z Poirotem, a za nimi podążył młody policjant; po chwili otworzyło się francuskie okno i pojawiła się w nim Barbara Amory, ubrana w różową bluzkę i jasne marynarskie spodnie.

- Ach, tu pan jest, mój drogi! Kto to się nam właśnie zwałił na głowę? - zapytała Hastingsa, zajmując miejsce na kanapie. - Policja?

- Tak - odparł Hastings, siadając koło niej. - Inspektor Japp ze Scotland Yardu. Poszedł się teraz zobaczyć z pani kuzynem, w zamiarze zadania mu kilku pytań.

- Jak pan myśli, czy będzie chciał rozmawiać także ze mną?

- Nie sadzę. Ale nawet jeżeli tak, to nie ma powodów do niepokoju - zapewnił ją Hastings.

- Och, nie jestem zaniepokojona - odparła Barbara. - Właściwie to zupełnie niesamowita sprawa! Kusi mnie, żeby ją nieco ubarwić, wywołać trochę sensacji. Uwielbiam sensacje, a pan?

Hastings był zakłopotany.

- Ja... ja naprawdę nie wiem. Nie, nie sędzę, żebym lubił sensacje. Barbara Amory spojrzała na niego wesoło.

- Intryguje mnie pan - oświadczyła. - Gdzie pan był przez całe życie?

- No cóż, spędziłem kilkanaście lat w Ameryce Południowej.

- Wiedziała! - zawołała Barbara. Zrobiła daszek z dłoni nad oczami. - Otwarte, rozległe

przestrzenie. To dlatego jest pan tak uroczo staroświecki.

Hastings poczuł się obrażony.

- Przykro mi - powiedział chłodno.

- Och, ale ja to uwielbiam - pośpieszyła z wyjaśnieniem Barbara. - Uważam, że jest pan kochany, naprawdę kochany.

- Co ma pani dokładnie na myśli mówiąc „staroświecki”?

- No cóż - odparła - jestem pewna, że wierzy pan w różne takie nudziarstwa, jak przyzwoitość, mówienie prawdy - z wyjątkiem uzasadnionych wypadków, kiedy można kłamać - i robienie dobrej miny do złej gry.

- Raczej tak - potwierdził nieco zaskoczony Hastings. - A pani nie?

- Ja? No cóż, czy na przykład spodziewa się pan, że będę udawała, iż śmierć stryja Clauda mnie martwi?

- A nie? - Hastings robił wrażenie zszokowanego.

- Mój Boże! - zawołała Barbara. Wstała i usiadła na brzegu ławy. - Dla mnie to najwspanialsza rzecz, jaka się kiedykolwiek zdarzyła. Nie ma pan pojęcia, co to był za sknera. Nie wie pan, jak on nas wszystkich poniżał! - Urwała, gdyż wzburzenie nie pozwalało jej mówić dalej.

Hastings zaczął z zakłopotaniem:

- Ja... ja... wolałbym, żeby pani nie... - ale Barbara mu przerwała.

- Nie lubi pan szczerości? - zapytała. - Spodziewałam się, że taki właśnie pan jest. Wolałby pan, żebym zamiast tego nosiła żałobę i ściszym głosem mówiła: „Biedny stryjek Claud! Był dla nas taki dobry”.

- Ależ Barbaro! - wykrzyknął Hastings.

- Och, nie musi pan udawać - ciągnęła. - Wiem, że gdybym poznała pana lepiej, takim właśnie człowiekiem by się pan okazał. Ale uważam, że życie jest zbyt krótkie na te wszystkie kłamstwa i udawanie. Stryj Claud wcale nie był dla nas dobry. Jestem pewna, że wszyscy tak naprawdę, w głębi naszych serc, jesteśmy zadowoleni z tego, że nie żyje. Tak, nawet ciocia Karolina. Kochane biedactwo, musiała go znosić dłużej niż ktokolwiek inny.

Barbara nagle się uspokoiła. Kiedy odezwała się znowu, jej ton był łagodniejszy.

- Wie pan, zastanawiałam się nad tym. Z naukowego punktu widzenia ciocia Karolina mogła otruć stryja Clauda. Ten atak serca wczoraj wieczorem był naprawdę bardzo podejrzany. W ogóle nie wierzę, że to był atak serca. Można przypuszczać, że ciocia Karolina, całymi latami zmuszona do tłumienia swych uczuć, rozwinęła w sobie jakiś potężny kompleks...

- Teoretycznie jest to możliwe - powiedział ostrożnie Hastings.

— Swoją drogą, ciekawe, kto zwał wzór - kontynuowała Barbara. - Wszyscy mówią, że to

sprawka tego Włocha, ale ja osobiście podejrzewam Tredwella.

- Lokaja? Wielkie nieba! Dlaczego?

- Bo on nie wchodził do gabinetu! Hastings był zdumiony.

- A więc...

- Pod pewnymi względami jestem bardzo konwencjonalna - rzekła Barbara. - Nauczono mnie, żeby podejrzewać najmniej prawdopodobną osobę. To zawsze sprawdza się we wszystkich najlepszych kryminałach. A Tredwell z pewnością jest najmniej prawdopodobną osobą.

- Może z wyjątkiem pani - podsunął ze śmiechem Hastings.

- Och, mnie! - Barbara uśmiechnęła się niepewnie, wstając i odsuwając się od niego. - Jakie to dziwne... - mruknęła do siebie.

- Co jest dziwne? - zapytał Hastings, podnosząc się.

- Coś, o czymś właśnie sobie pomyślałam. Chodźmy do ogrodu. Nienawidzę tego pomieszczenia. - Skierowała się w stronę francuskiego okna.

- Niestety, muszę tu zostać - powiedział Hastings.

- Dlaczego?

- Nie wolno mi opuszczać tego pokoju.

- Wie pan - zauważyła Barbara - chyba ma pan jakiś kompleks na punkcie tego pokoju. Pamięta pan wczorajszy wieczór? Byliśmy tu wszyscy, kompletnie załamani zniknięciem wzoru, a pan wszedł i w cudowny sposób rozładował napięcie mówiąc, jak gdyby nigdy nic: „Jaki przyjemny pokój, panie Amory”. To było takie zabawne, kiedy obaj panowie pojawiliście się u nas. Towarzyszył panu ten niezwykle mały człowieczek, liczący sobie nie więcej niż 160 centymetrów wzrostu, ale noszący się z ogromną godnością. A pan był, taki, taki miły.

- Poirot przy pierwszym spotkaniu sprawia raczej wrażenie dziwaka, przynajmniej - zgodził się Hastings. - A na dodatek ma mnóstwo małych słabostek. Na przykład ma bzika na punkcie porządku. Jeżeli widzi zawieszoną krzywo ozdobę, pyłek kurzu albo nawet drobny nieład w czymś ubiorze, jest to dla niego nieznośną torturą.

- Stanowicie wspaniały kontrast - powiedziała Barbara ze śmiechem.

- Poirot ma specyficzne metody prowadzenia śledztwa - ciągnął Hastings. - Porządek i metoda to dla niego najwyższe wartości. Gardzi dowodami rzeczowymi, jak na przykład ślady stóp i popiół z papierosa, wie pani, o co mi chodzi. Utrzymuje, że detektyw, gdyby opierał się wyłącznie na tym, nigdy nie zdołałby rozwiązać żadnej zagadki. Prawdziwa praca, powtarza, dokonuje się od wewnątrz. A potem puka się w tę swoją jajowatą głowę i z wielkim zadowoleniem zauważa: - „Małe, szare komórki - zawsze o nich pamiętaj, mon ami”.

- Och, on jest kochany - oświadczyła Barbara. - Ale nie taki słodki jak pan, z tym swoim: „Jaki

to przyjemny pokój!"

- Ale to rzeczywiście jest przyjemny pokój - upierał się Hastings, nieco poirytowany.

- Osobiście nie zgadzam się z panem. - Wzięła go za rękę, próbując zaciągnąć w stronę otwartego francuskiego okna. - W każdym razie już dosyć się pan nim nacieszył. Chodźmy.

- Nie rozumie pani - powiedział Hastings, wrywając rękę. - Obiecałem Poirotowi.

- Obiecał pan monsieur Poirotowi, że nie opuści tego pokoju? Ale dlaczego? spytała wolno Barbara.

- Nie mogę tego powiedzieć.

- Och! - Przez chwilę milczała, po czym zmieniła taktykę. Zaszła Hastingsa od tyłu i zaczęła recytować egzaltowanym, dramatycznym głosem: - „Na płonącym pokładzie chłopiec stał...”

- Słucham?

- „Skąd każdy, oprócz niego, zwiął”. I co, drogi panie?

- Po prostu pani nie rozumiem - oświadczył zrozpaczony Hastings.

- Dlaczego miałby mnie pan rozumieć? Och, jest pan naprawdę uroczy - Barbara wzięła go pod ramię. - Proszę pójść ze mną i pozwolić się uwieść. Wie pan, naprawdę uważam, że jest pan cudowny.

- Nabiera mnie pani.

- Wcale nie. Szaleję za panem. Jest pan przedwojenny w najlepszym tego słowa znaczeniu. Tym razem Hastings pozwolił jej zaciągnąć się w stronę francuskiego okna.

- Jest pan wyjątkową osobą - powiedział. - Zupełnie inną niż wszystkie dziewczyny, jakie dotychczas poznałem.

- Cieszę się, że pan to mówi. To bardzo dobry znak - rzekła Barbara; stali teraz naprzeciwko siebie, w otwartych drzwiach.

- Dobry znak?

- Tak, to daje dziewczynie nadzieję.

Hastings zarumienił się, a Barbara roześmiała się beztrąsko, ciągnąc go do ogrodu.



## XVI

Po wyjściu Barbary i Hastingsa biblioteka pozostała pusta nie dłużej niż przez kilka chwil. Potem otworzyły się drzwi z korytarza i weszła panna Amory, niosąc koszyczek z robótką. Podeszła do kanapy, postawiła tam swój koszyczek, uklękła i zaczęła czegoś szukać dookoła. Tymczasem innymi drzwiami wszedł doktor Carelli z kapeluszem i małą walizką w ręku. Ujrzawszy pannę Amory, zatrzymał się, przepaszając za najście.

Panna Amory wstała, nieco zmieszana.

- Szukałam szydełka - powiedziała niepotrzebnie, trzymając szydełko w ręku. - Wpadło za kanapę. - Potem, patrząc na walizkę, spytała: - Pan nas opuszcza, doktorze Carelli?

Carelli położył kapelusz i walizkę na krześle.

- Czuję, że nie mogę dłużej nadużywać gościnności państwa

- oświadczył.

Najwidoczniej uradowana, panna Amory zdobyła się jednak na uprzejmość:

- Cóż, oczywiście, jeżeli pan tak uważa... - Potem, przypominając sobie o sytuacji, w jakiej znajdowali się ostatnio mieszkańcy domu i jego goście, dorzuciła: - Ale sądziłam, że są jakieś dokuczliwe formalności... - zawahała się i zamilkła.

- Och, wszystko jest już załatwione - zapewnił ją Carelli.

- No cóż, jeżeli pan uważa swój wyjazd za konieczny...

- Tak, absolutnie konieczny.

- Zamówię samochód - powiedziała szybko Karolina, zbliżając się do dzwonka nad kominkiem.

- Nie, nie - zaprotestował Carelli. - To również jest już załatwione.

- Ale pan nawet musiał sam znieść na dół walizę. Naprawdę, ta służba! Wszyscy są zdemoralizowani, kompletnie zdemoralizowani!

- Usiadła z powrotem na kanapie i wyjęła z koszyczka robótkę.

- Nie potrafią się skoncentrować, doktorze Carelli. Tracą głowę. Dziwne, prawda?

Carelli wyglądał na mocno poirytowanego; niedbałym tonem odpowiedział:

- Bardzo dziwne. - Rzucił spojrzenie w kierunku telefonu. Panna Amory zaczęła szydełkować usiłując jednocześnie podtrzymywać banalną rozmowę.

- Przypuszczam, że chce pan złapać ten pociąg o dwunastej piętnaście. Nie wolno panu się spóźnić. Oczywiście nie chcę robić zamieszania. Zawsze powtarzam, że to...

- Tak, rzeczywiście - przerwał jej stanowczo Carelli - ale jest jeszcze dużo czasu.

Zastanawiałem się, czy... czy nie mógłbym skorzystać z telefonu?

Panna Amory podniosła na chwilę wzrok.

- Och, tak, oczywiście - powiedziała, kontynuując swoją robotę. Nie przyszło jej do głowy, że doktor Carelli być może chciałby porozmawiać przez telefon na osobności.

- Dziękuję pani - mruknął Carelli, podchodząc do biurka; udawał, że szuka numeru w książce telefonicznej. Rzucił zniecierpliwione spojrzenie w stronę panny Amory. - Wydaje mi się, że szukała pani bratanica - zauważył.

Karolina nie zareagowała; zaczęła jedynie mówić o Barbarze, nie przerywając roboty, zupełnie niezmiészana.

- Kochana Barbara! - wykrzyknęła. - To taka słodka osóbką. Wie pan, ona wie gdzie tu raczej smutne życie, zbyt nudne dla takiej młodej dziewczyny. Śmiem jednak twierdzić, że teraz sytuacja ulegnie zmianie. - Przez chwilę z lubością pieściła tę myśl, po czym dorzuciła: - Nie chodzi o to, że nie zrobiłam wszystkiego, co było w mojej mocy. Ale każda dziewczyna potrzebuje trochę radości. Cały Beeswax świata nie jest w stanie tego zastąpić.

Na twarzy doktora Carellego odmalowało się zdumienie, połączone z rosnącą irytacją.

- Beeswax? - zapytał.

- Tak, Beeswax - a może Beemax? To są witaminy, a przynajmniej tak jest napisane na pudełku. A, B, C i D. Pełny zestaw, z wyjątkiem tej witaminy, która zapobiega chorobie beri-beri. Ale ja uważam, że to nie jest potrzebne, jeżeli się mieszka w Anglii. Tu nie spotyka się tej choroby. Zapadają na nią bodajże ludzie, którzy zajmują się polerowaniem ryżu w krajach tropikalnych. Bardzo intere-

sujące. Nakłoniłam Raynora, żeby to brał - to znaczy Beeswax - codziennie po śniadaniu. Był bardzo blady, biedaczysko. Próbowałam namówić do tego także Lucie, ale nie dała się. - Panna Amory z dezaprobatą potrząsnęła głową. - Pomyśleć tylko, że kiedy byłam młoda, miałam surowy zakaz jedzenia karmelków, ze względu na Beeswax - to znaczy Beemax. Wie pan, czasy się zmieniają. Naprawdę się zmieniają.

Doktor Carelli, choć próbował to ukryć, wprost kipiał z wściekłości.

- Tak, tak, panno Amory - odparł najuprzejmiej, jak tylko umiał. 'Zbliżył się i znów spróbował przemówić do jej poczucia taktu. - Bratanica panią woła.

- Woła mnie?

- Tak. Nie słyszy pani? Karolina zaczęła nasłuchiwać.

- Nie, nie słyszę - wyznała. - Dziwne. - Zwinęła robótkę. - Pan ma wspaniały słuch, doktorze Carelli. Nie chodzi o to, że ja mam zły. W rzeczy samej powiedziano mi, że...

Upuściła motek wełny, a Carelli schylił się, aby go podnieść.

- Dziękuję panu bardzo. Wszyscy członkowie mojej rodziny mają dobry słuch. - Wstała. - Mój ojciec zachował pełnię władz umysłowych do późnej starości. W wieku lat osiemdziesięciu czytał bez okularów. - Znowu upuściła włóczkę i Carelli ponownie ją podniósł.

- Och, dziękuję bardzo. To był niezwykle człowiek, doktorze Carelli - ciągnęła panna Amory. - Mówię o moim ojcu. Wyjątkowy człowiek. Spał zawsze w puchowym łożu z baldachimem, a okna w jego sypialni były stale zamknięte. Twierdził, że nocne powietrze jest najbardziej szkodliwe. Niestety, kiedy zaatakował go artretyzm, pielęgnowała go młoda kobieta, która uparła się, żeby okna były otwarte na górze, i mój biedny ojciec od tego zmarł.

Znowu upuściła motek wełny. Tym razem jednak Carelli wcisnął go jej do ręki i odprowadził ją do drzwi. Panna Amory szła wolno, cały czas mówiąc:

- Nie przepadam za pielęgniarzkami ze szpitala, doktorze Carelli. Plotkują o swoich pacjentach, piją za dużo herbaty i stale denerwują służbę.

- Ma pani rację, droga pani, całkowitą rację - przytaknął spiesznie Carelli, otwierając przed nią drzwi.

- Dziękuję panu bardzo - powiedziała Karolina. Wypchnąwszy ją z pokoju zamknął drzwi, podszedł szybkim krokiem do biurka i podniósł słuchawkę. Po chwili powiedział cicho, pospiesznie:

- Tu Market Cleve jeden-pięć-trzy. Proszę mnie połączyć z Londynem - Soho, dwie ósemki, pięć-trzy... nie, pięć-trzy, zgadza się... Dobrze?... Zadzwoni pani do mnie?... W porządku. Odłożył słuchawkę i w zniecierpliwieniu zaczął obgryzać paznokcie. Po chwili podszedł do drzwi od gabinetu, otworzył je i wszedł do środka. W tym samym momencie do biblioteki od strony korytarza wszedł Edward Raynor. Rozglądając się po pokoju, Raynor, niby to przypadkowo, zbliżył się do kominka. Dotknął wazonu z fidybusa-mi; wtedy to właśnie powrócił z gabinetu Carelli. Kiedy zamykał za sobą drzwi, Raynor odwrócił się i zobaczył go.

- Nie wiedziałem, że pan tu jest - powiedział sekretarz.

- Czekam na rozmowę telefoniczną - wyjaśnił Włoch. -Och!

Po chwili Carelli odezwał się ponownie:

- Kiedy przyszedł inspektor?

- Mniej więcej dwadzieścia minut temu. Widział go pan?

- Tylko z daleka - odparł Carelli.

- On jest ze Scotland Yardu - poinformował go Raynor. - Najwidoczniej prowadził jakąś inną sprawę w okolicy i został wezwany przez tutejszą policję.

- To się nazywa mieć szczęście, co? - zauważył lekarz.

- Prawda?

Zadzwoił telefon; Raynor chciał odebrać, ale Carelli był szybszy.

- To chyba do mnie. - Spojrzał na Raynora. - Czy nie zechciałby pan...

- Oczywiście, mój drogi - zapewnił sekretarz. - Już wychodzę. Raynor opuścił pokój, a Carelli podniósł słuchawkę. Ściszone głosem powiedział:

- Halo? - Czy to Miguel? - Tak? - Nie, do diaska, nie zrobiłem tego. To było niemożliwe. - Nie, nie rozumiesz, stary zmarł wczoraj wieczorem. - Wyjeżdżam natychmiast. - Japp jest tutaj - Japp. No wiesz, ten gość ze Scotland Yardu. - Nie, jeszcze z nim nie rozmawiałem. - Również mam taką nadzieję. - W tym samym miejscu, co zawsze, o dwudziestej pierwszej trzydzięci. - Tak.

Odłożywszy słuchawkę, Carelli podszedł do wnęki, wziął swoją walizkę, włożył kapelusz i skierował się w stronę francuskiego okna.

W tym momencie wrócił z ogrodu Herkules Poirot i zderzył się z nim.

- Przepraszam pana - rzekł Włoch.

- Nie ma za co - odparł uprzejmie Poirot, wciąż jednak blokując wyjście.

- Czy mógłby mnie pan przepuścić...

- To niemożliwe - powiedział łagodnym tonem Poirot. - Wykluczone.

- Nalegam.

- Nie mogę - mruknął Poirot, uśmiechając się przyjacielsko. Carelli zniecierpliwiony rzucił się na niego. Mały detektyw uchylił się

szybko, wskutek czego Włoch stracił równowagę; wówczas Poirot zabrał mu walizkę. W tej samej chwili do pokoju wkroczył Japp i chwycił Carellego w ramiona.

- Hola, co to wszystko ma znaczyć? - wykrzyknął inspektor.

- A to dopiero, niech mnie licho, jeżeli to nie jest Tonio!

- Ach! - roześmiał się lekko Poirot, odsuwając się od nich.

- Przypuszczałem, drogi inspektorze Japp, że będzie mi pan mógł podać imię tego dżentelmena.

- Och, wiem o nim wszystko - potwierdził Japp. - Tonio jest osobą publiczną. Prawda, Tonio?

Założę się, że byłeś zaskoczony ruchem, jaki wykonał monsieur Poirot. Jak to się nazywa, Poirot? Ju-jitsu czy coś w tym rodzaju, prawda? Nasz biedny Tonio!

Poirot położył na stole walizkę i otworzył ją, a Carelli warknął pod adresem Jappa:

- Nic pan na mnie nie ma. Nie może mnie pan zatrzymać.

- Ciekawe - powiedział inspektor. - Założę się, że nie będziemy musieli długo szukać człowieka, który ukradł wzór i załatwił starszego pana.

- Zwracając się do Poirota, dorzucił: - Ten wzór znajduje się dokładnie w polu zainteresowań Tonia, i skoro przyłapaliśmy go na próbie ucieczki, nie byłbym zdziwiony, gdyby miał to w tej chwili przy sobie.

- Zgadzam się z panem - oświadczył Poirot.

Japp przeszukał Carellego, a tymczasem Poirot przejrzał zawartość walizki.

- I co? - zapytał inspektor.

- Nic - odparł detektyw, zamykając walizkę. - Nic. Jestem rozczarowany.

- Uważacie się za bardzo bystrych, prawda? - warknął Carelli.

- Ale mógłbym wam powiedzieć...

Poirot przerwał mu, spokojnie, ale z naciskiem:

- Może i tak, ale bytoby to bardzo niemądre z pana strony.

- Jak to? - wykrzyknął zaskoczony Carelli:

- Monsieur Poirot ma całkowitą rację - oznajmił Japp. - Lepiej trzymaj gębę na kłódkę. -

Podszedł do drzwi na korytarz, otworzył je i zawołał: - Johnson! - Młody policjant wsunął głowę w drzwi. - Niech cała rodzina się tu zbierze, dobrze? polecił Japp. - Chcę, żeby wszyscy tu byli.

- Tak jest - odrzekł Johnson.

- Protestuję! Ja... - wykrztusił Carelli. Nagle chwycił walizkę i rzucił się w stronę francuskiego okna. Japp pobiegł za nim, złapał go i rzucił na kanapę, zabierając walizkę. - Jak dotychczas nikt ci nie zrobił krzywdy, więc nie kwicz - warknął Japp na przestraszonego Włocha.

Poirot skierował się ku drzwiom.

- Proszę nie odchodzić teraz, Poirot - zawołał za nim Japp, kładąc walizkę Carellego koło ławy.

- To powinno być bardzo interesujące.

- Nie, nie, drogi Japp, nie odchodzę - zapewnił go Poirot. - Zostanę tutaj. To zebranie rodzinne, jak pan mówi, rzeczywiście będzie wyjątkowo interesujące.

## XVII

Kilka minut później, kiedy rodzina Amorych zaczęła gromadzić się w bibliotece, Carelli z raczej ponurą miną siedział wciąż na kanapie, a Poirot kręcił się koło francuskiego okna. Barbara Amory i Hastings wrócili z ogrodu; Barbara usiadła na kanapie koło Carellego, a Hastings stanął obok Poirota.

- Byłoby pomocne, Hastings, gdybyś rejestrował - to znaczy w myśli, rozumiesz - gdzie wszyscy siadają - szepnął Poirot do przyjaciela.

- Pomocne? W jaki sposób?

- Pod względem psychologicznym, przyjacielu - to była jedyna odpowiedź detektywa.

Hastings obserwował, jak do pokoju wchodzi Lucia i zajmuje miejsce na krześle po prawej stronie stołu. Richard zjawił się w towarzystwie swojej ciotki, panny Amory, która usiadła na krześle przy biurku, on natomiast stanął za stołem, w pobliżu żony. Jako ostatni przyszedł Raynor i stanął za fotelem. Za nim do pokoju wszedł kon-stabl Johnson; zamknął drzwi i ustawił się przy nich na warcie.

Richard Amory przedstawił inspektora Jappa tym dwóm członkom rodziny, z którymi jeszcze nie miał okazji się zetknąć.

- To moja ciotka, panna Karolina Amory, a to moja kuzynka, panna Barbara Amory.

Witając się z nim, Barbara spytała:

- Po co to całe zamieszanie, inspektorze? Japp zignorował pytanie.

- Myślę, że teraz jesteśmy w komplecie, nieprawdaż? - zauważył, podchodząc do kominka.

Panna Amory wyglądała na zakłopotaną i nieco wystraszoną.

- Nie całkiem rozumiem - powiedziała do Richarda. - Co ten... ten dżentelmen tu robi?

- Chyba powinienem ci o czymś powiedzieć - odrzekł. - Posłuchaj, ciociu Karolino... i wy wszyscy - dorzucił, rozglądając się po pokoju - doktor Graham odkrył, że mój ojciec został... otruty.

- Co? - zawołał Raynor. Panna Amory wydała okrzyk przerażenia.

- Otruto go hioscyną - ciągnął Richard. Raynor wzdrygnął się.

- Hioscyną? - spytał. - A to dopiero, widziałem... - Urwał, spoglądając na Lucie.

Postępując krok w jego kierunku, inspektor Japp zapytał:

- Co pan widział, panie Raynor? Sekretarz był zakłopotany.

- Nic... przynajmniej... - zaczął niepewnie i zamilkł.

- Przykro mi, panie Raynor - nalegał Japp - ale muszę znać prawdę. Śmiało, każdy widzi, że pan coś ukrywa.

- Nic takiego, naprawdę - powiedział sekretarz. - To znaczy, z pewnością istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie.

- Wytłumaczenie dla czego, panie Raynor? Raynor wciąż się wahał.

- No? - zachęcił go Japp.

- Chodzi tylko o to... - Raynor znów przerwał, ale wreszcie się zdecydował. - Chodzi tylko o to, że widziałem, jak pani Amory wysypywała na dłoń te małe tabletki.

- Kiedy to było?

- Wczoraj wieczorem. Wychodziłem z gabinetu sir Clauda. Reszta towarzystwa była zajęta przy gramofonie. Wszyscy tam stali. Dostrzegłem, że pani Amory bierze fiolkę z tabletkami - miałem wrażenie, że to była hioscyną - i wysypuje większość na dłoń. Potem sir Claud zawołał mnie z powrotem do gabinetu.

- Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej? - zapytał Japp. Lucia chciała coś powiedzieć, ale inspektor ją uciszył.

- Chwileczkę, pani Amory, proszę. Najpierw chciałbym wysłuchać do końca pana Raynora.

- Potem już o tym nie myślałem - rzekł Raynor. - Przypomniało mi się dopiero wtedy, gdy pan Amory powiedział, że sir Claud został otruty hioscyną. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to nic takiego. Po prostu uderzył mnie ten zbieg okoliczności. W tabletkach równie dobrze mogło nie być hioscyny. Być może to była jakaś inna fiołka.

Japp zwrócił się teraz do Lucii.

- No cóż, co pani na to?

Lucia sprawiała wrażenie całkiem opanowanej.

- Chciałam wziąć coś na sen - odpowiedziała. Zwracając się ponownie do Raynora, Japp zapytał:

- Twierdzi pan, że prawie całkowicie opróżniła fiolkę?

- Tak mi się wydawało.

Następne pytanie inspektora było skierowane znowu do Lucii:

- Na sen nie potrzeba tak wielu tabletek. Wystarczyłaby jedna lub dwie. Co pani zrobiła z resztą?

Przez chwilę się zastanawiała, wreszcie odparła:

- Nie pamiętam. - Chciała powiedzieć coś więcej, ale Carelli wstał i syknął:

- Widzi pan, inspektorze? Ma pan swoją morderczynię. Barbara podniosła się szybko z kanapy i odsunęła od Carellego;

obok niej stanął Hastings. Włoch tymczasem ciągnął:

- Pozna pan prawdę, inspektorze. Przyjechałem tu specjalnie po to, by zobaczyć się z tą kobietą. Posłała po mnie. Powiedziała, że zdobędzie wzór sir Clauda, i zaproponowała mi jego sprzedaż. Przyznaję, że niegdyś zajmowałem się podobnymi sprawami.

- To wyznanie jest niewiele warte - powiedział Japp, chodząc pomiędzy Carellim a Lucią. - Tyle to już wiemy. - Zwrócił się do Lucii: - Co pani na to?

Wstała, blada jak ściana; podszedł do niej Richard.

- Nie zamierzam pozwolić... - zaczął, ale Japp mu przerwał: - Bardzo pana proszę, sir.

- Przyjrzyjcie się tej kobiecie! - odezwał się Carelli. - Nikt z was nie wie, kim ona jest. Ale ja wiem! To córka Selmy Goetz. Córka jednej z najbardziej nikczemnych kobiet, jakie znał świat.

- To nieprawda, Richardzie - wykrzyknęła Lucia. - To nie jest prawda! Nie słuchaj go...

- Połamię ci wszystkie kości! - warknął Richard Amory do Carellego.

Japp postąpił krok w kierunku Richarda.

- Proszę zachować spokój, sir, proszę zachować spokój - upomniał go. - Musimy dogłębnie zbadać tę sprawę. - Zwracając się do Lucii, powiedział: - Słuchamy panią, pani Amory.

Zapadło milczenie. Lucia zebrała siły.

- Ja... ja... - zaczęła. Spojrzała na męża, a potem na Poirota, wyciągając bezradnie rękę w jego stronę.

- Odwagi, madame - poradził detektyw. - Proszę mi zaufać. Niech pani im powie. Niech pani powie im prawdę. Doszliśmy do takiego punktu, gdzie nie ma sensu dłużej kłamać. Prawda będzie musiała wyjść na jaw.

Lucia spojrzała błagalnie na Poirota, ale ten jedynie powtórzył:

- Odwagi, madame. Si, si. Proszę być dzielną i mówić. - Powrócił na swoje miejsce przy francuskim oknie.

Po długiej chwili milczenia Lucia zaczęła mówić cichym, stłumionym głosem:

- To prawda, że jestem córką Selmy Goetz. Nie jest jednak prawdą, że prosiłam tego człowieka o przyjazd tutaj i zaproponowałam mu sprzedaż wzoru sir Clauda. Przyjechał, by mnie szantażować!

- Szantażować! - wykrztusił Richard, przysuwając się do niej. Lucia z przejęciem zwróciła się do męża:

- Groził, że powie ci o mojej matce, jeżeli nie zdobędę dla niego wzoru, ale ja tego nie zrobiłam. Myślę, że to on go wykradł. Miał po temu okazję. Był tam sam - w gabinecie. A teraz widzę, że chciał, bym popełniła samobójstwo, zażywając hioscynę, tak żeby wszyscy pomyśleli sobie, że to ja ukradłam wzór. Niemal mnie zahipnotyzował i... - Straciła panowanie nad sobą i wy



buchnęła płaczem.

Lucia, kochanie! - Richard otoczył żonę ramieniem. Potem przekazał ją w objęcia panny Amory, która zajęła się pocieszaniem młodej, roztrzęsionej kobiety; Richard zwrócił się do Jappa:

- Inspektorze, pragnę pomówić z panem na osobności.

Japp przyglądał mu się przez chwilę, po czym kiwnięciem głowy dał znak Johnsonowi.

- Doskonale - zgodził się, a konstabl otworzył drzwi przed panną Amory i Lucia. Barbara i Hastings skorzystali z okazji, by powrócić do ogrodu, a Edward Raynor, wychodząc, mruknął do Ri-charda:

- Przykro mi, Amory, bardzo mi przykro. - Kiedy Carelli wziął swoją walizkę i skierował się do wyjścia, Japp polecił policjantowi: - Miej oko na panią Amory i doktora Carellego. - Włoch zniknął za progiem, a Japp wciąż mówił do konstabla: - Nie chcę, żeby ktoś nam wykrcił jakiś brzydki numer, rozumiesz?

- Tak jest - odparł Johnson, wychodząc za Carellim z pokoju.

- Przykro mi, panie Amory, - powiedział Japp do Richarda - ale po tym, co powiedział nam pan Raynor, jestem zmuszony zastosować wszelkie możliwe środki ostrożności. I chcę, żeby pan Poirot tu został, w charakterze świadka.

Richard podszedł do Jappa z miną człowieka, który podjął doniosłą decyzję. Biorąc głęboki oddech, z determinacją przemówił:

- Inspektorze!

- Słucham pana, o co chodzi?

Richard odpowiedział bardzo wolno i z namysłem:

- Chyba już nadszedł czas, bym się przyznał. Zabiłem mojego ojca.

- Obawiam się, że to nie przejdzie, sir - uśmiechnął się Japp. Richard spojrzał nań ze zdumieniem.

- Co pan ma na myśli?

- Cóż, sir - ciągnął Japp. - Powiem to inaczej: to się panu nie uda. Zdaję sobie sprawę, że jest pan bardzo zakochany w swojej pani. Niedawno pan się ożenił i tak dalej. Ale, mówiąc szczerze, nie ma sensu nadstawiać karku dla złej kobiety. Choć przyznaję, że jest bardzo przystojna, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Inspektorze Japp! - zawołał gniewnie Richard.

- Dlaczego pan się na mnie złości, sir - ciągnął Japp, niezmiernie. - Powiedziałem panu szczerą prawdę, bez owijania w bawełnę, i nie wątpię, że pan Poirot powie panu to samo.

Przykro mi, sir, ale obowiązek to obowiązek, a morderstwo to morderstwo. To wszystko. - Japp skinął energicznie głową i wyszedł z pokoju.

Zwracając się do Poirota, który siedział na kanapie i cały czas ich obserwował, Richard zapytał chłodno:

- I co, pan mi powie to samo, monsieur Poirot?

Detektyw wstał i wyjął z kieszeni papierośnicę. Zamiast odpowiedzieć na pytanie Richarda, sam zapytał:

- Monsieur Amory, od kiedy pan podejrzewa swoją żonę?

- Ja nigdy... - zaczął Richard, ale Poirot mu przerwał, biorąc ze stołu pudełko zapalek.

- Proszę, błagam pana, monsieur Amory, chcę tylko prawdy! Wiem, że pan ją podejrzewał. I to jeszcze przed moim przyjazdem. Dlatego tak bardzo pan chciał, bym stąd zniknął. Niech pan nie zaprzecza. Nie uda się wywieść w pole Herkulesa Poirot. - Zapalił papierosa, odłożył zapalki na stół i uśmiechnął się do o wiele wyższego od siebie mężczyzny, który górował nad nim niczym wieża. Tworzyli śmieszny kontrast.

- Myli się pan - powiedział zimno Richard. - Całkowicie się pan myli. Jak mógłbym podejrzewać Lucie?

- Mimo to, oczywiście, równie dobrze można by oskarżyć pana - ciągnął Poirot w zamyśleniu, zajmując ponownie miejsce na kanapie. - Miał pan w ręku lekarstwa i filiżankę z kawą, odczuwał pan brak pieniędzy i nagłą potrzebę ich zdobycia. Och, tak, można by usprawiedliwić każdego, kto by pana podejrzewał.

- Inspektor Japp zdaje się nie podzielać pańskiego zdania - zauważył Richard.

- Ach, Japp! On kieruje się zdrowym rozsądkiem - uśmiechnął się Poirot. - Nie jest zakochaną kobietą.

- Zakochaną kobietą? - Richard zdawał się być zdumiony.

- Pozwoli pan, że udzielię panu lekcji psychologii, monsieur - zaproponował Poirot. - Kiedy się tu zjawiłem, pańska żona przyszła do mnie, błagając, żebym został i wykrył mordercę. Czy, gdyby była winna, zachowałaby się w ten sposób?

- To znaczy... - powiedział szybko Richard.

- To znaczy - przerwał mu Poirot - że jeszcze przed zachodem słońca będzie pan ją błagał na kolanach o wybaczenie.

- O czym pan mówi?

- Być może mówię za dużo - przyznał Poirot, wstając. - A teraz, monsieur, proszę oddać swój los w moje ręce. W ręce Herkulesa Poirot.

- Pan mógłby ją ocalić? - zapytał Richard z rozpaczą w głosie. Poirot spojrzał na niego z

powagą.

- Dałem słowo - chociaż wtedy nie zdawałem sobie sprawy, jakie to będzie trudne. Widzi pan, zostało niewiele czasu, trzeba działać, i to szybko. Musi mi pan obiecać, że zrobi dokładnie to, co powiem, bez zadawania pytań i robienia trudności. Obiecuje pan?

- Tak - Richard zgodził się niechętnie.

- Dobrze. A teraz proszę posłuchać. To, co proponuję, nie jest trudne ani też niemożliwe.

Właściwie jest podyktowane zdrowym rozsądkiem. Ten dom wkrótce zostanie oddany w ręce policji. Przeszukają wszystkie zakamarki. Wszędzie będą prowadzić dochodzenie. Mogłoby to być bardzo nieprzyjemne dla pana i pańskiej rodziny. Proponuję, żebyście państwo wyjechali.

- I oddali dom w ręce policji? - zapytał Richard z niedowierzaniem.

- Taka jest moja propozycja - powtórzył Poirot. - Oczywiście będziecie musieli zostać w pobliżu. Ale miejscowy hotel jest dosyć przyjemny. Zarezerwujcie tam pokoje. W ten sposób będziecie pod ręką, jeżeli policja zechce państwa przesłuchać.

- Ale kiedy miałyby to nastąpić? Poirot uśmiechnął się.

- Myślę, że... niezwłocznie.

- Chyba to będzie wyglądało bardzo dziwnie?

- Wcale nie, wcale nie - zapewnił mały detektyw, uśmiechając się znowu. - Takie zachowanie będzie dowodem waszej wielkiej - jak to się mówi? - wrażliwości. Z tym miejscem wiążą się przykre wspomnienia - nie wytrzymacie tu ani godziny dłużej. Zapewniam pana, że to będzie wyglądało doskonale.

- A co z inspektorem?

- Załatwię to z nim osobiście.

- Wciąż nie rozumiem, co dobrego może z tego wyniknąć - upierał się Richard.

- Oczywiście, że pan nie rozumie - Poirot sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

Wzruszył ramionami. - Nie musi pan rozumieć. Ale ja rozumiem. Ja, Herkules Poirot. To

wystarczy. - Położył Richardowi rękę na ramieniu. - Niech pan idzie i poczyni przygotowania.

Albo też, jeżeli nie może pan zająć się tym osobiście, proszę poprosić o to Raynora. Niech pan idzie, no już! - Niemalże wypchnął Richarda za drzwi.

Rzucając nań zaniepokojone spojrzenie, Richard wyszedł z pokoju.

- Och, ci Anglicy! Są tacy uparci - mruknął Poirot. Podszedł do francuskiego okna i zawołał: - Mademoiselle Barbara!

## XVIII

W odpowiedzi na wezwanie Poirota na progu pojawiła się Barbara.

- O co chodzi? Coś się stało? - zapytała. Poirot posłał jej ujmujący uśmiech.

- Ach, mademoiselle - powiedział. - Zastanawiałem się, czy nie mogłaby pani odstąpić mi mojego kolegi na parę minut?

Barbara rzuciła Poirotowi zalotne spojrzenie.

- A więc to tak! Chce mi pan zabrać moje maleństwo, nieprawdaż?

- Tylko na chwilę, mademoiselle, obiecuję pani.

- Będzie pan go miał, monsieur Poirot. - Odwracając się w stronę ogrodu, zawołała:

- Maleństwo, szukają cię.

- Dziękuję pani - Poirot uśmiechnął się znowu i z galanterią uklonił. Barbara wróciła do ogrodu, a w kilka chwil później do pokoju wszedł Hastings; wyglądał na nieco zawstydzonego.

- I co masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie? -• zapytał Poirot, udając poirytowanego.

Hastings uśmiechnął się przepaszajaco.

- Łatwo jest uśmiechać się głupkowato - besztął go Poirot. - Zostawiam cię tutaj na czatach, po czym dowiaduję się, że spacerujesz w ogrodzie z tą czarującą młodą damą. W zasadzie jesteś najbardziej odpowiedzialnym człowiekiem, jakiego znam, mon cher, ale jak tylko na horyzoncie pojawia się śliczna młoda kobieta, twój rozsądek gdzieś się ulatnia. Zut alors! Z twarzy Hastingsa zniknął głupkowaty uśmiech, a zastąpił go rumieniec wstydu.

- Słuchaj, Poirot, strasznie mi przykro - zawołał. - Wyszedłem na chwilę na dwór, a potem zobaczyłem cię przez okno, wchodzącego do pokoju, więc pomyślałem, że to nie ma znaczenia.

- To znaczy, że uznałeś, że lepiej będzie nie spotykać się ze mną - powiedział detektyw. - Cóż, mój drogi, mogłeś wyrządzić nieodwracalną szkodę. Zostałem tu Carellego. Jeden dobry Bóg wie, co robił, jakie fałszywe dowody fabrykował.

- Powiedziałem już, Poirot, naprawdę jest mi przykro. Okropnie przykro - powtórzył Hastings.

- Jeżeli nie stała się nieodwracalna szkoda, to bardziej kwestia szczęścia niż czegokolwiek innego. Ale teraz, mon ami, nadszedł czas, żebyśmy użyli naszych szarych komórek. - Poirot, udając, że wymierza koledze policzek, poklepał go serdecznie.

- Dobrze, a więc do pracy! - wykrzyknął Hastings.

- Nie, nie jest dobrze, mój przyjacielu - powiedział Poirot. - Jest źle. Nic nie jest jasne. - Jego

twarz przybrała zakłopotany wyraz. - Nic nie wiadomo, tak jak nie było wiadomo wczoraj wieczorem. - Zastanawiał się przez chwilę, po czym dorzucił: - Ale... tak... chyba mam mały pomysł. Załóżkę pomysłu. Tak, od tego zaczniemy!

Hastings był kompletnie zdezorientowany.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

Poirot mówił teraz innym tonem, z powagą i namysłem.

- Dlaczego zginął sir Claud, Hastings? Odpowiedz mi na to. Dlaczego on zginął?

Hastings wpatrywał się w przyjaciela.

- Przecież to już wiemy! - wykrzyknął.

- Czyżby? Jesteś tego pewny?

- Eee... tak - odparł Hastings, z niejakim wahaniem. - Umarł... umarł ponieważ został otruty.

Poirot wykonał niecierpliwy gest.

- Tak, ale dlaczego został otruty? Hastings zastanowił się głęboko.

- Najpewniej dlatego, że złodziej podejrzewał... - zaczął. Poirot potrząsnął powoli głową, a Hastings ciągnął:

- ...dlatego, że złodziej podejrzewał..., że odkryto jego tożsamość... - Urwał znowu, widząc, że Poirot wciąż kręci głową.

- Załóżmy, Hastings - mruknął - że złodziej niczego nie podejrzewał?

- Nie całkiem rozumiem - wyznał Hastings.

Poirot przeszedł się tam i z powrotem po pokoju, po czym unióśł dłoń, by przyciągnąć uwagę przyjaciela. Odchrząknął.

- Pozwól, że ci zrelacjonuję przebieg wypadków tak, jak mogło być, albo raczej jak miało być.

Hastings usiadł na krześle przy stole, a Poirot kontynuował:

- Pewnego wieczora sir Claud umiera w swoim fotelu. - Podeszedł do fotela i usiadł na nim; przez chwilę milczał, a potem w zamyśleniu powtórzył: - Tak, sir Claud umiera w swoim fotelu. Zwyczajnie, nie w jakichś podejrzanych okolicznościach. Najprawdopodobniej na atak serca. Upłynie kilka dni, zanim przejrzą jego prywatne papiery. Jedyny dokument, jakiego będą szukać, to jego testament. Po pogrzebie, we właściwym czasie odkryją, że notatki, dotyczące nowego materiału wybuchowego, są niekompletne. Być może nigdy nie wyjdzie na jaw, że istniał rzeczony wzór. Rozumiesz Hastings, co to daje naszemu złodziejowi?

-Tak.

- Co? - zapytał Poirot.

Hastings sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Co? - powtórzył.

- Bezpieczeństwo. To właśnie zyskuje złodziej. Może ukryć swoją zdobycz całkiem bezpiecznie, kiedykolwiek zechce. Nie musi się śpieszyć. Nawet jeżeli dowiedzą się o istnieniu wzoru, będzie miał mnóstwo czasu, by zatrzeć za sobą ślady.

- Cóż, to jest jakiś pomysł... tak, chyba masz rację - powiedział z wahaniem Hastings.

- Ależ oczywiście, że tak - rzekł z wyrzutem Poirot. - Czyż nie jestem Herkulesem Poirot? Tylko zobacz, gdzie nas ten pomysł prowadzi. Mówi nam, że morderstwo sir Clauda nie było przypadkowym manewrem, wykonanym pod wpływem impulsu. Było zaplanowane z góry. Z góry. Widzisz, gdzie teraz jesteśmy?

- Nie - przyznał Hastings z rozbrarającą szczerością. - Dobrze wiesz, że nigdy nie dostrzegam takich rzeczy. Wiem, że jesteśmy w bibliotece w domu sir Clauda, i to wszystko.

- Tak, masz rację, mój przyjacielu. Jesteśmy w bibliotece, w domu sir Clauda Amory'ego. Jest wieczór. Właśnie zgasły światła. Plan złodzieja spalił na panewce.

Poirot wyprostował się i zaczął mówić, podkreślając palcem najważniejsze punkty swojej przemowy.

- Sir Claud, który normalnie zajrzałby do sejfów dopiero następnego dnia, odkrył kradzież zupełnie przypadkowo. I, jak sam zresztą powiedział, złodziej znalazł się jak szczur w pułapce. Tak, ale ten złodziej,

który jest jednocześnie mordercą, wie o czymś, o czym nie wie sir Claud. Wie, że za kilka minut Claud Amory zamilknie na zawsze. On

- albo ona - ma tylko jeden jedyny problem do rozwiązania - ukryć skutecznie dokument w ciągu tych kilku chwil ciemności. Zaniknij oczy, Hastings, tak jak ja to robię. Zgasły światła i nic nie widzimy. Ale słyszymy. Powtórz mi, najdokładniej jak tylko potrafisz, słowa panny Amory, kiedy opisywała nam to, co się wówczas wydarzyło.

Hastings zamknął oczy. Potem zaczął mówić, powoli i z przerwami; przypominanie sobie sprawiało mu pewną trudność.

- Sapanie - powiedział. Poirot skinął głową.

- Ponownie sapanie, czyjś ciężki, przerywany oddech - ciągnął Hastings, a Poirot skinął głową raz jeszcze.

Hastings zastanawiał się przez chwilę.

- Stuk przewracanego krzesła - metaliczny brzęk - to, jak sądzę, był klucz.

- Masz rację - powiedział Poirot. - Klucz. Mów dalej.

- Krzyk. To krzyczała Lucia. Wołała do sir Clauda - potem rozległo się pukanie do drzwi - och! Poczekaj chwilę - na samym początku dał się słyszeć odgłos rozdzierania materiału. -

Otworzył oczy.

- Tak, odgłos rozdzierania materiału - zawołał Poirot. Wstał, podszedł do biurka, a potem skierował się w stronę kominka.

- Wszystko się wtedy wydarzyło, w ciągu tych kilku chwil ciemności. Wszystko. A mimo to nasze uszy... nie mówią nam nic. - Zatrzymał się przy kominku i odruchowo poprawił wazon z fidybusami.

- Och, przestań poprawiać te przeklęte przedmioty, Poirot - wybuchnął Hastings. - Stale to robisz.

Poirot, zaintrygowany, zdjął rękę z wazonu.

- Co mówisz? - zapytał. - Tak, to prawda. - Wpatrywał się w wazon z fidybusami. - Pamiętam, że poprawiałem go zaledwie godzinę temu. A teraz... znowu muszę to robić. - Był podekscytowany. - Dlaczego, Hastings, dlaczego?

- Ponieważ stoi krzywo, jak sędzę - odparł Hastings znudzonym tonem. - Ty z tą twoją manią na punkcie porządku.

- Rozdzierany materiał! - zawołał Poirot. - Nie, Hastings! To identyczny dźwięk. - Spojrzał na wazon z papierowymi fidybusami i chwycił go do ręki. - Rozdzierany papier... - powiedział, oddalając się od kominka.

Jego podniecenie udzieliło się przyjacielowi.

- O co chodzi? - zapytał Hastings; wstał i zbliżył się do małego Belga.

Poirot wysypał fidybusy na kanapę. Podawał je po kolej Hasting-sowi, mrużąc:

- Tu mamy jeden. Ach, następny; i jeszcze jeden. Hastings rozwijał skrawki papieru i oglądał je.

- C 19, N 23 - zaczął odczytywać głośno.

- Tak, tak! - wykrzyknął Poirot. - To jest ten wzór!

- Słuchaj, to niesamowite!

- Szybko! Zwiń je z powrotem! - rzucił Poirot, i Hastings spełnił polecenie. - Och, jesteś taki powolny! - gorączkował się Poirot. - Szybko! Szybko! - Wyrwał Hastingsowi fidybusy i włożył je z powrotem do wazonu, który postawił niezwłocznie na kominku.

Hastings osłupiał, Poirot uśmiechnął się.

- Jesteś ciekaw, co robię, tak? Powiedz mi, Hastings, co tu mam, w tym wazonie?

- Fidybusy, to oczywiste - odpowiedział Hastings ironicznie.

- Nie, mon ami, ser. -Ser?

- Właśnie, mój przyjacielu, ser.

- Słuchaj, Poirot, czy ty dobrze się czujesz? - zapytał Hastings ze współczuciem. - To znaczy, nie boli cię głowa, czy coś takiego?

Poirot zignorował frywolne pytanie przyjaciela.

- Do czego używa się sera, Hastings? Powiem ci, mon ami. Aby zastawić pułapkę na myszy.

Teraz czekamy tylko na jedno - na mysz.

- A mysz...

- Zjawi się, mój przyjacielu - zapewnił go detektyw. - Bądź tego pewien. Przesłałem jej wiadomość. Nie omieszka odpowiedzieć.

Zanim Hastings zdążył zareagować na to tajemnicze oświadczenie, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Edward Raynor.

- Och, tu pan jest, monsieur Poirot - powiedział. - I kapitan Hastings także. Inspektor Japp chciałby porozmawiać z panami na górze.



## XIX

- Już idziemy - odrzekł Poirot. Skierował się ku drzwiom, a za nim podążył Hastings; tymczasem Raynor zbliżył się do kominka. Na progu Poirot zniechęca odwrócił się i spojrzał na sekretarza.

- Przy okazji, panie Raynor - zapytał, wracając na środek pokoju - nie wie pan przypadkiem, czy doktor Carelli był dziś rano w bibliotece?

- Tak, był. Zastałem go tutaj.

- Ach! - Poirot wydawał się zadowolony. - I co robił?

- Rozmawiał chyba przez telefon.

- Kiedy pan wszedł, rozmawiał przez telefon?

- Nie, właśnie wchodził z powrotem do pokoju. Był przedtem w gabinecie sir Clauda.

Poirot przez chwilę się zastanawiał, po czym zapytał:

- Gdzie dokładnie pan się wtedy znajdował? Pamięta pan? Raynor, który stał wciąż przy kominku, odparł:

- Och, wydaje mi się, że gdzieś tutaj.

- Czy słyszał pan rozmowę telefoniczną doktora Carellego?

- Nie. Dał mi do zrozumienia, że chce być sam, więc wyszedłem.

- Rozumiem. - Poirot zawahał się, po czym wyjął z kieszeni notes i ołówek. Napisał kilka słów na kartce i wyrwał ją z notesu.

- Hastings! - zawołał.

Hastings, który kręcił się przy drzwiach, podszedł do przyjaciela, a ten wręczył mu złożoną kartkę. - Mógłbyś to zanieść inspektorowi Jappowi?

Raynor patrzył, jak Hastings wychodzi z pokoju, po czym zapytał:

- O co w tym wszystkim chodzi?

Poirot, wkładając notes i ołówek z powrotem do kieszeni, odparł:

- Przekazałem Jappowi, że spotkam się z nim za kilka minut, i że wtedy być może będę w stanie podać mu nazwisko mordercy.

- Naprawdę? Wie pan, kto to jest? - zapytał Raynor, podekscytowany.

Zapadło milczenie. Sekretarz zdawał się być pod urokiem osobowości Herkulesa Poirot.

Przyglądał mu się zafascynowany; tymczasem detektyw zaczął powoli mówić:

- Tak, chyba wiem, kim jest morderca - wreszcie. Przypomina mi się inna sprawa, z nieodległej

przeszłości. Nigdy nie zapomnę zabójstwa lorda Edgware'a. Zostałem niemalże pokonany - tak, ja, Herkules Poirot! - przez prostacki spryt bezmyślnego umysłu. Widzi pan, monsieur Raynor, prości ludzie często mają talent do popełniania nieskomplikowanych zbrodni, a potem do zapomniania o nich. Miejmy nadzieję, że morderca sir Clauda to jednak człowiek inteligentny, z poczuciem wyższości, zakochany w sobie, który nie będzie umiał oprzeć się pokusie, by - jak to się u was mówi? - upiększyć coś, co i tak jest piękne. - Oczy Poirota ożywiły się.

- Chyba pana nie rozumiem - powiedział Raynor. - Chce pan przez to powiedzieć, że to nie pani Amory jest morderczynią?

- Nie, to nie ona. Dlatego właśnie napisałem liścik do inspektora. Ta biedna kobieta już dosyć wycierpiała. Trzeba jej oszczędzić dalszych przesłuchań.

Raynor zamyślił się na chwilę; nagle wykrzyknął:

- Założę się więc, że to Carelli. Mam rację? Poirot pogroził mu żartobliwie palcem.

- Monsieur Raynor, pozwoli pan, że do ostatniej chwili zachowam moje małe tajemnice. - Otarł czoło chusteczką. - Mon Dieu, jakże dzisiaj gorąco!

- Ma pan ochotę na drinka? - zapytał Raynor. - Przepraszam za moje zachowanie. Powinienem był zaproponować to panu już wcześniej.

Poirot uśmiechnął się.

- Jest pan bardzo miły. Poproszę whisky, jeśli można.

- Oczywiście. Proszę chwilę poczekać - Raynor wyszedł z pokoju, a tymczasem Poirot zbliżył się do francuskiego okna i na chwilę wyjrzał do ogrodu. Potem podszedł do kanapy, poprawił poduszki i skierował się w stronę kominka, by obejrzeć ozdoby. Wkrótce zjawił się Raynor z dwiema szklaneczkami whisky z wodą na tacy. Patrzył, jak Poirot sięga po ozdobę na kominku.

- To cenny antyk, jak sędzę - zauważył detektyw, biorąc do ręki dzbanek.

- Tak? - powiedział Raynor obojętnie. - Nie bardzo się znam na tego rodzaju rzeczach. Proszę wziąć sobie drinka - zaproponował, stawiając tacę na ławie.

- Dziękuję panu - mruknął Poirot, podchodząc do niego.

- Cóż, wszystkiego najlepszego - rzekł Raynor i pociągnął łyk. Poirot uklonił się i podniósł do ust swoją szklaneczkę.

- Pańskie zdrowie, mój przyjacielu. A teraz pozwoli pan, że powiem mu o moich podejrzeniach. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że...

Urwał raptownie, zerkając przez ramię za siebie, jak gdyby coś usłyszał. Spojrzał najpierw na drzwi, a potem na Raynora, przykładając palec do ust, na znak, żeby milczał, bo ktoś może podsłuchiwać.

Raynor skinął głową ze zrozumieniem. Powoli, cichutko podeszli do drzwi; Poirot dał mu znak

ręką, by pozostał w pokoju. Sam otworzył zniechęca drzwi i wybiegł na zewnątrz, ale zaraz wrócił; wyglądał na zdruzgotanego.

- Dziwne - powiedział. - Mógłbym przysiąc, że coś słyszałem. No cóż, pomyliłem się. To nieczęsto się zdarza. A votre santé, przyjacielu. - Opróżnił szklaneczkę do dna.

- Ach! - zawołał Raynor i również wypił.

- Słucham? - zapytał Poirot.

- Nic, nic. Spadł mi kamień z serca, to wszystko. Poirot postawił szklanekę na stole.

- Czy pan wie, monsieur Raynor - powiedział - że, mówiąc szczerze, nie jestem przyzwyczajony do tego waszego narodowego napoju, jakim jest whisky. Nie podoba mi się jej smak. Jest gorzka.

- Usiadł w fotelu.

- Naprawdę? Tak mi przykro. Moja wcale nie była gorzka.

- Raynor postawił swoją szklanekę na ławie i ciągnął: - Zdaje mi się, że chciał mi pan coś powiedzieć, czyż nie tak?

Poirot wyglądał na zaskoczonego.

- Naprawdę? Co to mogło być? Czyżbym już zapomniał? Chciałem chyba wyjaśnić panu, w jaki sposób prowadzę dochodzenie. Voyons\ Jeden fakt prowadzi do następnego. Czy kolejny do tego pasuje? Merveille! Doskonale! Możemy iść dalej. Następny szczegół

- nie! Ach, jakie dziwne! Czegoś tu brakuje - jakiegoś ogniwa w łańcuchu. Badamy sprawę. Szukamy. A ten drobny dziwny szczegół, ten fakt może bez znaczenia, który nie pasuje, kładziemy tu! - Poirot zrobił szeroki ruch ręką. - To jest doniosłe! To jest wielkie!

- Ta., ak, rozumiem - powiedział z wahaniem Raynor.

Poirot tak gwałtownie potrząsnął palcem przed twarzą Raynora, że ten się zląkł.

- Ach, trzeba się mieć na baczności! Biada detektywowi, który mówi: „To drobny szczegół - bez znaczenia. To nie będzie pasowało. Pominę to”. W ten sposób rodzi się zamieszanie!

Wszystko jest ważne. - Poirot raptownie urwał, stukając się w głowę. - Ach! Przypomniałem sobie, o czym chciałem z panem pomówić. Chodziło o jeden z tych drobnych, nieważnych szczegółików. Chciałem porozmawiać o kurzu, monsieur Raynor.

Raynor uśmiechnął się kurtuazyjnie.

- O kurzu?

- Właśnie. O kurzu - powtórzył Poirot. - Mój przyjaciel Ha-stings niedawno mi przypomniał, że jestem detektywem, a nie pokojówką. Mówiąc to, uważał się za bardzo bystrego, ale ja nie jestem tego taki pewien. Pokojówkę i detektywa coś przecież łączy. Co bowiem robi pokojówka? Za pomocą swojej miotły penetruje wszystkie ciemne zakamarki. Wydobywa na

światło dzienne wszystkie te ukryte przedmioty, które było wygodniej usunąć z pola widzenia. Czy detektyw nie robi tego samego?

Raynor był wyraźnie znudzony, ale odpowiedział: - Bardzo interesujące, monsieur Poirot. - Usiadł na krześle przy stole i zapytał: - Ale..., czy to wszystko, co pan chciał mi powiedzieć? - Niezupełnie - odparł Poirot. Wychylił się do przodu. - Nie sypnął mi pan piaskiem w oczy, monsieur Raynor, gdyż nie było piasku, czyli kurzu. Rozumie pan?

Sekretarz przyglądał mu się z uwagą.

- Niestety, nie.

- Na tym pudełku z lekami nie było kurzu. Mademoiselle Barbara zwróciła mi na to uwagę. A powinien tam być kurz. Półka, na której stoi pudełko - Poirot wskazał w tym kierunku - jest pokryta grubą warstwą kurzu. Wtedy to właśnie doszedłem do wniosku...

- Jakiego wniosku?

- Do wniosku - ciągnął Poirot - że niedawno ktoś zdejmował to pudełko. I że osoba, która otruła sir Clauda, nie musiała brać pudełka do ręki wczoraj wieczorem, gdyż już wcześniej zaopatrzyła się w potrzebną dawkę trucizny, wybierając moment, kiedy wiedziała, że nikt jej w tym nie przeszkodzi. Wczoraj nie brał pan do ręki pudełka z lekami, gdyż miał pan już hioscyne, której potrzebował. Ale dotykał pan filiżanki z kawą, monsieur Raynor. Raynor uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Mój Boże! Oskarża mnie pan o zamordowanie sir Clauda?

- Może pan temu zaprzeczyć?

Sekretarz przez chwilę milczał, po czym odpowiedział, ale już opryskliwie:

- Och nie. Nie zaprzeczam. Niby dlaczego miałbym to robić? Jestem wręcz z siebie dumny. Chociaż powinno to być pójść całkiem gładko. To pech, że wczoraj wieczorem sir Claud otworzył ponownie sejf. Nigdy przedtem tego nie robił.

Poirot nieco sennie zapytał:

- Dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi?

- A czemu nie? Jest pan bardzo sympatyczny. Przyjemnie mi się z panem rozmawia. - Raynor roześmiał się. - Tak, o mały włos moje plany nie spaliły na panewce. Ale właśnie z tego jestem najbardziej dumny, że udało mi się przekształcić porażkę w sukces. - Na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. - Wymyślenie kryjówki tak na miejscu, bez przygotowania, było naprawdę sporym wyczynem. Chciałby pan, żebym mu powiedział, gdzie jest teraz wzór?

Wydawało się, że Poirot, coraz bardziej senny, ma trudności z mówieniem.

- Ja... ja nie rozumiem pana - wyszeptał.

- Popełnił pan jeden drobny błąd, monsieur Poirot - powiedział Raynor, uśmiechając się

szydlerczo. - Nie docenił pan mojej inteligencji. Nie udało się panu nabrać mnie tym swoim sprytnym wybiegiem z Carellim. Człowiek na pańskim poziomie nie mógł chyba uwierzyć, że ten biedak Carelli... to jest nie do pomyślenia. Widzi pan, gram o wielką stawkę. Ten kawałek papieru, dostarczony we właściwe ręce, znaczy dla mnie pięćdziesiąt tysięcy funtów. - Usiadł wygodnie na krześle. - Proszę tylko pomyśleć, co człowiek o moich zdolnościach mógłby zrobić z taką ilością pieniędzy.

Poirot, coraz bardziej sennym głosem, odpowiedział:

- Ja... ja nie... chcę o tym myśleć.

- Cóż, może i nie. Rozumiem to - przyznał Raynor. - Człowiek musi uwzględniać różne poglądy.

Poirot wychylił się do przodu, z widocznym wysiłkiem zbierając się w sobie.

- Tak się nie stanie - wykrzyknął. - Zdemaskuję pana. Ja, Herkules Poirot... - Urwał raptownie.

- Herkules Poirot niczego nie robi - oświadczył Raynor, a detektyw opadł z powrotem na swoje siedzenie.

- Nie odgadł pan, nawet wtedy, gdy pan powiedział, że whisky jest gorzka, prawda? - ciągnął z szydlerczym uśmiechem sekretarz.

- Widzi pan, mój drogi monsieur Poirot, wziąłem z tego pudełka nie jedną, ale kilka fiolek hioscyny. Właściwie to dostał pan nieco większą dawkę niż sir Claud.

- Ach, mon Dieu - wydusił z siebie Poirot, usiłując wstać. Słabym głosem zawołał: - Hastings! Hast... - Zamilkł, opadając na krzesło. Zamknął oczy.

Raynor zerwał się na nogi, odsunął krzesło i stanął nad Poirotem.

- Niech pan postara się zachować przytomność, monsieur Poirot. Z pewnością chciałby się pan dowiedzieć, gdzie był ukryty wzór, nieprawdaż?

Czekał przez chwilę, ale oczy detektywa pozostały zamknięte.

- Szybki, kamienny sen bez przebudzenia, jak to określa nasz drogi przyjaciel Carelli - skomentował sucho Raynor, podchodząc do kominka; wziął fidybusy, zwinął je i włożył do kieszeni. Skierował się w stronę francuskiego okna, wołając przez ramię: - Żegnam, mój drogi monsieur Poirot!

Miał właśnie wejść do ogrodu, ale powstrzymał go głos Poirota, który wesołym, swobodnym tonem zapytał:

- Może chciałby pan także kopertę?

Raynor odwrócił się gwałtownie; w tym samym momencie od strony ogrodu do biblioteki wszedł inspektor Japp. Sekretarz postąpił kilka kroków do tyłu, na chwilę zatrzymał się niezdecydowanie, po czym rzucił się w stronę francuskiego okna, ale tu schwytali go Japp i

konstabl Johnson.

Poirot wstał z krzesła, przeciągając się.

- I co, mój drogi Japp - zapytał - słyszał pan wszystko?

Japp przy pomocy konstabla ciągnął właśnie Raynora z powrotem na środek pokoju:

- Każde słowo, dzięki pańskiemu liścikowi, Poirot - odparł.

- Z tego tarasu, zaraz za oknem, doskonale wszystko słyhać. A teraz przeszukajmy go i zobaczmy, co uda nam się znaleźć. - Wyjął fidybusy z kieszeni Raynora i rzucił je na ławę.

Potem wyciągnął małą fiolkę.

- Aha! Hioscyna! Pusta.

- Ach, to ty, Hastings - Poirot przywitał się ze swoim przyjacielem, który wszedł do biblioteki od strony korytarza, niosąc szklaneczkę whisky z wodą; wręczył ją detektywowi.

- Widzi pan? - zwrócił się Poirot do Raynora, najuprzejmiej, jak tylko umiał. - Odmówiłem wzięcia udziału w pańskiej komedii. Zamiast tego zmusiłem pana do zagrania w mojej. W moim liściku dałem wskazówki Jappowi, a także Hastingsowi. Potem ułatwiłem panu zadanie, narzekając na upał. Wiedziałem, że zaproponuje mi pan drinka. W końcu to takie naturalne. To była uwertura, której pan potrzebował. Kiedy podszedłem do drzwi, na zewnątrz czekał już pocziwy Hastings z inną szklaneczką whisky w ręku. Wymieniam się z nim szklankami i oto jestem z powrotem. W ten sposób przedstawienie potoczyło się dalej. - Poirot zwrócił szklanekę Hastingsowi. - Osobiście jestem zdania, że dosyć dobrze zagrałem swoją rolę - powiedział.

Nastąpiła przerwa, w czasie której Poirot i Raynor mierzyli się wzrokiem. Potem Raynor przemówił:

- Obawiałem się pana, odkąd pojawił się pan w tym domu. Mój plan mógł się powieść. Mogłem urządzić się na całe życie dzięki pięćdziesięciu tysiącom funtów - a może nawet większej sumie - którą bym dostał za ten przeklęty wzór. Ale od momentu pańskiego przyjazdu straciłem pewność, że ujdzie mi na sucho zabójstwo tego napuszonego starego głupca i kradzież jego cennego świstka papieru.

- Już wcześniej zauważyłem, że jest pan inteligentny - odparł Poirot. Usiadł z powrotem w fotelu, bardzo zadowolony z siebie; Japp przemówił szybko:

- Edwardzie Raynor, aresztuję pana za zabójstwo z premedytacją sir Clauda Amory'ego, i ostrzegam, że wszystko, cokolwiek pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. - Dał znak konstablowi, by wyprowadził aresztowanego.

## XX

Raynor, wychodząc pod eskortą konstabla Johnsona, minął się w drzwiach z panną Amory, która właśnie wchodziła do biblioteki. Odwróciła się za nimi, zaniepokojona, po czym podeszła szybkim krokiem do Poirota, który wstał, by się z nią przywitać.

- Poirot - szepnęła - czy to prawda? To pan Raynor zamordował mojego biednego brata?

- Niestety tak, mademoiselle - powiedział Poirot. Panna Amory osłupiała.

- Och! Och! - zawołała. - Nie mogę w to uwierzyć! Co za nik-czemność! Traktowaliśmy go zawsze jak członka rodziny. Beeswax i to wszystko... - Odwróciła się zniecierpliwiona, kierując w stronę wyjścia, kiedy wszedł Richard i przytrzymał dla niej drzwi. Niemalże wybiegła z pokoju; jednocześnie od strony ogrodu weszła Barbara.

- To po prostu zbyt szokujące, by o tym mówić - wykrzyknęła.

- Edward Raynor, ze wszystkich ludzi... Któż by w to uwierzył? Ten, kto to wykrył, jest niesamowicie sprytny. Ciekawe, kto!

Rzuciła znaczące spojrzenie w stronę Poirota, który jednakże uklonił się inspektorowi, mruczając:

- To inspektor Japp rozwiązał zagadkę, mademoiselle. Japp uśmiechnął się.

- Muszę powiedzieć o panu, monsieur Poirot, że jest pan właściwym człowiekiem. A także prawdziwym dżentelmenem. - Uklonił się zgromadzonym i wyszedł energicznym krokiem; po drodze odebrał zdezorientowanemu Hastingsowi szklaneczkę whisky, mówiąc:

- Ja zajmę się materiałem dowodowym, jeżeli pan pozwoli, kapitanie Hastings!

- Tak, ale czy to rzeczywiście inspektor Japp wykrył zabójcę stryjka Clauda? A może - zapytała nieśmiało Barbara, podchodząc do Poirota - to pańska zasługa, monsieur Herkulesie Poirot? Poirot zbliżył się do swojego starego przyjaciela Hastings i objął go ramieniem.

- Mademoiselle - rzekł - prawdziwą zasługę należy przypisać Hastingsowi. On, wykazując niezwykłą błyskotliwość, zwrócił mi uwagę na coś, co naprowadziło mnie na właściwy trop. Proszę zabrać go do ogrodu i poprosić, by pani o tym opowiedział.

Popchnął Hastingsa w stronę Barbary i odprowadził ich oboje do drzwi.

- Ach, moje maleństwo - westchnęła komicznie Barbara, wychodząc z Hastingsem do ogrodu.

Richard Amory miał właśnie zamiar odezwać się do Poirota, kiedy otworzyły się drzwi z korytarza i weszła Lucia. Na widok męża, szepnęła nieśmiało:

- Richard... Richard odwrócił się.

- Lucia!

Postąpiła parę kroków do przodu.

- Ja... - zaczęła, po czym urwała. Richard ruszył w jej stronę, ale się zatrzymał.

- Ty...

Oboje byli zdenerwowani i zażenowani spotkaniem. Nagle Lucia spostrzegła Poirota i podeszła do niego z wyciągniętymi rękoma.

- Monsieur Poirot! Jak mamy panu dziękować? Poirot wziął jej rękę w swoje.

- A zatem, madame, pani kłopoty się skończyły! - oznajmił.

- Morderca został schwytany. Ale czy moje kłopoty naprawdę się skończyły? - zapytała ze smutkiem Lucia.

- To prawda, że nie wygląda pani na zbyt szczęśliwą, moje dziecko - zauważył Poirot.

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze będę szczęśliwa?

- Tak myślę - powiedział Poirot z błyskiem w oku. - Proszę zaufać staremu Poirotowi. -

Posadził Lucie na krzesło przy stole na środku pokoju, wziął z ławy fidybusy, podszedł do Richarda i wręczył mu je.

- Monsieur - powiedział - z przyjemnością zwracam panu wzór sir Clauda! Po złożeniu wszystkich części do kupy -jak wy to określacie? - będzie jak nowy.

- Mój Boże, wzór! - wykrzyknął Richard. - Zupełnie o tym zapomniałem. Nie mogę na to patrzeć. Proszę tylko pomyśleć, co przez

to wycierpieliśmy. Mój ojciec nie żyje, a my wszyscy mamy zrujnowane życie.

- Co zamierzasz z tym zrobić, Richardzie? - zapytała Lucia.

- Jeszcze nie wiem. A ty co byś zrobiła? Wstając, przysunęła się do niego i wyszeptwała:

- Mógłbyś mi to dać?

- Jest twoje - powiedział Richard, wręczając jej fidybusy. - Zrób co chcesz z tym przeklętym wzorem.

- Dziękuję ci, Richardzie - wymamrotała Lucia. Podeszła do kominka, wzięła zapalnik z pudełka, które tam leżało, i podpałała fidybusy, wrzucając je kawałek po kawałku do paleniska.

- Na świecie jest już tyle cierpienia. Nie chciałabym, żeby było go jeszcze więcej.

- Madame - powiedział Poirot - podziwiam sposób, w jaki pali pani wiele tysięcy funtów, z równą obojętnością, jak by chodziło o kilka marnych pensów.

- To tylko popioły - westchnęła Lucia. - Podobnie jak moje życie. Poirot parsknął.

- O, la, la! Szykujmy sobie trumny - powiedział z udawanym przygnębieniem. - Nie! Ja chcę być szczęśliwy, weselić się, tańczyć, śpiewać. Do zobaczenia, moje dzieci - ciągnął, zwracając się również do Richarda. - Czas na chwilę szczeroci. Madame spuszcza nos na kwintę i myśli:



- „Oszukałam mojego męża.” Monsieur spuszcza nos na kwintę i myśli: „Podejrzywałam moją żonę.” A przecież tym, czego naprawdę chcecie obydwójcie, jest paść sobie w ramiona, nieprawdaż?

Lucia postąpiła krok w kierunku męża.

- Richardzie... - zaczęła ściszym głosem.

- Madame - przerwał jej Poirot - obawiam się, że sir Claud mógł podejrzewać panią o próbę kradzieży wzoru, gdyż kilka tygodni temu ktoś - bez wątpienia były kolega Carellego, bo ludzie tego pokroju nieustannie kłócą się ze sobą - ktoś, jak mówię, wysłał sir Claudowi anonim o pani matce. Ale czy pani wie, moje niemądre dziecko, że pani mąż próbował się oskarżyć przed inspektorem Jap-pem - właściwie przyznał się do zabójstwa sir Clauda - by panią ocalić?

Lucia wydała cichy okrzyk, spoglądając z uwielbieniem na Richarda.

- A pan, monsieur - ciągnął Poirot - niech sobie wyobrazi, że nie więcej niż pół godziny temu pana żona krzyczała mi do ucha, że zabiła pańskiego ojca, tylko dlatego, że bała się, iż pan mógł to zrobić.

- Lucia - szepnął z czułością Richard, podchodząc do niej.

- Skoro jesteście Anglikami - zauważył Poirot odchodząc - przypuszczam, że nie obejmiacie się w mojej obecności?

Lucia podeszła do niego i wzięła go za rękę.

- Monsieur Poirot, chyba nigdy przenigdy pana nie zapomnę.

- Ani ja nie zapomnę pani, madame - oświadczył z galanterią Poirot, całując ją w rękę.

- Poirot - odezwał się Richard Amory - nie wiem, co powiedzieć, z wyjątkiem tego, że ocalił pan moje życie i moje małżeństwo. Trudno mi wyrazić, co czuję...

- Proszę się nie kłopotać, mój przyjacielu - odparł Poirot. - Jestem szczęśliwy, że mogłem panu pomóc.

Lucia i Richard wyszli razem do ogrodu, patrząc sobie w oczy; on otoczył ją ramieniem. Poirot szedł za nimi aż do drzwi, wołając:

- Niech Bóg was błogosławi, mes enfants! Och, a jeżeli spotkacie pannę Barbarę, poproście ją z łaski swojej, by mi zwróciła kapitana Hastingsa. Wkrótce wyjeżdżamy do Londynu. -

Odwrócił się w stronę pokoju; jego wzrok padł na kominek. - Ach! - wykrzyknął i podszedł, by poprawić wazon na fidybusy. - Voilà! Teraz ład i porządek zostały przywrócone - mruknął i z ogromnie zadowoloną miną skierował się do wyjścia.

Sir Claud Amory, światowej sławy naukowiec, opracowuje wzór na nowy, śmiertelny materiał wybuchowy. Przekonany, że ktoś z domowników próbuje wykraść ten wzór, wzywa na pomoc Herkulesa Poirota. Niestety, słynny detektyw przybywa za późno: koperta ze

wzorem ginie, a sir Claud zostaje otruty... Jedną z podejrzanych jest synowa zmarłego, młoda i piękna Lucia, z pochodzenia Włoszka. Czy okaże się ona drugą Lukrecją Borgia?